



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



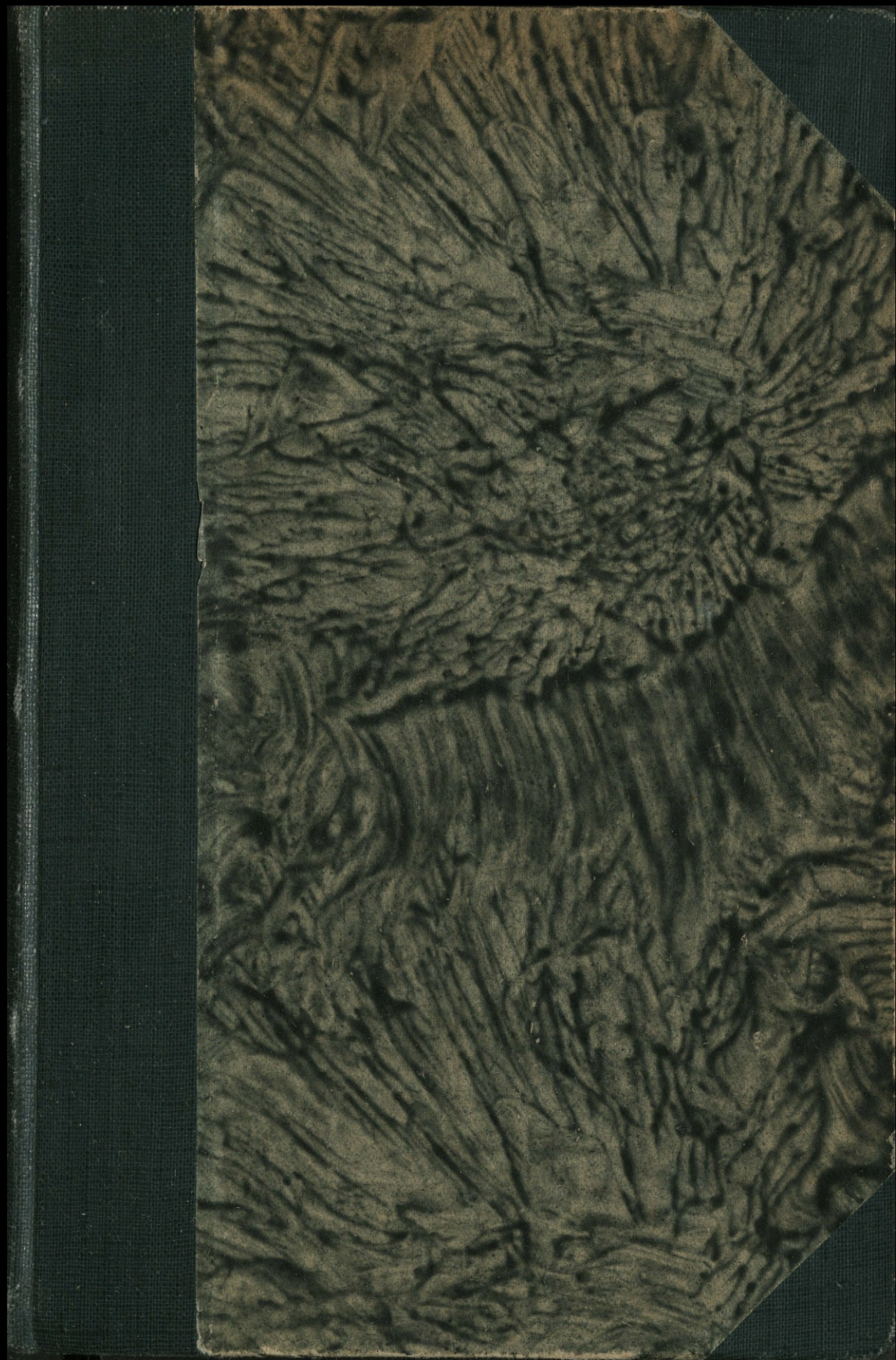
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM



PAMIĘTNIKI

JENERAŁA JÓZEFA SZYMANOWSKIEGO

WYDAŁ

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI



XIX. 12

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

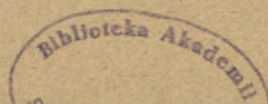
WE LWOWIE
NAKŁADEM RODZINY JENERAŁA
W KOMISIE KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
1898.

A/5201



Szymanowscy, herbu Ślepowron, zaliczają się do rodzin zdawien dawna osiadłych na Mazowszu.

Marcin Szymanowski, sędzia sohaczewski, jako poseł z Rawskiego, podpisał akt unii lubelskiej, lecz potomkowie jego nie kwapili się z wystąpieniem na szerszą widownię publiczną, poprzestając na ziemskich urządach. Dopiero Maciej Michał Szymanowski, kasztelan rawski, senatorską godnością dodał blasku swemu rodowi, zaś z czterech synów kasztelana, starszy Dominik piastował ważny urząd rejenta metryki koronnej, podczas gdy młodszy od niego Józef, znacznym w swoim czasie jako poeta cieszył się rozgłosem. Synem Dominika był Józef Szymanowski, urodzony w roku 1779. Wychowanek warszawskiego korpusu kadetów, opuścił podczas insurrekcyi kościuszkowskiej szkołę rycerską i bez wiedzy rodziców zaciągnął się jako ochotnik do szeregów wojska narodowego. Przydzielony do sztabu generała Ignacego Kamińskiego, przebył pod jego rozkazami oblężenie Warszawy przez sprzymierzone wojska rosyjsko-pruskie, a po upadku rewolucyi osiadł na ojczystym zagonie w Grądach, uzupełniając swe wykształcenie częstemi wycieczkami zagranicę. W roku 1806 jeden z pierwszych znalazł się Szymanowski pod zwycięskimi znakami Napoleona i zaliczony do sztabu



trzeciego korpusu marszałka Davousta w charakterze adjutanta, znalazł sposobność do zwrócenia na siebie uwagi cesarza. Gdy bowiem pod Pomiechówem, podczas przeprawy przez Wkrę, nieprzyjaciel zajmował brzeg przeciwległy, Szymanowski z porucznikiem Ziemięckim, wskoczyli pierwsi do łodzi i przeżegnawszy się znakiem krzyża świętego, dostali się szczęśliwie na drugą stronę rzeki. Cesarz ujrawszy ten czyn śmiały młodych oficerów, rzekł z widocznem zadowoleniem:

— To dobrze, dobrzy chrześcianie są dobrymi żołnierzami!

Pod pruską Ławą, (*Preussisch Eulau*), kontuzjonowany, pospieszył wszakże bez zwłoki pod blokowany przez nasze wojska Grudziądz, walcząc mężnie w szeregach świeżo sformowanego, drugiego pułku pieszego i powołany ponownie do służby przy sztacie marszałka Davousta, opuścił ją w roku 1809 w stopniu szefa batalionu. Kampania ówczesna przyniosła Szymanowskiemu legię honorową, za waleczność okazaną przy wzięciu Regensburga, (d. 24 kwietnia 1809), podczas gdy już w roku 1807 otrzymał nieustraszony żołnierz krzyż polski *virtuti militari*. Był też Szymanowski w ogniu pod Aspern i pod Wagram, a w stopniu grosmajora powrócił w roku 1810 do kraju. Pamiętna wyprawa dwunastego roku zastała go na stanowisku podpułkownika, a jakkolwiek łatwo mógł pozostać w kraju w charakterze organizatora zakładów pułkowych, to mimoto postarał się o dowództwo pierwszego oddziału posiłkowego, wysyłanego na linię bojową. Komenda to była wielce uciążliwa, gdyż oprócz świeżo w lazaretach wygojonych rekonwalescentów, przydzielono do oddziału Szymanowskiego żołnierzy różnej broni oraz narodowości, powracających do własnych korpusów, tudzież liczny,

ciężki tabor. Nadto sprzeczne, a częstokroć niewykonalne rozkazy, jakie Szymanowski odbierał, tudzież przeważne siły nieprzyjacielskie, z jakimi po drodze przychodziło mu się mierzyć, były powodem, iż nie bez strat znacznych udało się doświadczonemu wojownikowi dotrzeć pod Borysowem do dywizyi Dąbrowskiego. W krwawej wyprawie nad Berezyną, dowodził Szymanowski garstką niedobitków jaka jeszcze z drugiego pułku piechoty przy życiu pozostała, ale i z tą garstką zdołał on ocalić pod Oliwą park polskiej artyleryi, zagrożony przez ścigające armię napoleońską kolumny rosyjskie. Widząc bowiem, że wycieńczone i rozkute konie pociągowe nie zdołają wciągnąć działa na śliskie a strome wzgórze, Szymanowski pierwszy rzucił się do kół i sam począł je popychać. Za przykładem komendanta poszła wiara — i działa ocalono. Bił się jeszcze Szymanowski z następującymi corazto natarczywiej Rosyanami pod Kaliszem, a uzupełniwszy kadry drugiego pułku świeżo zaciężnym żołnierzem, którego mu dosłano do Düsseldorfu, zamianowany został pułkownikiem, by podzielać odtąd losy polskiej dywizyi Dąbrowskiego.

Podczas chwilowego zawieszenia broni, w lipcu t. r. Napoleon przybył do Lipska i zarządził przegląd całej dywizyi. Bertier, ks. d'Avigny i Dąbrowski, musieli wówczas usłyszeć niejedną cierpką uwagę z ust zchmurzonego władcy i tylko Szymanowskiemu udało się chwilowo rozpozgodzić gniewne oblicze cesarza. Podczas przeglądu jego pułku zdarzyło się, iż żołnierze nie dość wprawnie osadzali bagnet na lufie karabinowej, czem zniecierpliwiony Napoleon zawołał ostro do komendanta:

— Jakto, więc pan nie nauczyłeś nawet swych żołnierzy robienia bronią?

Niezmiészany tem pytaniem Szymanowski odparł bezzwłocznie:

— Najjaśniejszy Panie! Jeżeli żołnierze moi źle osadzają bagnety, to mimoto ręczę mą osobą, iż do ataku złożą się nimi doskonale!...

Cesarz zamilkł i stanąwszy na czele dywizyi kazał jej kilkakrotnie atakować bagnetem, poczem nietylko wyraził Szymanowskiemu uznanie, lecz kazał sobie przedstawić czterech oficerów oraz czterech szeregowców, celem odznaczenia ich legią honorową.

Walczył następnie nasz pułkownik w bitwach pod Wütemberg, Rogan, Koswik, Düben, Interbork i w tem ostatniem spotkaniu ocalił artylerję marszałka Ney'a, porzuconą na pastwę nieprzyjaciela przez uchodzących z pola walki Francuzów. Przedstawiony za ten czyn do krzyża legii honorowej, otrzymał tę zaszczytną odznakę dopiero po bitwie pod Lipskiem, w której to batalii nie ustąpił z pola walki aż do końca, mimo dwóch ran, odniesionych w tem krwawem spotkaniu, by odznaczyć się niebawem w bitwie pod Hanau, (dnia 30 października 1813 r.), która otworzyła Napoleonowi drogę powrotu do Francyi. W Le Mans, dokąd się ściągały wszystkie oddziały polskie, odcięte od głównej armii, zastała Szymanowskiego wiadomość o kapitulacyi Paryża oraz o abdykacyi cesarskiej. Zwołał więc Dąbrowski do siebie wszystkich wyższych oficerów na naradę, z której wypadło, iż Szymanowski wraz z Sokolnickim udadzą się do Fontainebleau celem przypomnienia Napoleonowi, iż wojsko polskie dopełniło wobec niego wszelkich zobowiązań, oraz z prośbą, o radę, co mu nadal czynić wypada. Zbyci ogólnikami, udali się obaj wysłannicy z Fontainebleau do

przebywającego w Paryżu cara Aleksandra, dopraszając się u niego pozwolenia na powrót wojska polskiego do ojczyzny z bronią w ręku i z honorami wojskowymi. Nieszczęśliwie im car najpochlebniejszych zapewnień, a gdy w jakiś czas później Szymanowski znalazł się w Petersburgu, doznał nadzwyczaj przychylnego przyjęcia u dworu. Co więcej, gdy dnia pewnego, pułkownik jako widz przyglądał się popisom wojskowym w Strelnej, zbliżył się do niego wielki książę Konstanty i wezwał Szymanowskiego, by dnia następnego udał się wraz z nim do cara, celem podziękowania za mianowanie go adjutantem. Zaszczycony tak niezwykle odznaczeniem, wyraził wdzięczność z powodu niespodziewanej łaski, równocześnie jednak oświadczył, iż nie może z niej korzystać tak długo, dopóki nie zostanie uwolniony od przysięgi wierności, wykonanej królowi saskiemu, jako księciu warszawskiemu. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi brat carski i nie omieszkał zauważyć, iż od czasu jak istnieje carstwo rosyjskie nikomu nie przyszło do głowy odmawiać takiego zaszczytu oraz, że on nie podejmuje się przedstawić carowi otrzymanej rekuzy...

Mimoto Szymanowski nie zmienił pierwotnego postanowienia, dyktowanego zresztą poczuciem honoru wojskowego i za pośrednictwem generała Siepagina starał się przedstawić przyczyny swej odmowy Aleksandrowi I. Car, lubo zachował wobec Szymanowskiego z tego powodu urazę, nie dał tego poznać na razie, lecz przeciwnie, kazał oświadczyć pułkownikowi, »iż jakkolwiek uważa sprawę Królestwa Polskiego jako ostatecznie rozstrzygniętą, to mimoto nie zobowiązuje go do noszenia carskiej cyfry na szlifach przed zamknięciem Kongresu wiedeńskiego i owszem chwali jego oględność, wpływającą z prawości, właściwej narodowi polskiemu...«

Przy nowej organizacyi armii Królestwa Polskiego Szymanowski, zamianowany dowódcą pułku strzelców pieszych gwardyi, cieszył się zrazu szczególniejszymi względami kapryśnego w. księcia Konstantego, ale rychło niepodległość zdania i szczerść żołnierska pułkownika ściągnęły na niego niełaskę carewicza. Lubiony powszechnie w wojsku i w towarzystwie warszawskiem, podał się Szymanowski w roku 1818 do dymisyi, lecz car przypomniał sobie dawniejszą jego nominacyę i w charakterze przybocznego adjutanta zatrzymał pułkownika na liście oficerów armii, udzielając mu równocześnie nieograniczonego urlopu zagranicę. Jako powód formalny tego zarządzenia posłużył stan zdrowia pułkownika, który już wówczas zapadał na dokuczliwą wielce podagrę. Zjawiał się Szymanowski w Warszawie jedynie podczas pobytu Aleksandra I. w tem mieście i już przed upływem dwóch lat zażądał zupełnego uwolnienia od służby, które też otrzymał, bez przyznania stopnia jeneralskiego, słusznie mu się należącego.

Dopiero powstanie listopadowe powołało dzielnego żołnierza ponownie w szeregi narodowe. Powierzono mu organizacyę dziewiętnastego pułku pieszego i już w lutym 1831 r. pierwszy batalion tegoż pułku bił się pod Grochowem. Przydzielony do dywizyi Giełguda, wkraczającej na Litwę, odznaczył się Szymanowski pod Rajgrodem, (w dniu 29 maja), gdzie Rosyanie pragnąc utrzymać pozycyę, jako klucz województwa augustowskiego, wzgórze, panujące nad ową miejscowoscia, wzmocnili bateryami oraz częstokołami, bronionemi przez korpus siedmiotysięczny Sackena. Mimoto Szymanowski na czele dwóch batalionów zdobył most pod Rajgrodem i przechylił szalę zwycięstwa na naszą stronę, za co rząd narodowy wynagrodził go stopniem jenerała brygady.

W dniu dziesiątym czerwca t. r. cała dywizya Giełguda stanęła w Kiejdanach, witana radośnie po drodze przez ludność, odświętnie przybraną. W kościołach bito we dzwony na przyjęcie wojsk narodowych, kobiety rzucały im kwiaty pod nogi, domy mieszkańców stały otworem dla żołnierzy. Do Kiejdan przybyli główniejsi naczelnicy oddziałów powstańczych, działających na Litwie i Żmudzi, a znalazł się tam również Chłapowski, który chwiejnego Giełguda zdołał na poczekaniu przekonać, iż los całej wyprawy zawisł od wzięcia Wilna. Sprzeciwiał się energicznie temu projektowi Dembiński, wiodący straż przednią wojsk narodowych i wykazywał w gorących słowach niemożność jego wykonania. Popierał go dzielny partyzant żmudzki, Staniewicz, więc na prędce zmieniono znów plan operacyjny i postanowiono nie opuszczać Żmudzi, jeno na zajęcie Połągi oraz w celu oczyszczenia tej części kraju, wysłać Szymanowskiego wraz z dziewiętnastym pułkiem piechoty, z dwoma działami oraz z jazdą, wiedzioną przez Staniewicza a liczącą czterysta koni. Pułk dziewiętnasty, złożony wyłącznie z świeżo zaciężnego żołnierza który dopiero pod Rajgrodem w miejsce kosy otrzymał zdobyte na nieprzyjacielu karabiny, liczył zaledwie ośmuset szeregowców. Słusznie więc zwracał Dembiński uwagę generałów, że nie należy rozdzielać sił i tak już słabych, jeżeli mają na celu opanowanie Wilna. Ale Chłapowski, pełen najlepszych myśli zawołał: »Z podobnym oddziałem nietylko bym Połagę zdobył, ale całą Kurlandję od jednego do drugiego końca przeszedł!... »Tak zatem postanowiono marsz na Wilno i ekspedycję na Żmudź. Myśl usadowienia się na Żmudzi i zajęcia pozycyi między Świętą a Wilią nie była bez pewnych zalet — jak to słusznie zauważa historyk listopadowej rewolucyi, Barzykowski. — Zamożność tego kraju,

ściągnięte tu oddziały powstańcze i czynne wzięcie się do ich uorganizowania, mogły korpus Giełguda wzmocnić do dwudziestu tysięcy żołnierza, a z taką siłą wiele można zrobić na Litwie. Należało jednak spieszyć się do Wilna, gdyż w razie klęski, utrzymanie się na Żmudzi było niepodobieństwem.

Niestety szybkość w działaniu obcą była Giełgudowi, wobec czego i wynik żmudzkiej wyprawy nie mógł być uwieńczony powodzeniem. Nie tracąc czasu, pociągnął Szymanowski ku Rosieniom, dokąd podążały też drobne oddziały powstańcze, a raczej źle uzbrojone drużyny, nie mające wyobrażenia o wojskowej organizacji. Na przysposobienie ochotników do boju nie starczyło wszakże czasu, gdyż w pobliskich Szawlach dobrze oszańcowanych, usadowił się czterotysięczny garnizon rosyjski, dowodzony przez pułkowników Moesta oraz Kotzebuego. W dniu czwartym czerwca zaatakował Szymanowski Szawle, które przedstawiając z natury warowną pozycję a nadto bronione przez ostrzelanego w boju żołnierza, dały skuteczny odpór walecznym lecz nie-doświadczonym w bojowym rzemiośle kolumnom powstańczym. Trzy razy szli nasi do szturmów, znacząc drogę gęstym trupem, a jakkolwiek udało się chwilowo Szymanowskiemu opanować przedmieścia, to jednak pod przewagą ognia nieprzyjacielskiego musiał generał dać hasło do odwrotu. Ocalał niemal cudem. Siedm kuli przedziurawiło jego płaszcz a mimoto żaden pocisk nawet nie drasnął dzielnego żołnierza.

Blisko pięćset ludzi w rannych i w zabitych postradał szczupły oddział Szymanowskiego, a co gorsza, z wątpliwie tak łatwe w powstańczych szeregach, ogarnęło żmudzkie partyzantów. Wszystkim ręce opadły z wyjątkiem naszego wodza, który korzystając z postrachu wznieconego wśród

Rosyan wskutek ataku na Szawle, cofnął się nienagabywany do Cytowian, celem organizacji oddziału. Dzięki ofiarności okolicznego ziemiaństwa powstał niebawem w Cytowianach szpital, w którym panie miejscowe opatrywały z całym poświęceniem rannych, tudzież lejarnia dział i magazyny broni, jaką w tych stronach dało się zebrać. Tymczasem nieprzyjaciel, niezbyt pochopny do starcia w otwartem polu, ogniem i mieczem niszczył posiadłości osób podejrzanych o sprzyjanie powstaniu, dopuszczając się rozlicznych gwałtów i rabunku. Pod wpływem wieści dolatujących go ze wszęch stron o bezprawiach, jakie popełniło rozpasane żołdactwo na bezbronnej ludności, wyprawił Szymanowski w dniu ósmym czerwca t. r. do generała Schirmana, dowodzącego naczelnie na Żmudzi, pismo następującej treści:

Jenerale!

Choć nie wątpię, iż jency polscy są równie dobrze traktowani i z podobnymi względami jak jency wasi, których los wojny oddał w nasze ręce, to mimoto jestem niespokojny, co zresztą jest mą powinnością, o to co się dzieje z kapitanem Kozierackim i podporucznikiem Krassynem z dziewiętnastego pułku piechoty, ciężko rannymi w bitwie pod Szawłami. Ośmielam się upraszać za pośrednictwem oficera - parlamentarza o wiadomości o dopieroco wyrażonych osobach, a jeśli żyją, proszę o pozwolenie na udzielenie im zasiłku pieniężnego. Okoliczności zniewalają niekiedy narody do walki, ale honor wojskowy każe pamiętać o obowiązkach ludzkości z chwilą ustania boju, z chwilą ostatniego strzału armatniego. Oddział wojsk, pozostający pod rozkazami Waszej Ekscellencyi, stawiał zaszczytny opór pod Szawłami, co skłania mnie do wyrażenia poważania dla ich wodza. Wybacz jednak jenerale, iż odwo-

łam się do Twego poczucia honoru z powodu rabunku, gwałtów, ucisku i pożogi, jakich się dopuszczają pańscy żołnierze. Sądzę, że nie są oni upoważnieni do podobnego postępowania ani ze strony Waszej Ekscellencyi, ani nawet ze strony F. E. jenerała-gubernatora hrabiego Paklena. Niemniej nieubłagana historia uczyni kiedyś panu zarzut z powodu, iż mogłeś coś takiego ścierpieć. Już i dziś wiele zagranicznych dzienników wylicza ohydne czyny, jakich się dopuścił tutaj na Żmudzi pułkownik B....e. Czyż potrafisz znieść spokojnie jenerale, by nazwisko Twe, nazwisko dzielnego żołnierza, łączono z mianem człowieka, któremu świat ucywilizowany zarzuca barbarzyństwo? Wątpię, by istniały rozkaz lub ustawa, zniewalające człowieka, noszącego epolety, do zamykania oczu wobec okrucieństw, przeciwnych honorowi, jeżeli już nie ludzkości. Pewny jestem jenerale, że nie są ci znane czyny mnie wiadome. Inaczej, nie zniósłbyś czegoś podobnego, albo też pozostawałbyś w niezgodzie z własnym sumieniem. Inaczej, przekonałbyś się pan, że Opatrzność Boża spełni wcześniej czy później wyrok wyższej sprawiedliwości na Twojej własnej rodzinie. Proszę, nie bierz pan za złe otwartości starego żołnierza, który umie cenić honor innych, gdyż jego własna cześć jest mu drogą, żołnierza, który wie, iż nie należy przysparzać nieszczęść krajowi nawiedzonemu wojną, bo dość jest klęsk, którym przeskodzić niepodobna...

Niebawem po wyprawieniu tego listu, jenerał Schirman opuścił Szawle i wszystkie swe siły ściągnął do Kurlandyi. Odwrót ten spowodowany został ruchem wojsk narodowych, które po nieudalym ataku na Wilno zwróciły się ku Żmudzi. Była to myśl przednia, gdyż Wilia, Święta, Niewiaza i Dubisa stwarzały silne linie obronne, wzdłuż których można było

próbować szczęścia nawet wobec przeważnych sił przeciwnika. Lecz u Giełguda nic nie było stałego i co godzina zmieniały się plany działania w głównej kwaterze, rozłożonej beczynninie nad Wilią. Tymczasem Szymanowski, już w dniu dwudziestym trzecim czerwca zajął Szawle, a czując, że niedługo pozostawi go nieprzyjaciel w spokoju, wywiózł z miasta zapasy żywności, tudzież rannych żołnierzy polskich, pielęgowanych w tamtejszym lazarecie i wzmocnił okopy od strony, z której się spodziewał ataku. Jakoż po upływie dni kilku, zwiady wysłane aż do Myszkuć, doniosły o zbliżaniu się znacznych sił rosyjskich. Podkomendni Szymanowskiego domagali się ustąpienia z miasta bez walki, ale doświadczony żołnierz zdołał przekonać swych podwładnych, iż nie godzi się opuszczać stanowiska bez wymienienia z przeciwnikiem choćby jednego wystrzału. Pozostawiwszy więc część oddziału w Szawlach, wyszedł z resztą swej komendy o pół mili na spotkanie Rosyan, ciągnących w ośm batalionów pod dowództwem pułkownika Krukowa. Starcie było niezwykle gwałtowne, lecz mimo znacznej liczebnej przewagi po stronie przeciwnika, wycofał się Szymanowski po dłuższej walce z miasta, z którego wczas jeszcze zdołał uprowadzić rannych i jeńców, a straty wyrządzone przez nasze działa wśród kolum rosyjskich, sprawiły, iż Kruków nie mógł i myśleć o wyzyskaniu chwilowej przewagi. Szymanowski cofnął się w najlepszym porządku do Cytowian, zaś jazda szawelska pod osłoną Grzymały zasłaniała wybornie jego odwrót. W Cytowianach połączył się z Szymanowskim wiecznie niezdecydowany Giełgud i tam też odbyła się wielce burzliwa rada wojenna, w czasie której zgromadzony pod oknami domostwa korpus oficerski, głośno dał wyraz niezadowoleniu ogólnemu z powodu dotychczasowych działań. Chcąc złe

zażegnać, Giełgud otworzył okno by zapewnić zebranych, że bić się będzie do upadłego i tej to zapewne demonstracji przypisać należy, iż postanowiono za każdą cenę odzyskać dopieroco utracone Szawle.

Tabory wyprawiono w lasy i w dniu siódmym lipca wojsko ruszyło w pochód. Główny korpus posuwał się przez Rudki, zaś oddział Szymanowskiego przez Szawrany, gdyż jemu przypadło w udziale atakowanie miasta od strony Poniewieża. Oddzielony od reszty korpusu jeziozem i rozległymi bagnami, napróżno oczekiwał Szymanowski wypuszczenia w głównej kwaterze racy, która wedle umowy, o godzinie pierwszej po północy miała dać hasło do wspólnego szturmu przez wszystkie oddziały równocześnie. Tymczasem noc przeszła a znaku nie było, bo zapomniano o wzięciu rac z sobą... Tak więc dopiero o świcie ósmego lipca, huk dział zwiastował początek walki pod Szawłami. Szymanowski miał do przebycia długą, wąską groblę, ostrzeliwaną z jednej strony przez nieprzyjacielskie działa, grające bez przerwy z warownej reduty, z drugiej znów strony bronioną przez wysoką wieżę, z której parapetów sypała piechota gęstym ogniem karabinowym na atakujących. Dla zachęcenia piechoty, która już przy poprzednim szturmie na Szawle znacznie ucierpiała, puścił się generał napróżd na czele szwadronu żmudzkiej jazdy. Dotarła ona wprawdzie do wnętrza miasta, lecz legła co do nogi od kartaczowego ognia przeciwnika. Strzelcy nasi, rozsypani w tyraliery, nie dotrzykali placu, mimo gorącej zachęty ze strony wodza. — Męstwo generała Szymanowskiego mogło za wzór służyć, — pisze o owej potrzebie niezbyt skłonny do pochwał Dembiński. — Trudno, aby kiedy więcej osobistej odwagi widzieć można było. Płaszcz jego od kul był podziurawiony.

Cóż jednak znaczyło męstwo żołnierza i pogarda śmierci ze strony dowódców poszczególnych oddziałów, wobec braku wspólnego działania i kierującej naczelnie dłoni? Atak Giełguda od przodu, źle pomyslany, źle też został wykonany. Jeden tylko batalion siódmego pułku piechoty zdołał się przedrzeć aż do środmieścia, lecz nie poparty dostatecznie musiał się cofnąć, tracąc prócz dzielnego komendanta, majora Jaromy, także księdza Logę. Wołającego do towarzyszy broni kapłana, iż Polak kroku nie cofa, kula karabinowa trupem położyła na miejscu.

Czas jeszcze jakiś trwała pukanina bez celu i wartości, aż w końcu wydał Giełgud rozkaz do odwrotu ku Kurszanom, nie troszcząc się wcale o oddział Szymanowskiego, zmuszony do okrążenia Szawel. Ucierając się bez przerwy z nieprzyjacielem, który z odpornego przeszedł w zaczepne działanie, dostał się wreszcie nasz generał do Kurszan, gdzie zastał zbiorowisko bezładne żołnierzy, koni, wozów i dział, w najwyższym nieporządku, bez żadnych placówek wobec bliskiego pościgu przeciwnika. O świcie dnia następnego, (dziewiątego lipca), odbyła się rada wojenna, na której Szymanowski wraz z generałami: Rolandem i Chłapowskim, oraz z pułkownikami Borkowskim i Wiśniewskim, oświadczył się za rozdziałem korpusu i przyłączony do kolumny Rolanda bił się jeszcze pod Użwętami, Chwołajnią, Szweksznem, Gierdową i Nowem Miastem, czując, że obowiązkiem jego było wytrwać do ostatka. W Deguciach oddział Rolanda, zdziesiątkowany dezercją i osaczony z trzech stron przez Rosyan, nie mógł i myśleć o daniu skutecznego oporu, gdyż żołnierz był demoralizowany, głodny i bosy. Na radzie wojennej postanowiono więc naprzód wystrzelać całą amunicję zapasową i dopiero w ostatecznym razie wkroczyć do Prus. Szymanowskiego

upoważniono do traktowania z władzami pruskimi. W dniu piętnastym lipca, o świcie, nieprzyjaciel silnie zaatakował nasze przednie straże. Roland zajął pozycją i rozpoczął żywy ogień, wśród którego powrócił Szymanowski z dwoma pułkownikami pruskimi, z którymi umówiony został układ przejścia granicy i złożenia broni. Wkroczenie nastąpiło tegoż dnia pod wiał Pakemomen, przyczem rząd pruski zapewnił Rolanda, że podkomendnych jego nie wyda Rosyanom, oraz że po odbytej kwarantannie cholerycznej, pozwoli im powrócić, do Polski. Przrzeczeń tych nie dotrzymano, gdyż żołnierzy uprowadzono pod bagnetami w głąb kraju, zaś od oficerów zażądano pod słowem honoru oświadczenia na piśmie, że do końca wojny nie opuszczą wyznaczonych im leż. Szymanowski oraz dwudziestu dwu oficerów, odmówili podpisu żądanych rewersów. Opornych zamknięto przeto w twierdzy Weichselmünde, pod Gdańskiem, skąd odzyskali wolność dopiero w grudniu 1831 roku, wraz z poleceniem opuszczenia terytorium pruskiego.

Jenerał osiadł chwilowo w Dreźnie, gdzie już dawniej zamieszkała małżonka jego, Matylda z Poniatowskich wraz z dziatwą. Ale wpływy rosyjskie po stłumieniu powstania listopadowego, sięgały daleko poza granice caratu. Zmuszony do opuszczenia Drezna, mimo łaskawych względów doznawanych ze strony saskiego dworu, przeniósł się Szymanowski do Karlsruhe, gdzie na dworze w. ks. Badeńskiego był osobistością nader mile widzianą z powodu ogłady swej, wesołości i zacności charakteru. Ale liberalne rządy w. ks. Leopolda stały się niebawem solą w oku absolutnym mocarstwom i rząd badeński ulec musiał reakcyjnym żądaniom przemożnych sąsiadów. Musieli więc i polscy wygnaćcy gdzieindziej szukać przytułku. W lecie 1839 roku widzimy

Szymanowskich w Neapolu, a raczej w Ischii, gdzie zwykli byli przepędzać skwarną porę. Następnej zimy przenieśli się do Rzymu i z owych czasów, w pamiętnikach księdza Kaysiewicza, dość częste znajdujemy wzmianki o domu jenerałstwa. Ksiądz Kaysiewicz gościł również u Szymanowskich na Ischii i w liście pisanym do Jana Koźmiana, (w listopadzie 1839 r.), temi słowy charakteryzuje domowe pożycie tułaczey rodziny: ...Pani Szymanowska, która jest duszą całego domu, rodem jest z Ukrainy. Ojciec jej, Poniatowski, jest z starszej linii tegoż domu. Lat dwadzieścia blisko cierpi ona ciągle a cierpi nieskończenie. Zostały ślady dawnej urody, to mniejsza, ale jaka odwaga w cierpieniu i wesołość i uprzejmość i ciągle oko na wszystko. Cierpiąca wychowała swe dzieci, syna do piętnastego roku, aż go koniecznie z rąk opuścić musiała czystego jak liliję... Córki także są, jak gdyby dziś się narodziły, nie rumienią się, nie spuszczaają oczu, bo nic nie wiedzą czegoby się wstydzić miały, niczego się nie dorozumiewają. Starsza ma popęd główny do miłosiernych uczynków, Być siostrą szarą, to jej ideał. Młodsza by się ciągle modliła i umartwiała ciało, ale obydwie towarzyszą sobie we wszystkim. Trzeba im kazać jeść przy stole, bo wszystko chcą dla ubogich zostawiać; trzeba wzbraniać, aby nie klęczały za długo i powiem ci jako tajemnicę, (bo to jest własność nie moja), że matka w wielki post zbudziwszy się, znalazła obie modlące się i naprzemian się biczujące i co więcej, że im tego zupełnie nie wzbroniła, aby ufności do niej nie straciły, ale tylko określiła tak, aby słabemu ich zdrowiu to nie szkodziło... Po obiedzie trzydziestu żebraków dostawało zawsze jedzenie; dzieci, baby, poubierane w suknie, szyte w wolnym od nauk czasie; innym lekarstwa lub jedzenie do domu, innym pensye stałe posyłano...

W porze rannej ksiądz Semeneńko udzielał pannom lekcyi historyi polskiej, odwdzięczając się w ten sposób za gościnę, użyczoną mu wraz z Kaysiewiczem w domu Szymanowskich, których syn, Oswald, wychowany w jednym z głośnych pensyonatów genewskich, korzystał też niemało z światłego towarzystwa obu kapłanów. W jesieni 1839 roku zjechali Szymanowscy na dłuższy pobyt do wiecznego miasta, którego generał już do zgonu nie opuścił, lubo rodzina jego z powodu trudności paszportowych, czynionych przez rząd rosyjski przebywającym w Rzymie Polakom, przeniosła się później do Szwajcaryi, odwiedzając go od czasu do czasu i zaopatrując wszystkie jego potrzeby. Nawiązawszy stosunki z kardynałami i z arystokracją miejscową, zdołał Szymanowski pozyskać zaufanie Piusa IX., któremu też towarzyszył w czasie pamiętnych rozruchów czterdziestego ósmego roku do Gaëty. O tym dowodzie przywiązania ze strony starego wojownika, pełniącego podówczas służbę narodowego gwardzisty, nie zapomniał Ojciec Święty po powrocie do Rzymu. O cokolwiek prosił nasz generał — słowa ks. Kaysiewicza — pewien był, że otrzyma; kogokolwiek polecił ze swych rodaków, był pewnym, że zostanie uprzejmie przyjętym. Nie raz zatrzymywał się Papież na ulicy, by dać naszemu starcowi rękę do ucałowania i rozweselić go anielskim uśmiechem i słowem jakim, jemu samemu tylko właściwem. Panującego naśladował dwór, naśladowały władze i osoby rządowe. Lud rzymski znał i wielbił sędziwego a pobożnego generała polskiego, którego codnia widywano po kościołach a często na procesyach i na nabożeństwach publicznych. Dla przejezdnych rodaków był Szymanowski doradcą i jakby konsulem polskim. Młodych i niezamożnych artystów polskich zachęcał i wspierał, ile mógł, z własnej kieszeni a je-

szcze więcej przez innych, polecając ich zamożniejszym krajowcom.

Szczególniejszą też życzliwością otaczał generał zgromadzenie OO. Zmartwychwstańców, któremu, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia, niejednokrotnie stał się pomocnym przez swoje znajomości oraz stosunki. Mieszkając tuż opodal codziennie nawiedzał kościół Świętego Klaudyusza, chyba że go silniejszy atak pedogry przykuwał do łoża. W ten sposób przeżył Szymanowski ostatnich lat dwadzieścia pięć żywota w Rzymie. Z wiekiem rosła niemoc, wzrastały się cierpienia fizyczne, spotęgowane jeszcze bardziej smutkiem z powodu straty córek Anny i Zofii, zamężnej Szembekowej, zgasłych w kwiecie wieku, oraz wieściami dolatującymi z kraju, po styczniowym powstaniu. Szukał przeto pociechy osamotniony starzec w modlitwie i zgasł cicho, gdyby lampa wypalona, w dniu piętnastym stycznia 1867 roku na rękę księdza Kaysiewicza. Zwłoki jego spoczęły w sklepach świątyni *Sta Maria sopra la Minerva* zaś *Osservatore Romano* wspominając o zgonie Szymanowskiego, nazwał go słusznie: najwierniejszym i najbardziej przywiązany do Ojca Świętego synem, oraz przedstawicielem starodawnego honoru polskiego.

Do spisywania wspomnień z czynnego swego życia przystąpił Szymanowski w późnym dopiero wieku, gdyż zaczął układać pamiętnik w Rzymie, w roku 1858, stąd też spuścizna literacka generała nie jest zbyt bogatą a reminiscencye, kreślone z pamięci, bez jakichkolwiek notat i kart geograficznych, drżącą ręką starca, wymagały pewnych zmian w stylizacji, opuszczenia powtórzeń oraz mniej ważnych epizodów. Prócz pamiętników, noszących w oryginalnym tekście tytuł: *Wspomnienia z czasów Józefa Szymanowskiego, byłego*

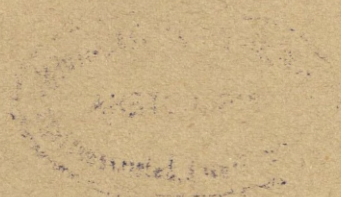
jenerała wojska polskiego, (emigranta), znalazły się jeszcze w papierach Szymanowskiego: *Wyciąg poprawny z notatek A. K. przy moim sztabie będącego*, obejmujący niektóre szczegóły, dotyczące nieszczęsnej wyprawy Giełguda na Litwę, tudzież fragment biografii księcia Adama Czartoryskiego. Z przedmowy tego fragmentu zdawałoby się wynikać, że Szymanowski zamierzał kreślić sylwetki osób, odegrywających ważniejszą rolę w powstaniu listopadowym. Skończyło się niestety na projekcie, a raczej na dość pobieżnym szkicu biograficznym księcia Adama. Tak więc, jedynie *Wspomnienia* jenerała, obejmujące okres czasu między rokiem 1806—1814 przedstawiają zaokrągloną całość, wielce oryginalną i mnóstwo ciekawych zawierającą szczegółów z doby napoleońskich wojen a nie wątpimy, że zajmą one szerszy ogół jako wierny obraz epoki, tyle pamiętnej w życiu naszym porozbiorowem.

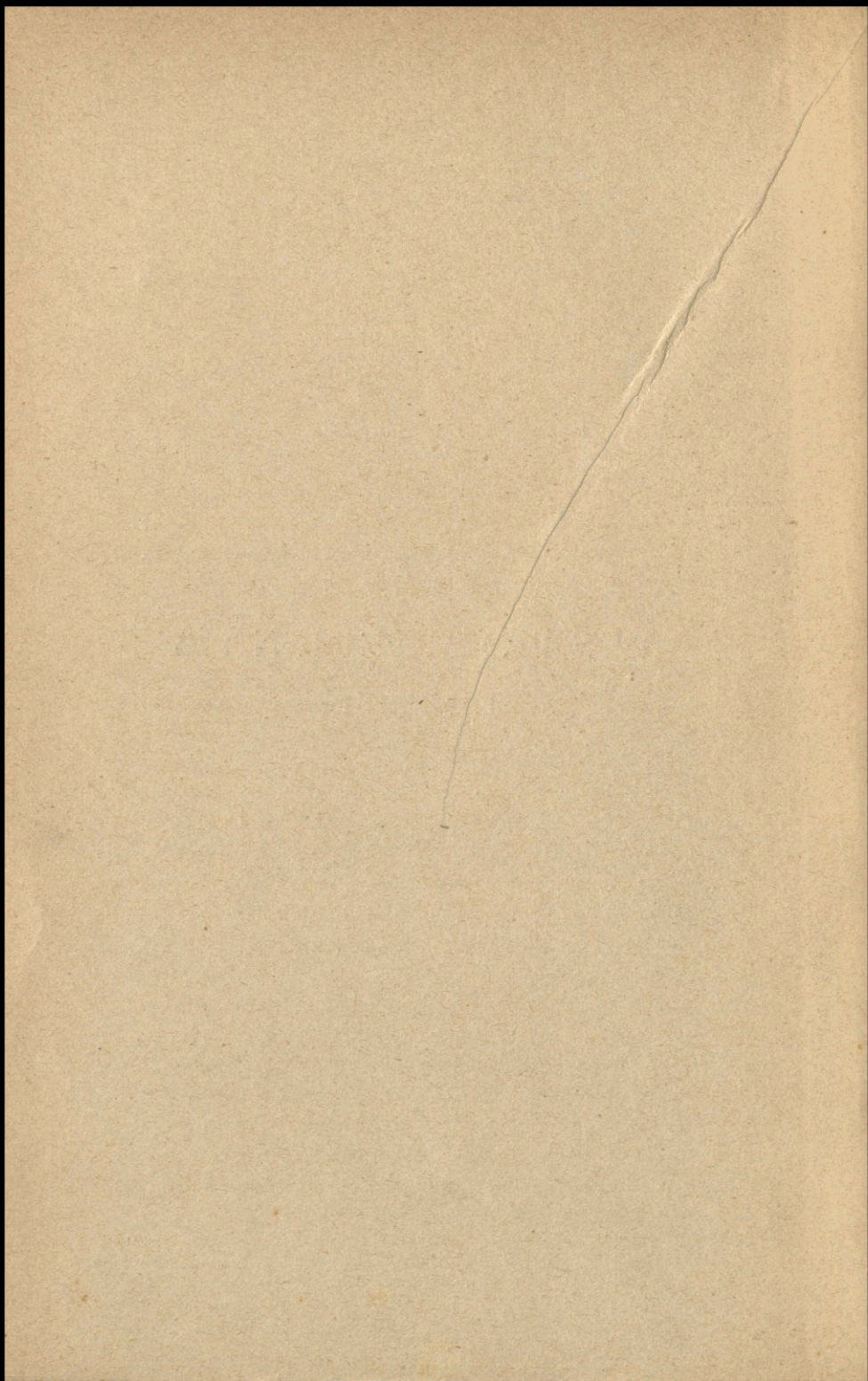
Wydawca.



WSPOMNIENIA

1806—1814





.....

Zaczynam w Rzymie, dopiero w roku 1858 to pisemko, którego początkowa data sięga roku 1806. Przemilczeć bowiem osądziłem za potrzebne o czasach rewolucyi kościuszkowskiej, w której także jako zupełnie niedoświadczony młodzieniec, że tak powiem wyrostek, acz dość gorliwy patriota, uszedłszy potajemnie z domu rodziców i z korpusu kadetów warszawskich, znajdowałem się w obozie pod Warszawą, przy sztabie jenerała Ignacego Kamińskiego, dowodzącego jazdą. Przejdę raczej do owej, pamiętnej mi epoki, w której Napoleon po pobiciu pod Jeną armii pruskiej, zająwszy Berlin, posunął się na czele zwycięskich swych wojsk ku Warszawie. Zamieszkały w majątku moim dziedzicznym Grądy, pod Błoniem, o mil cztery od Warszawy, gdy mię wieść doszła o zbliżaniu się armii francuskiej, pospieszyłem natychmiast do miasta dla zaciągnięcia dokładniejszych wiadomości. Jakoż przekonawszy się, że Francuzi już i Poznań zajęli, czyniłem w domu przygotowania, aby się do niej najspieszniej dostać a wydając ludziom i domownikom moim różne polecenia jakie uważałem za potrzebne, nie mogę zamilczeć o drobnym wypadku, charakteryzującym tak ducha patriotycznego ludu naszego, jakoteż zdrowe jego pojęcie i rozsądne do ojczyzny oraz do dziedziców przywiązanie. Gdy bowiem mówiłem staremu hajdukowi ojca mego nieboszczyka, Kazimierzowi Krupińskiemu, trudniącemu się zarządem mego domu, oraz sołtysowi miejscowemu, Balcerowi, jak mają sobie postąpić,



gdyby jakieś obce wojsko nadciągnęło, wówczas obaj ci ludzie w sekrecie wzięwszy mnie na stronę, powiedzieli mi te słowa:

— A my domyślamy się, dokąd Wielmożny Pan jedzie...

— A dokąd? — zapytałem.

— Oto do Napartego, (Bonapartego), odpowiedzieli mi obaj. Niechajże Bóg wszechmogący Pana szczęśliwie prowadzi. Bogdajby te Francuzy jak najprędzej do nas zawitali a tych szołdrów, Niemców, od nas wygnali! Jedźże Pan spokojnie, bo my tu o Jego dobrach mieć będziemy większe staranie jak o własnym naszym dobytku...

Wziąwszy w Sochaczewie pocztę, wyruszyłem na trakt ku Poznaniowi. Dość szczęśliwie odbywałem tę podróż, nie spotykając wcale wojska pruskiego, którego niedobitki wprost z Berlina ku starym Prusom podążały. Wprawdzie w pobliżu Kutna spotkałem znanego mi porucznika Neumana, który z swymi kirasyerami spędzał podwozy chłopskie celem przewiezienia zapasów amunicji z Łęczycy do Warszawy. Spotkany jednak, chociaż domyślał się dokąd dążę, okazał się o tyle delikatnym, iż mi żadnych nie czynił przeszkód w odbyciu dalszej podróży. Już dobrze pod wieczór stanąłem pod Swarzędzem, gdzie pierwszy raz w życiu usłyszałem: *Qui vive!* Co się w mem sercu i w duszy działo, jak byłem cały wzruszony — tego opisać nie jestem mocen. Zaprowadzono mię do pułkownika strzelców konnych, Excelmansa, który zadawszy mi kilka pytań, dotyczących pruskiego w Warszawie i w okolicy garnizonu, dozwolił jechać do Poznania. Tam przybywszy, udałem się w nocy do generała Dąbrowskiego, którego nie znałem jak z reputacji i poszedłem z nim razem do Wybickiego. Ten uradował się, iż mógł jak najspieszniej przez kogoś, komu od razu zaufał, przesłać do Warszawy proklamacyę o powstaniu narodowem, już w Poznaniu wydrukowaną. Dał mnie, nie pomnę już, ile egzemplarzy, wymieniając niektóre osoby, którym ją szczególnie byłem winien wręczyć. Z tych, o ile sobie przypominam, byli Pociąg, Kochanowski i Szaniawski; innych nie pamiętam.

Wyraźnie przecież tak on, jak i generał Dąbrowski, zastrzegli sobie, abym jej nie udzielał księciu Józefowi Poniatowskiemu, wobec którego nie żywili zaufania, choć ja je w nim zupełne pokładałem. Odebrawszy więc odezwę od Wybickiego, pospieszyłem do Warszawy, gdzie dopełniwszy danego mi zlecenia, nie omieszkałem przecież doręczyć jeden egzemplarz proklamacji księciu Józefowi a to w obecności Stasia Potockiego, którego właśnie w jego gabinecie zastałem. Co wykonawszy, natychmiast opuściłem Warszawę i wróciłem do Grądów, gdzie nawet nie przenocowawszy udałem się do Sochaczewa. Tam wzięwszy ekstrapocztę, puściłem się głównym traktem na Kutno ku Poznaniowi. Tym razem spotkałem już armię francuską w Sąpolnie. Zaprowadzono mię znów do pułkownika Excelmansa, dowódcy aryergardy trzeciego korpusu wielkiej armii, pozostającej pod rozkazami marszałka Ludwika Davousta. Marszałek był mężczyzną okazałej postaci. Spojrzenie jego było ostre. Nawet i wtedy, gdy chciał się przypodobać komu, miał coś imponującego w swym wzroku. Poświęcenie jego dla osoby Napoleona nie znało granic, podobnie jak bezinteresowność, jaką wyróżniał się wśród marszałków wielkiej armii. Wszelki rabunek karciał surowo, winnych karał rozstrzelaniem. Ale też z drugiej strony marszałek jak największe miał staranie, aby wszelkie dystrybucye a szczególnie żywności, jak najregularniej żołnierza dochodziły nawet w miejscu i w czasie, gdzie dostarczanie prowiantu z największymi było połączone trudnościami. Zresztą, umiał on nie tylko walczyć z przeciwnościami, ale też je przewycięzać, a charakter jego i żelazna wola były silne oraz nieugięte.

Pod rozkazy takiego dowódcy dostałem się na samym początku mej służby wojskowej. Nie odgadnąłbym wprawdzie, jak się to stało, ale chociaż mój marszałek był nader nieufnym i podejrzliwym, to mimoto zdołałem od pierwszych zaraz dni pobytu w sztabie pozyskać jego zaufanie i wzajemnie podobaliśmy się sobie, czego trzyletnia bytność moja przy jego osobie, w wielorakich zdarzeniach, była mi niez-

przeznaczonym dowodem. Sztab marszałka składali: już nieco podeszły wiekiem szef sztabu korpuśnego, generał dywizji Dautane, człowiek zasługujący ze wszech względów na szacunek, podszef sztabu, generał brygady Herve, również czcigodny mąż, adjutant-komendant pierwszy Barg, Anglik z pochodzenia, łączący oryginalność wyspiarza z osobistymi zasługami i z odwagą. Drugim adjutantem-komendantem był pułkownik Ludwik Romeuf, jeden z najuprzejmiejszych Francuzów, jakich mi się spotkać przydarzyło, służbista i salonowiec w jednej osobie. Trzecim adjutantem-komendantem był Henryk Davoust, brat marszałka. Znajdował się także w sztabie generał zdaje mi się Bonet, czy Beauprè, wuj marszałka, a prócz niego było jeszcze wielu różnej rangi oficerów, bądź przydzielonych do sztabu, bądź też w charakterze osobistych adjutantów wodza, jak Raul Montmorency, Anatol Montesquieu, Tomasz Martin, Cristoph i Zadora, Polak zfrancuziały na poły i kilku innych, których nazwisk już nie pamiętam. Ogółem liczono do dwudziestu adjutantów marszałka. Wszyscy prawie okazali się dla mnie bardzo miłymi towarzyszami, dobrze wychowanymi i zgodnymi w pożyciu. Jakkolwiek sztaby marszałków dowodzących były bardzo liczne, to jednak po wkroczeniu do Polski, musiano je uzupełniać oficerami krajowymi, władającymi francuskim językiem. Jakoż wkrótce po mnie przy sztabie Davousta zamianowani zostali: Kobylański, Roztworowski, Franciszek Potocki, Mierosławski, tudzież dwaj kuzyni moi, Aleksander oraz Ignacy Szymanowscy. Kancelaryę przyboczną marszałka składało pięciu czy sześciu sekretarzy cywilnych. Był między nimi, pamiętam, niejaki Bichon, czy też Pigeon, wielką posiadający łatwość pióra, oraz improwizujący na prędce dowcipne sztuczki teatralne okolicznościowe. Naczelnikiem kancelaryi był Lenoire, zdolny i światły człowiek, nieznający wszakże żadnego języka, prócz francuskiego.

Wogóle, wszyscy Francuzi byli mniej więcej życzliwi wskrzeszeniu Królestwa Polskiego, jakoteż wielce przychylni

Polakom, nie szczędząc wszakże zabawnych a miłość naszą niezbyt obrażających ucinków i żartów. I tak na przykład, przypominam sobie, że wyrażenia: *kleba, niema, woda, zara-sara* były na ustach każdego francuza a nawet samego cesarza. Gdy znów pod Gołyminem, koło Pułtuska, (którą to miejscowość zwali francuzi: Piulstuk), w jesiennej porze, brnęliśmy maszerując, w błocie po kolana, wszyscy prawie wołali: Ach co za przeklęte bagno i oni nazywają to ojczyzną!...

Inne i żywsze były życzenia samego marszałka dla naszej sprawy, która zdawała się go szczerze interesować. Z uczuciem tem zdradzał się niejednokrotnie rojąc sobie, iż może zostanie kiedyś królem w Polsce, jak Murat w Neapolu lub Bernadotte w Szwecyi. Ta to tajemna myśl marszałka, której nigdy nie wyjawiał, była zapewne powodem, iż przez długi czas nietylko, iż nie był przychylnym księciu Józefowi Poniatowskiemu, w którym mógł upatryć jedyne, prawdopodobnego współzawodnika do korony polskiej, lecz się do niego zbliżyć nie kwapił i rad słuchoł plotek przeciw księciu rozsiewanych przez niektórych jenerałów tudzież urzędników, osobiście księciu nieprzychylnych. W podobnych wypadkach jeden tylko czcigodny pułkownik Romeuf i ja, cośmy sobie pozwalali jawnie i wyraźnie występować w obronie księcia Józefa. Razu jednego poważylem się powiedzieć marszałkowi, bo wszystko odemnie przyjmował, te słowa, które mi on sam później w Wrocławiu powtórzył: Pan, panie marszałku chętnie dajesz posłuch wszelkim plotkom, zniechęcającym Pana do księcia Poniatowskiego. Drobnostki te jątrzą Pana przeciwko niemu. Przyjdzie jednak czas, iż się pan wstydić będziesz z powodu zapoznania zasług księcia, gdyż jest to prawdziwy, polski Bayard, rycerz bez zmayı i bez trwogi!...

Odparł mi wówczas Davoust: Tak się tobie zdaje, gdyż jesteś do księcia szczerze przywiązany. Co do mnie, nie podzielam pańskiego, dodatniego sądu, a zresztą zobaczymy, bo może i sam później zmienisz przekonanie...

— Wybacz marszałku — rzekłem — lecz nie przypuszczam czegoś podobnego...

Marszałek przy całej otwartości charakteru, bardzo boleśnie odczuwał każde ubliżenie jakim od czasu do czasu starano mu się dokuczyć. I tak korpus trzeci w zamian za odznaczenie się pod Auerstädt, otrzymał zaszczyt wnijsćia w tryumfalnym pochodzie do Berlina i od tego czasu tworzył straż przednią całej armii napoleońskiej. Sądził przeto Davoust, iż pierwszy również wnijdzie do Warszawy, gdy wtem niespodziewanie, w pobliżu Błonia, zajechał mu drogę księżę Bergu, Joachim Murat, z upoważnieniem cesarskiem do reprezentacji osoby monarchy, jako jego zastępca, (*lieutenant de l'empereur*). Fakt ten jeszcze bardziej zniechęcił marszałka do Murata, którego już dawniej niecierpiał. Murat tedy stanął w zamku królewskim, zajmując apartament monarszy a my poprzestać musieliśmy na dość obszernym coprawda pałacu brylowskim.

Murat acz z twarzy niezbyt przystojny, postać miał przyjemną i okazałą, wyróżniając się zawsze pewną oryginalnością w stroju. Reprezentując cesarza na pierwszym zaraz przyjęciu w zamku, gromadzącem nietylko osoby płci obojga z pierwszych pochodzące w kraju rodzin, ale też przedstawicieli różnych klas społeczeństwa a osobliwie wojskowych ukazał się nam w hiszpańskim, dworskim stroju i swoją, że tak powiem, teatralną reprezentacją wszystkich uderzył, wszystkim zaimponował. Damom naszym wielce się podobał, bo był przyjemny, zalotny i posiadał piękne maniery, na jakich zbywało memu marszałkowi. Davoust, o ile zapamiętam, nie był na tem zebraniu, ale nam wszystkim bynajmniej nie wzbraniał asystować Muratowi. Sztab Murata składał się z kwiatu młodzieży francuskiej, która tworzyła ozdobę pierwszorzędných salonów ówczesnego Paryża. Byli to w rzeczy samej bardzo przyjemni młodzi ludzie, osobliwie Flahaut, przystojny mężczyzna, śpiewak i kompozytor rozmaitych romansów oraz aryi francuskich. A że wtedy trubadurowie byli w modzie, więc gdziekolwiek który z adjutantów Murata

a osobiwie Flahaut obiecali swą obecność wieczorem, tam pewnie liczne dam grono znaleźć można było. Przytem był Flahaut, podobnie jak inni sztabowcy Murata, lubownikiem teatru *de société* i dobrym aktorem.

W kilka lub kilkanaście dni po przybyciu Murata do Warszawy, jeździł mój marszałek wraz nim i z księciem Poniatowskim, którego Murat serdecznie polubił, do Serocka i do Modlina. Po obejrzeniu fortyfikacyi tamtejszych, przyjechaliśmy na dość późny obiad do Jabłonny, gdzie książę Józef Poniatowski przyjmował tych panów z przyzwoitą i wystawną gościnnością.

Ponieważ przy ustanowieniu przez Napoleona godności marszałkowskiej w armii francuskiej, kilkunastu marszałków zamianowano równocześnie, przeto wszyscy oni uważali się za równych sobie i wyjąwszy nadzwyczajnych wypadków, nigdy jeden nad drugim nie obejmował komendy. Ztąd też między marszałkami istniała ciągła niechęć i współzawodnictwo. Rzadko też zdarzało się, by zachowywali między sobą dawniejszą przyjaźń, natomiast wszyscy byli zazdrośni o względy Napoleona. Przyznać przecież cesarzowi należy, iż nigdy prawie dla faworu, lecz zawsze za istotne i ważne usługi oddawane Francyi, hojnie wynagradzał swych marszałków. Jeden może tylko Berthier, który ciągle sprawował obowiązki szefa jeneralnego sztabu, z wszystkimi marszałkami żył w dobrej harmonii. Drugim był Bessiéres. Zresztą wszyscy inni niecierpieli się wzajemnie i gotowi byli nawet podczas wojny, z uszczerbkiem ogólnego rezultatu, działać, jak naprzykład Suchet i Soult w Hiszpanii.

Wkrótce po owem zainstalowaniu się Murata w Warszawie, marszałek Davoust z większą częścią swego korpusu przeszedł Wisłę i założył główną kwaterę w Jabłonnej, gdzie z powodu częstych skarg włościańskich, wymierzonych przeciw żołnierzom a pochodzącym zazwyczaj z nieporozumień językowych, zamianowany zostałem komendantem. Wielokrotnie odbierałem skargi i godziłem spory, ale nadużyć nie przebaczałem nigdy. W końcu jednak podziękowałem Bogu

Wszechmogącemu, iż niedługo stojąc w Jabłonnej wymaszerowaliśmy ku Pułtuskowi po owem pamiętnem błocie, o którym długi czas wspominali francuscy żołnierze. Pod Pułtuskim mieliśmy dość żywe spotkanie z Moskałami, gdzie im kilka sztuk armat i kilkaset niewolnika zabraliśmy, (dnia 26 grudnia 1806 r.), a że pomiędzy jeńcami byli i ciężko ranni oficerowie rosyjscy, przeto marszałek chcąc zasięgnąć języka o armii carskiej, kazał mi iść do lazaretu, wypytywać się rannych i co mi powiedzą, podać mu na piśmie. Trafiałem między innymi i na ciężko chorych, którym moje zapytania jako bardzo cierpiącym wcale nie były do smaku. Często od nich nie byłem dość uprzejmie przyjęty, więc wyznaję, że tego rodzaju polecenia, ilekroć mi się wydarzyły, były mi niekoniecznie przyjemne.

Aczkolwiek co tu jeszcze wspomnieć zamierzam, dotyczy po części mej osoby, godziłoby się może, abym o tem drobnem zdarzeniu, z operacyami wojemnymi pozostającym w niej jakim związku, nie przemilczał, gdyż nawet *Gazeta Warszawska* wzmiankowała o niem, zanim jeszcze ogłosiła opis bitwy pod Pułtuskim. Rzecz miała się jak następuje: Wkrótce po przyjeździe do Warszawy, Napoleon dawszy marszałkowi Davoustowi rozkaz posunięcia się ku Pułtuskowi, podążył za nim osobiście pod Pomiechów nad Wkrą. Stając na miejscu późnym wieczorem, zastał cesarz marszałka zajętego odbudową świeżo spalonego przez Rosyan mostu, którego część jeszcze trzymała się na palach. Po drugiej stronie rzeki obozował nieprzyjaciel. Napoleon naglił, by jak najrychlej przyróżono komunikację z przeciwnym brzegiem a usłyszawszy raport komendanta inżynierów, iż dopiero po upływie kilkunastu godzin może most zrestaurować, zawołał zniecierpliwiony:

— Podajcież coprędzej łódkę. Niech w nią siada tylu ochotników, ilu się zmieści i niech się przeprawią na drugą stronę!...

Co usłyszawszy kolega mój Ziemecki i ja, gdy czółno już stało u brzegu, przeżegnawszy się, wskoczyliśmy w nie

wraz z pięcioma innymi Francuzami, gdyż więcej jak siedmiu ludzi nie mogło się w łodzi zmieścić, poczem przedostaliśmy się już w nocy na drugi brzeg Wkry, obsadzony przez Rosyan. Owe przeżegnanie się nasze nie uszło baczności Napoleona, stojącego tuż przy odpływającym czółenku, więc zapytał marszałka:

— Kto zacz są ci dwaj młodzi ludzie?

— Są to oficerowie polscy z mojego sztabu, — odpowiedział Davoust.

— To dobrze — zakonkludował cesarz, — dobrzy chrześcianie są dobrymi żołnierzami.

Bolesno mi przecież było, że w *Gazecie warszawskiej*, która ten czyn i słowa Napoleona ogłosiła, byłem tylko ja jeden wspomniany a poczciwy i odważny mój kolega Ziemecki, który w tem zdarzeniu pryncypalnie był odznaczony się, nie był wymieniony. Gdyśmy się w ten sposób w szczupłej liczbie na drugi brzeg Wkry dostali, było nam, przyznam się, dosyć ciepło i kolega Ziemecki, który służywał w wojsku pruskiem, był mi wielce użyteczny jako doświadczeńszy oficer. Po upływie kilkunastu godzin most naprawiono a Rosyanie niekoniecznie gorliwie broniąc przeprawy, pociągnęli ku Pułtuskowi, ścigani przez naszych. Postępując tak przez Warmię, mieliśmy tu i ówdzie różne z nieprzyjacielem spotkania. Z tych nieco ważniejsze nastąpiło pod Gutstadt, gdzie ucierano się przez noc całą z Moskałami, odbywającymi odwrót w największym porządku. Z Gutstadt po dwudniowym pobycie, posuwaliśmy się pod Pruską Hławę i podczas tego marszu spotkaliśmy szczątki tak sformowanej po części, jak też formującej się jeszcze dywizji polskiej pod dowództwem jenerała Zajączka. O głównej bitwie pod Hławą jakoteż o innych, późniejszych starciach, w których korpus trzeci był czynnym, niepoważę się broń Boże zdawać sprawy, nie mając najmniejszej pretensyi do dziejopisarstwa. W niniejszych wspomnieniach o tem tylko nadmienić zamierzam, na co własnemi patrzyłem otrzyma. Po wielu więc kilkudniowych marszach stanęliśmy pod Hławą. Tam korpus nasz połączył się z całą

wielką armią, (dnia 6. lutego 1807 r.), zajmąwszy pozycję na prawem jej skrzydle w szyku bojowym, naprzeciw lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Czas był szkaradny, nie tyle mroźny jak bardzo śnieżny. Gdy równo ze dniem zaczęto atakować armię rosyjską, ta dzielny dawała nam odpór i silnie broniła korzystnej swej pozycji, wsparta licznym parkiem artylleryi, przyprawiającej Francuzów o znaczne straty. Wprost naszego korpusu wznosiło się wzgórze, najezone licznymi armatami wielkiego kalibru. A że trudno było dłużej narażać się na straty, sprawiane ogniem działowym, więc dobrze już popołudniu wydał Davoust rozkaz zdobycia bagnetem owej wyżyny. W oczy nam właśnie pruszył śnieg tak obfity, pierzasty, iż bez żadnej egzageracyi powiedzieć śmiało mogę, że na jakie kilkanaście kroków przed sobą nic a nic nie widzieliśmy. Tylko szmer kartaczów, którymi nas obsypywali Moskale i krzyki rannych obijały się o nasze uszy. Zdobycie owego wzgórza, skombinowane z manewrem całej wielkiej armii, której przewodził sam Napoleon, zmusiło nieprzyjaciela do ustąpienia z pola walki. Na tem też zakończyła się owa krwawa batalia, w której tyle straciliśmy w zabitych i rannych, iż sam nasz korpus trzeci, według raportów, stracił do dziesięciu tysięcy żołnierza. Na początku tej bitwy, przez Francuzów na pozór przynajmniej wygranej, gdyż otrzymaliśmy plac boju, przyszło mi wspomnieć staropolskie przyłowie: Chłop strzela, a Pan Bóg kule n o s i. Staliśmy na koniach prawie wszyscy dokoła marszałka, czego on nie cierpiał i właśnie w chwili, gdy do nas przemawiał:

— Panowie! Rozjedźcie się! Widzicie, że nas zasypują gradem kul!

— jedna kula armatnia tak blisko przeszła koło lewej jego nogi, iż samym impetem urwała mu strzemię. Jak się to stało, że żaden z nas wraz z Davoustem ani rany, ani nawet kontuzyi od tego pocisku nie odniósł — tego prawdziwie nie pojmuję. Na własne wszakże słyszałem uszy, jak marszałek pokazawszy nam urwane strzemię, wyrzekł: »Do dyabła!

Przeleciała dość blisko! «..... i z najzimniejszą krwią kazał sobie podać innego konia. W parę godzin później, gdyśmy się do nieprzyjaciela zbliżyli, było nas kilku ze sztabu, rannych od strzałów karabinowych. Ja sam byłem kontuzjonowany w lewą rękę, co więcej mego marszałka zatrwożyło niż jego własny wypadek. Dla mej miłości własnej pierwsze to draśnięcie na polu bitwy było raczej pochlebny jak dokuczliwym wypadkiem.

Po tak wielkiej i krwawej bitwie, więcej szło Napoleonowi o utrzymanie się dla sławy na pobojowisku, aniżeli o inne korzyści, tembardziej, że trzeba było przerzedzone oddziały przyprowadzić do porządku. Wyszedł więc rozkaz, aby cała armia pozostała na zajętej pozycji. Rozłożyliśmy się na śniegu bez słomy i bez żywności, zaś cesarz w samej kławie założył swą główną kwaterę, mimo, że miejscina ta była w przeważnej części spalona i zburzona. Staliśmy więc wszyscy na śniegu, o chłodzie i o głodzie, przez dwie doby, aż wreszcie dnia trzeciego cała armia szemrać zaczęła. Głośne przekleństwa żołnierzy sprawiły na mnie, nieprzywykłego do czegoś podobnego, tak wielkie wrażenie, iż mi włosy na głowie stawały. Złorzeczono i wymyślano ze wszech stron na zimno, na głód, na cesarza a nawet na Boga. Przerażony, zwierzyłem się z mą obawą wobec adjutanta-komentanta Romeufa, który, pomnę, rzekł do mnie te słowa:

— Jesteś dzieckiem. Nie znasz usposobienia żołnierzy francuskich, lecz zobaczysz niebawem, jak na odgłos bębna zamilkną w jednej chwili, by spokojnie pod bronią stanąć do apelu...

Wszelako, gdy dnia trzeciego stara gwardya, będąca duszą armii, stanęła bez rozkazu pod bronią, wołając: żywności albo sami pójdziemy naprzód! — dopiero o tem Napoleonowi doniesiono, dodając, iż przedstawienia oficerów do niczego nie doprowadziły.

— Ależbo jesteście dziećmi — rzekł cesarz — nie umiecie się wziąć do rzeczy. Niech mi podadzą konia!

I otoczony sztabem pojechał na plac zboru, gdzie kazał gwardyi sformować kolumny i zbliżyć się do siebie, poczem zapytał donośnym głosem:

— No i cóż to wszystko ma znaczyć? Dlaczego stanęliście pod bronią bez mego rozkazu?

— Papa, chleba! — jednym głosem wrzasnęli gwardyacy.

Cesarz rozumiejąc znaczenie tego wyrazu, odpowiedział tak, że wszyscy mogli dobrze słyszeć.

— *Eh bien.* Nie ma!

— *Vive l'empereur!* — odkrzyknęła gwardya z takim zadowoleniem, jak gdyby już ją nakarmiono do syta.

Niedługo potem armia otrzymała rozkaz pochodu na Tyłżę. Choć korpus trzeci wymaszerował, marszałek sam pozostał wraz z szefem sztabu generałem Herve i mnie jak zwykle, kazał pozostać przy sobie a idąc do cesarza polecił mi, abym postarał się o konie do jego karety i o przewodnika. Nie będę wyliczał trudności, jakich doznałem w wystaraniu się tak jednego jak drugiego w opustoszałej miejscinie, której mieszkańcy uciekli albo pochowali się. Dość, że mając już konie zaprzężone do karety, trzeba mi było koniecznie dostać przewodnika. Co złapię którego i oddam go do pilnowania eskortie, złożonej z kilku szaserów, to ledwo, że się na chwilę oddalę a jużci mój przewodnik uciekł, gdyż ludność Prus Starych częścią przez źle zrozumiany patriotyzm, a częścią mszcząc się za gwałty żołnierskie, nie sprzyjała wcale Francuzom. Zdarzały się nawet wypadki, iż chłopstwo okoliczne napadało maroderów lub mniejsze oddziały wojska i wybiwszy je co do nogi, trupy wraz z całym umundurowaniem oraz z uzbrojeniem puszczało przez prężę pod łódź... Trudność orientowania się w okolicy potęgował jeszcze fakt, iż miejscowa ludność, używająca polskiego języka, przeinaczała w swej gwarze nazwy poszczególnych miejscowości, mieniając je odmiennie od nazw, oznaczonych na kartach geograficznych. I tak Deterswald zwał krajowcy

Gierswałdem a wieś Jägerswald nazywają Dzierzwałdem, która to różnica stała się dla mnie powodem grubej pomyłki.

Lecz wracam do Pruskiej Hławy. Około godziny drugiej z południa, gdy marszałek miał wsiadać do pojazdu z swym szefem sztabu, patrzę, znów nie ma przewodnika, już trzeciego z rzędu, którego posadziłem dla większej pewności na koźle. Łajanie eskorty nie wiele pomogło. Trzeba było znów latać, kręcić się, więc pierwszego lepszego chłopą pochwyciwszy, wrzuciłem go na kozioł. Mówi mi jenerał Herve:

Jedziemy do Deterswaldu?

— A znasz ty drogę do Deterswaldu? — pytam przewodnika.

— Do Dzierzwałdu? — zagadnie chłop...

Odwoluję się znów do jenerała, trzymającego kartę w ręku, ale na niej figuruje tylko Deterswald.

— Prowadź więc nas w Imię Boże do twego Dzierzwałdu — prawię chłopu, który też zaraz wyjechawszy z miasta skierował nas na prawo.

Marszałek zasnął tymczasem w karecie, lecz Herve widząc, iż zbaczamy, wskazuje mi na migi, niechcąc budzić spiącego, że źle jedziemy, gdyż według mapy droga nasza wieść winna na prawo. Zapytuję 1az i drugi to przewodnika, to woźnicę, lecz obaj zgodnie mi powtarzają, że jesteśmy na drodze do Dzierzwałdu... Cóż więc z takiej sprzeczności mogłem wywnioskować? Ujechaliśmy ze trzy mile i wieczór już zapadł, gdyśmy stanęli w końcu w owym Dzierzwałdzie, a raczej w Jägerswaldzie, w miejscowości, leżącej w wręcz przeciwnej stronie od Deterswaldu, gdzie się znajdowała podówczas główna kwatera. Nie widząc we wsi ani jednego żołnierza, zsiadam koło kościoła z konia, idę do proboszcza, który mi wyjaśnił naszą omyłkę z tym dodatkiem, że od Deterswaldu dzieli nas sześć mil z okładem. Trudno sobie wyobrazić całą trudność mego położenia. Pytam proboszcza, czy nie byli tu w tych dniach Francuzi? Odpowiada mi, że nie. — A Moskale? — Parę godzin temu — prawi pleban — było kilkadziesiąt kozaków... — Otóżem sobie biędy napytał

— pomyślałem i powracam do karety, gdzie marszałek mi rzecze:

— Żle się stało, ale schrońmy się gdziekolwiek, bo ludziom i koniom należy się odpoczynek. Jestem bardzo głodny więc dajcie mi zjeść cokolwiek.

Kazałem tedy zawrócić do dworu. Ulokowałem marszałka, postawiłem przy nim sztydwa i kazawszy dać jeść ludziom i koniom, gdym wspomniał, na co się narażam tak ze strony kozaków, którzy tu każdej chwili mogą się pojawić, jakoteż wobec miejscowych włościan — poszedłem pod płot i zacząłem rzewnie płakać. Noc była ciemna, więc nikt mnie nie widział, ale niebawem zaczęto mnie nawoływać, bo żaden z mych towarzyszy nie umiał się rozmówić po polsku lub po niemiecku z dworskimi.

Wyczekawszy dobrą chwilę, wróciłem do marszałka. Generał Herve począł mi czynić wyrzuty tem słuszniejsze, ileżę spostrzegłszy zaraz błędny kierunek drogi, zwracał na to moją uwagę. Davoust wszakże zdawał się raczej zwałać całą winę na swego szefa sztabu z powodu, iż w jego ręku znajdowała się karta... Dość, że po długich z jednej i z drugiej strony tłumaczeniach, pożywiwszy nieco siebie, eskortę i konie, wybraliśmy się późną nocą w powrotną drogę a gdyśmy już byli w środku wsi, zaczęto bić w dzwony na twogę. Nie było czasu do stracenia. Pospieszaliśmy co sił starczyło i szczęśliwie uszliśmy niebezpieczeństwa a przy najmniej bójki z chłopami.

Zaledwo ujechaliśmy milę, gdy znów słyszemy: Stój, kto idzie? A potem za chwilę: Zatrzymajcie się! na miłość Boską zatrzymajcie się!... Czego chcecie? pytam spotkanego sierżanta, który z czterema lub z pięcioma żołnierzami wiódł trzech spętanych chłopów. Byli to, według relacyi sierżanta, okoliczni włościanie, skazani przez sąd wojenny na śmierć za morderstwo, dokonane na żołnierzach francuskich we wsi pobliskiej. Egzekucyę na miejscu popełnionej zbrodni wykonać miał batalion, niepomnę już jakiego pułku, który tymczasem wymaszerował, podczas gdy chłopci tamtejsi poczęli

otaczać konwój więźniów, wyrażając się żołnierzom. Liczba chłopów rosła z każdą chwilą; było ich już kilkudziesięciu. Zameldowałem wszystko marszałkowi. Ten kazał sobie podać papiery oraz wyrok sądu wojennego, który sierżant miał przy sobie i znalazłszy wszystko w porządku pytał mnie, nie wysiadając wcale z karety:

— Czy żołnierze z eskorty mają broń nabitą?

— Tak panie marszałku — odrzekłem.

— A więc każ trzem ludziom zsiąść z koni i rozstrzelać tych zbrodniarzy!

Radbym był, aby kto mógł być wówczas zajrzeć w serce me i zobaczyć, co się w niem działo. Ale wyboru nie było. Należało spełnić rozkaz, gdyż marszałek widząc, że się waham, zawołał:

— No prędszej, spiesz się!...

Kazałem wystąpić trzem szaserom i odwróciwszy twarz od straceńców, zakomenderowałem ognia, zaś marszałek ciągnął dalej swe zlecenie:

— Żołnierze, którzy wiedli tych nicponiów, niech idą z nami. Każ, by powóz jechał wolno, dopóki nie wydamy się ze wsi!...

O świcie dopiero stanęliśmy w owym błogosławionym Deterswaldzie, czyli jak mówią tam: w Gierzwałdzie, gdzie zabawiliśmy czas dłuższy. A że marszałek objeżdżał rozłożone w okolicy dywizye swego korpusu i śniegi były wielkie, więc ledwo nie codzień włóczyliśmy się małemi sankami, zaprzężonemi w chłopskie konie. Raz dali nam woźnicę wcale niegłaźnego, więc na życzenie marszałka sam zacząłem powozić, usadowiwszy chłopca z tyłu. Ale też na pierwszej zaraz zatoce wywróciłem raz, na najbliższej drugi raz, poczem znów trzeci raz. Jenerał Herve woła, bym lejce oddał chłopu, ale marszałek, który tego dnia w dobrym był humorze, odpowiada podnosząc się ze śniegu: Daj mu pokój, jeżeli go to bawi! — Nie czynię tego dla przyjemności — pospieszyłem odpowiedzieć, — ale i najlepszemu woźnicy może się coś podobnego zdarzyć.

Tymczasem toczyły się negocjacje pokojowe, korpus trzeci był nieczynny, gdy właśnie w Deterswaldzie otrzymałem od dowódcy drugiego pułku piechoty polskiej, w którym się liczyłem kapitanem, wiadomość, wzywającą mnie do Warszawy, gdyż wkrótce jeden z batalionów tego pułku wyruszy pod Grudziądz, będący jeszcze w ręku Prusaków. Dowódcą drugiego pułku był jeden z moich najserdeczniejszych przyjaciół, Staś Potocki, znany pod tem mianem w całym wojsku. Zostawiał mi więc do woli, albo objęcie komendy szóstej kompanii w wyruszającym pod Grudziądz batalionie, albo też przeniesienie do pierwszego batalionu, konsystującego w Warszawie. Ponieważ pragnąłem zakosztować czynnej służby, przeto prosiłem marszałka, aby mi pozwolił powrócić do pułku, na co on zgodził się, acz niechętnie. Wyjechałem więc natychmiast do Warszawy, dawszy marszałkowi przyrzeczenie, iż na każde wezwanie stawię się w jego sztabie. Jakoż ledwo zajechałem do Warszawy, gdzie pułk drugi konsystował, gdy zaopatrzony przez dobrą matkę moją w porządną, parokonną bryczkę, we wszystkie potrzeby i w kuchnię uprowidowaną, wymaszerowałem z drugim batalionem pod Grudziądz. W kompanii miałem porucznikiem Juliana Górskiego, podporucznikiem, o ile zapamiętam, Ignacego Wężyka, obu doręcznych oficerów a nadewszystko feldwebła z pruskiej służby, wielce zdolnego, który mi był bardzo użytecznym w obeznaniu się z służbą liniową. Batalionem tym dowodził Franciszek Żymirski, dawny legionista, który z zdolności wojskowych dał się później poznać w armii polskiej.

Oblężenie Grudziądza trwało dwa czy trzy miesiące. W tym czasie Prusacy dwa czy trzy razy urządzili wycieczkę celem zasypania naszych aproszów. Jedna z owych wycieczek dała nam sposobność do dość żywej utarczki. Tymczasem nietylko, że formalne armistycjum, ale i zupełny pokój traktował się w Tylży. Tam to zdecydowano utworzenie księstwa warszawskiego i oddanie tegoż pod panowanie króla Saskiego, Fryderyka Augusta. Gdy po ogłoszeniu księstwa warszawskiego król przybył do Warszawy dla obję-

cia rządów i otwarcia sejmu, wygłosił on mowę w polskim języku, którego za młodu się nauczył i acz z przyciskiem, ale bardzo wyraźnie i dobitnie wymawiał polskie wyrazy, co wielką sprawiło tym, co ją słuchali, radość, a nawet całemu krajowi *). Wkrótce przedtem batalion nasz wrócił z pod Grudziądza do Warszawy na garnizon, a król przywróciwszy krzyż wojskowy, polski, *virtuti militari*, rozkazał nam kilkanaście tych krzyżów rozdać. Między innymi dostał się i mnie jeden krzyż kawalerski i mam go dotychczas. Jest to ten sam, który mi książę Józef własnoręcznie podczas parady na saskim placu przypiął, a lubo w późniejszych wyprawach trzy razy cały ekwipaż straciłem, to jednak nosząc krzyż ten zawsze przy mundurze, szczęśliwy byłem, iż go zdołałem zachować.

Trzeci korpus armii, dowodzony przez Davousta, otrzymał rozkaz od cesarza pozostania w Księstwie. Główna kwatera miała się mieścić w Warszawie. Ruszył więc cały korpus z Starych Prus, zaś marszałek wydał rozkaz ks. Poniatowskiemu, aby mnie przysłał do jego głównej kwatery. Zawiadamiając mię o tem postanowieniu w osobnym liście, pisał Davoust: »Mam nadzieję, że pan życzyć sobie będziesz powrotu i będziesz mógł powrócić do mego sztahu...«

Na tak uprzejme wezwanie pospieszyłem natychmiast do niego i zastałem marszałka jeszcze w marszu. Gdym mu się zameldował, zapytał mię, czy Warszawa jest zadowolona z tego, co uczyniono dla Polaków? Odpowiedziałem jak zwykle, otwarcie: Nie, panie marszałku... — Ach wierz mi pan — zapewniał Davoust, — że cesarz pragnął najusilniej i nawet próbował uczynić więcej dla was, lecz nie mógł tego uzyskać... — Gdyby chociaż tej małej części kraju nadano tytuł Królestwa Polskiego, wszyscy byliby zadowoleni —

*) Ustęp ten należy sprostować o tyle, iż król Fryderyk August zjechał po raz pierwszy do Warszawy w dniu 21 lipca 1807 r. zaś otwarcie sejmu księstwa warszawskiego nastąpiło w dniu 10 marca 1809 r. (Przypisek wydawcy).

przedkładałem marszałkowi, — lecz jeżeli nie będziecie nas nazywać Polakami i nie uznacie naszej narodowości, to nigdy nie zdołacie nas zadowolić... Odpowiedział mi wówczas Davoust:

— To tylko początek. Cierpliwości, a może później da się to zrobić....

Gdyśmy przybyli do Warszawy*), maszerując za aryer-gardą korpusu Ney'a, straż tylna tegoż korpusu dopuściła się w przechodzie przez przedmieścia stolicy rabunku. Komentantem Warszawy był wtedy generał Gouvion. Czekał on na powitanie marszałka z całym sztabem, z wieloma urzędnikami i z pierwszymi obywatelami w pałacu Teperowskim na Miodowej ulicy. Pierwsze słowa, gdyśmy wysiedli, była to nieznośna bura, dana w twardych wyrażeniach gubernatorowi miasta. Zapamiętałem z niej słowa:

— Jesteś pan jak malowany. Zupełnie nic nie robisz. Jakto? Zastaję w mieście rabunek, a nie słyhać o sądzie, ani o ukaraniu winnych. To wstyd przynosi nietylko panu osobiście, ale całej armii francuskiej i pan jesteś wszystkiemu winien!.... Po tej eksplozyi powitał krótko i pożegnał marszałek zgromadzonych w salonie i ogarnawszy się nieco, (a już się zmierzchać zaczynało), mówi mi, że chce widzieć marszałka Małachowskiego, który był wówczas prezesem rządu księstwa. Zaprowadziłem go do niego, pewien będąc przecież, że takowa niespodziana wizyta przerazi staruszkę. Jakoż, gdyśmy na długi dziedziniec pałacu, dziś do Wincentego Krasińskiego należącego, wchodzili, prosiłem mego marszałka, aby mi pozwolił pospieszyć naprzód a sam zwolnił kroku. Wpadłszy do Małachowskiego, zastałem go napół rozebranego, grającego, jak zwykle, w whista, z Kochanowskim, z moim stryjem, Janem Szymanowskim i z kimś trzecim. — A jakżeż ja go przyjmę? — pyta Małachowski. — Naprędce, jak będzie można, odmówić tej wizyty nie podobna, marszałek jest już w przedpokoju — odrzekłem. Kazałem

*) Davoust przybył do Warszawy w dniu 16 sierpnia 1807 r. (P. w.).

wynieść i pozapalać świece... Po odbyciu tej wizyty, która trwała najmniej pół godziny, wróciliśmy na Miodową ulicę, aby spocząć w przygotowanej kwaterze.

Nazajutrz wszystkie władze, wszyscy wojskowi ponowili marszałkowi wizytę. Wiedzieć tu przecież potrzeba, że król saski, znając niechęć tak generała Zajączka, jakoteż Dąbrowskiego ku księciu Poniatowskiemu, zezwolił na to, aby trzy legiony, niezależnie jeden od drugiego, formowały się. Jeden w poznańskim pod dowództwem generała Dąbrowskiego, drugi w kaliskim pod sprawą Zajączka, trzeci w Warszawie pod dowództwem księcia Poniatowskiego. Były to jak gdyby trzy armie osobne, jedna do drugiej nie należące. Owa niechęć generałów Zajączka i Dąbrowskiego do księcia Józefa pochodziła początkowo z tego, iż po rozbiórce kraju Dąbrowski wszedł w służbę włosko-francuską i formował legię nadwiślańską, Zajączek zaś licząc się w wojsku francuskim, był z Napoleonem w Egipcie. Tak więc obaj ci generałowie liczyli sobie starszeństwo ciągłej służby aż do utworzenia księstwa warszawskiego, podczas gdy książę Józef nie upatrując żadnej kariery wojskowej dla siebie stosownej, cały ten przeciąg czasu spędził w zupełnej bezczynności. Gdy mimo to król Fryderyk zamianował księcia ministrem wojny, przeto wszelkie jego rozkazy przez biura i z podpisem księcia Poniatowskiego dochodziły do Dąbrowskiego i do Zajączka, którzy acz niby niezależni od księcia Józefa co do dowództwa, musieli przecież co do potrzeb swych legionów udawać się do ministerstwa wojny i za pośrednictwem tej władzy odbierać rozkazy panującego księcia warszawskiego. Nieprzeszkadzało to przecież marszałkowi Davoust w zatrzymaniu najwyższej władzy nietylko nad wojskiem polskim, ale i co do spraw cywilnych odnoszono się prawie zawsze do jego decyzji i aprobaty, czego nieraz byłem świadkiem.

I tak żydki nasze dla spekulacji, wykupowali monetę polską jakoteż francuską w zamian za pruską monetę zdawkową, której przeważna część była fałszywą. Moneta owa, mimo swej bezcenneści, tak się rozpowszechniła w całym

księstwie i w Warszawie, że Davoust z Skierniewic, które otrzymał w darze od Napoleona, polecił ministrowi skarbu, szanownemu Dembowskiemu, by od najbliższego pierwszego ogłosił skasowanie monety pruskiej do połowy wartości, a nieco później wycofał ją zupełnie z obiegu. Rozkaz ten sam od siebie przesłał marszałek Dembowskiemu przez rozstawione konie do Warszawy, a że to było jakoś na dni kilka przed terminem wypłaty żołdu dla wojska, przeto minister lękając się możliwego z tego powodu rozruchu między popółstwem, ogłoszenie rozporządzenia odłożył na czas krótki. Zawiadomiony o tem Davoust, natychmiast pospieszył do miasta i zaraz po przybyciu kazał mi szukać Dembowskiego z wezwaniem do natychmiastowego stawienia się. Widząc, iż marszałek się niecierpliwi, pospieszyłem do Dembowskiego i zastałem staruszka już udającego się na spoczynek. Rad, nierad ubrał się i siadł ze mną do powozu. Ledwośmy wrócili do marszałka, gdy ten z taką gwałtownością wpadł na ministra z powodu niepunktualnego wykonania jego rozkazu, iż biedny Dembowski, zatrwożony do najwyższego stopnia, nie zdołał wymówić trzech słów na własną obronę i zalany łzami odszedł, by zaraz nazajutrz podać się do dymisyi. Prawą ręką ministra skarbu był radca stanu Franciszek Węgleński, człowiek bardzo zdolny, nieustraszony i silnego charakteru. Przywołany i ostrzeżony przez Dembowskiego, co go spotkało, udał się do marszałka dnia następnego i zniósłszy pierwszy jego impet, z wielką flegmą i wiernie przedłożył Davoustowi powody opóźnienia wydanego przez niego rozporządzenia, gruntując się na tem, iż właśnie część żołdu, przypadającego wojsku francuskiemu miała być wypłacana w owym bilonie. Marszałek mój, jako człowiek rozsądny i sprawiedliwy, znalazł tłumaczenie się Węgleńskiego słusznem, a przeto chcąc swą nierozważną popędliwość jak najuroczyściej naprawić, polecił nam, abyśmy osoby najpierwsze w mieście, w ilości około stu, zaprosili na wielki obiad, na dzień pojutrzejszy. Indendent marszałka, Lafore, rwał sobie włosy z rozpaczy, iż w tak krótkim ter-

minie nie podoła zadaniu, ale znając dobrze swego pana, wziął się bez straty czasu do roboty. Wszyscy goście otrzymali zaproszenie na godzinę szóstą wieczorem, mnie marszałek zaprosić zlecił Dembowskiego na godzinę wpół do siódmej z tym dodatkiem, abym koniecznie wymógł od niego słowo honoru, iż przybędzie a na wypadek jakiegokolwiek wymówki zapowiedział ministrowi iż w takim razie Davoust przybędzie go osobiście prosić. Tak więc Dembowski, lubo zrazu wymawiał się jak mógł, tłumacząc się słabością zdrowia, dał mi w końcu żądane słowo, iż przybędzie o oznaczonej godzinie. Gdy się już zaproszeni na ów obiad zebrali w pałacu Brylowskim, ówczesnej rezydencji marszałka, kazał mi Davoust pilnować, jak tylko Dembowski zajedzie. Zawiadomiony o przybyciu ministra, wyszedł naprzeciw niego aż do ostatniego pokoju i ujawszy go za rękę wprowadził do salonu, gdzie wszyscy byli zgromadzeni, by powitać przybyłego temi słowy:

— Panie ministrze! Jeżeli się nie ma racyi, nie pozostaje winnemu inna droga wyjścia, jak prośba o przebaczenie wobec tego, którego się obraziło. W sporze z panem nie miałem racyi i proszę pana, panie ministrze o przebaczenie w obecności tych wszystkich osób, które chciałem mieć świadkami zadośćuczynienia, jakie jestem panu dłużny i które niniejszem spełniam. Nie miej pan do mnie żadnej urazy, lecz przebacz mi i podaj rękę na znak szczerego pojednania.

Wystawić sobie można, jakie niespodziane uczucie ta scena sprawiła w umysłach wszystkich obecnych i jaki od tej chwili szacunek powzięli oni dla mego marszałka. Każdy tu bowiem przyznać musi, iż nielada kto w jego położeniu zdobyłby się mógł na podobny akt szlachetności, nie upokorzenie, ale owszem honor mu czyniący. Dembowskiego posadził marszałek obok siebie u stołu, pił jego zdrowie i wiele mu okazywał attencyi.

Poduszczany ciągle przeciw Poniatowskiemu, wielokrotnie czynił mu o to i owo Davoust wyrzuty i wymówki naj-

bardziej niesprawiedliwe. Czasem i mnie je zwierzał marszałek, ale nigdy mu nie potakiwałem, jako niezmiernie życzliwy księciu, którego szlachetny sposób myślenia i honorowe w każdej sprawie postępowanie, były mi dostatecznie znane, a lubo nigdy z tego powodu gniewać się na mnie nie mógł, raz przecież powiedział mi marszałek w obecności pułkownika Romeufa:

— Wy obaj jesteście tak przywiązani do waszego księcia, iż nie chcecie nawet przypuścić czegoś, coby nie było dla niego korzystnem, choćby z korzyścią dla prawdy.

Tu ośmieliłem się wtrącić:

— Proszę mi wierzyć panie marszałku, że książę Poniatowski może czasem zbłądzić i niepodoobać się panu w pewnych wypadkach, bo słuchając niekorzystnych dla niego wieści, nie spostrzegasz się, że mimo woli uprzedzasz się przeciw niemu.

— Ah, ba! ba! — zakończył marszałek dysputę.

Cesarz pragnąc, aby marszałek stosowną do swego stanowiska w Warszawie rozwijał reprezentację, wezwał bawiącą w Paryżu żonę jego, z domu Leclerc, aby jak najspieszniej wybrała się do Polski. Wzmiankować przy tej okazji winiem, że przy księciu Józefie Poniatowskim bawiła siostra jego, Tyszkiewiczowa, z serdeczną swą przyjaciółką hrabiną de Vauban. Obie te damy niezwykle wykształcone, umiejące godzić staropolską gościnność z polorem salonów paryskich, były wzorem uprzejmości towarzyskiej, na jakiej od niepa miętnych czasów Warszawie nie zbywało. Owszem, pod tym względem stolica Polski pomiędzy pierwszymi stolicami Europy utrzymywać mogła zaszczytnie swe miejsce.

Przed przybyciem marszałkowej zdarzało się czasem, że i z rządem księstwa warszawskiego miewał Davoust niekoniecznie przyjemne utarczki, które przy pomocy pułkownika Romeufa udało mi się załagodzić, ale co do nieustających sporów i plotek na księcia Józefa rzecz nie szła tak składnie. I tak, obok wielu innych śmiesznośtek, oskarżył ktoś raz księcia Józefa wobec marszałka, iż na szykanę armii francu-

skiej każe swojemu strzelcowi, zazwyczaj za karetą stojącemu, nosić szlify z grubymi bulionami. Ponieważ drzwi od salonu marszałka do pokoju służbowego były uchylone, przeto mogłem jak najwyraźniej tę złośliwą denuncyację wysłuchać, gdy wtem wypada marszałek, cały zaperzony i każe mi natychmiast wezwać do siebie księcia Józefa. Pojechałem więc zaraz pod Blachę, gdzie zastałem księcia nieubranego, siedzącego przed zwierciadłem i czerniącego sobie wąsy, a przy nim szefa sztabu, generała Fiszera, z papierami. Gdy mię książę spostrzegł, zapytał, czego chcę? Powiedziawszy mu zatem, iż marszałek prosi go natychmiast do siebie, dałem mu wzrokiem do poznania, iż pragnę zaczekać, aż Fiszer odejdzie. Gdyśmy zostali sami, powiedziałem wszystko księciu, zaklinając go, aby się uzbroił w cierpliwość, na co mi on odpowiedział:

— Już ten twój marszałek tak mi dokucza, tyle nie wiadomo jakich upatruje sobie do mnie pretensyi, że kiedykolwiek zetnę się z nim na seryo, bo mi cierpliwości nie staje...

Zaklinałem go, aby i w tej sprawie zachował jak największy spokój oraz, żeby bezwłocznie pospieszył do marszałka. Kazał więc książę zaprzęgać do karety a Erinowi, strzelcowi, przywdziać zwykły mundur ze szlifami. Gdym powrócił do marszałka, zastałem go jeszcze wzburzonego. Wypytywał mnie, co robił książę? Odpowiedziałem, iż się ubiera i równocześnie załatwia sprawy służbowe z swym szefem sztabu.

— Jak go ujrzysz z daleka — rzekł Davoust — to uwiadom mię natychmiast, — gdyż trzeba wiedzieć, iż do pałacu Bryłowskiego zajeżdżało się wówczas od ulicy Czystej przez długi dziedziniec. Gdy książę nie zaraz przyjeżdżał, znecierpliwiony marszałek raz i drugi wychodził do salonu, zapytując się, czy już przybył i wykrzykując na jego opieszałość. Nareszcie dostrzegłem z daleka karetę książęcą wraz z strzelcem w mundurze ze szlifami i zameldowałem o tem marszałkowi, który piorunem wybiegł z lorynetką

w rękę, by oglądnąć ekwipaż oraz liberyą książęcą i już nie powrócił do swego gabinetu, jeno pozostał w pokoju służbowym. Ja, będąc w służbie, nie uważałem za stosowne wyjść z pokoju i stałem się świadkiem następującej sceny:

Książę wszedł w mundurze ułańskim, jaki zwykle nosił i w służbowej czapce na głowie, która pięknej i ujmującej jego twarzy, jeszcze większego dodawała uroku. Marszałek począł mu naganiać i wymawiać niektóre mniejszej wagi i podrzędne uchybienia, dotyczące formacyi jego legionu, z czego się książę z godnością tłumaczył. Potem przyszła kolej na owe szlify jeneralskie, które strzelec książęcy nosił przy swej liberyi.

— Myślisz książę, — mówił porywczco Davoust, — że ja nie wiem o tem, iż dla szykany armii francuskiej każesz pan strzelcowi, stojącemu za karetą, nosić szlify, używane przez naszych jenerałów?

— Nic jeszcze nie wiedziałem — odparł spokojnie książę — jakie są odznaki rang w wojsku francuskim, kiedy mój strzelec nosił już szlify takie, jakie pan marszałek widzi na nim....

Na to marszałek ściągnąwszy groźnie brwi, ozwał się w te słowa:

— Wiedz o tem mości książę, iż dotychczas byłem grzeczny, lecz od tej chwili przestanę nim być!

Usłyszawszy tą pogrózkę, odpowiedział książę z wielkopañskim chłodem:

— Mało mnie obchodzi pańska grzeczność marszałku, ponieważ nie jest ona dowodem szacunku, jaki mi jesteś pan winien. Czy nic innego nie masz mi panie marszałku do rozkazania? — zapytał obojętnie i oddawszy ukłon służbowy, wyszedł z pokoju.

Było wprawdzie moją powinnością przeprowadzić księcia na schody, ale widząc spór zbyt daleko posunięty, lubo byłbym z chęcią ucałował jego ramię, wolałem pozostać w sali. Mój marszałek wlepiwszy oczy w ziemię, stał długo

na miejscu, potem zaczął wielkimi krokami przechadzać się, wreszcie odezwał się do mnie:

— A więc sam byłeś świadkiem, jakim on jest imperyentem?

Mój zdrowy rozsądek doradził mi, abym w chwili tej, gdy widziałem marszałka bardzo rozdrażnionego, nic nie odpowiedział. Milczałem zatem.

Dla mnie Davoust — jak już wspomniałem — okazał się bardzo względny. Gdy pewnego dnia, już po przyjeździe marszałkowej do Warszawy, prosiłem go o pozwolenie wyjazdu na dni kilka do Grądów, zapytał mnie, jak to daleko?

— Cztery mile — odpowiedziałem.

— W której stronie?

— W okolicy Błonia.

Wziął więc kartę do ręki i powiedział mi: Dobrze, a ja pojutrze przyjadę tam do ciebie z żoną i z dziećmi na obiad; tylko każę sobie rozstawić konie, abym tego samego dnia mógł powrócić.

Każdy sobie wyobrazi, o jaki kłopot przyprawiła mnie ta niespodziewana propozycja. Bo też mój marszałek nie zajmował się wcale domem i o gospodarstwie nie miał najmniejszego wyobrażenia. Licząc na zwinność oraz ruchliwość brata mego, Michała, osiadłego w pobliskim Lesznie, z radością przyjąłem obietnicę marszałka. Jakoż nie zawiodłem się, bośmy mieli bardzo dobry obiad, zastawiony w cieniu rozłożystych drzew. Do stołu zasiadło osób kilkanaście, gdyż marszałkostwu towarzyszyło w owej wycieczce kilku oficerów z naszego sztabu.

Drugim dowodem szczególniejszej dla mnie życzliwości Davousta był fakt następujący: oto marszałek wyjeżdżając do Skierniewic na dłuższy pobyt, kazał tamże udać się jednej kompanii francuskich grenadyerów, celem pełnienia służby przy jego boku, a chcąc mi zrobić przyjemność, sprowadził w tym samym celu moją kompanię z drugiego pułku, jakkolwiek nie była ona wyborczą. Obie kompanie, umieszczone w małym obozie w pobliżu pałacu, pełniły równo-

cześnie służbę przy jego osobie a to w ten sposób, iż nawet wartę przy drzwiach pałacowych odbywali razem francuski grenadyer i polski piechur. Słowem, powiedzieć to mogę, iż mię Davoust psuł, ale mnie też do siebie sercem całem przywiązał i lubo nie nadużywałem nigdy jego dobroci, wszelako nie pomnę, bym go o co bądź dla drugich prosząc nie otrzymał, lub, aby się na mnie gniewał, gdym w czemkolwiek nie podzielał jego zdania. Czego wszakże nie mogły dokazać w materyi księcia Józefa starania Romoeufa i moje, to osiągnęły w końcu wielkim taktem nasze panie, o których wyższości nad mężczyznami miałem sposobność niejednokrotnie się przekonać, tak pod względem religijnym oraz patryotyzmu, jakoteż co do taktu salonowego pożycia.

Na powyższe twierdzenie przytoczę tu niezaprzeczony dowód. Gdy marszałkostwo po kilkutygodniowym pobycie w Skierniewicach powrócili do Warszawy, pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa, dama pełna rozumu i taktu salonowego, nie przestawała coraz mocniej i ściślej przyjaźnić się z marszałkowską i w końcu tyle u niej wymogła, że marszałkowa zapewniła ją, iż w dzień świętego Ludwika — były to imieniny obojga marszałkostwa — przyjdzie wraz z mężem w Łazienkach obiad, a po obiedzie bal. Był więc świetny obiad w pałacu łazienkowskim a po obiedzie, mimo sierpniowego upału, tańczono do upadłego. Rzęsiste oświetlenie sali balowej pomnażało jeszcze skwar, więc na życzenie marszałkowej całe towarzystwo przeniosło się do ogrodu, pięknie oświetlonego. Zbliżyliśmy się do jednego bufetu a w nim znajdujemy damy bardzo piękne, z turecka ubrane, ofiarujące marszałkostwu lody. Nad bufetem, w przeźroczu widniał napis: *Des Sorbets à l'Aboukir*, co dostrzegłszy marszałkowa, wskazała go mężowi a ten rodzaj attentyci był mu, uważałem, dość pochlebnym. Idziemy jakby od niechcienia dalej, aż tam spotykamy drugi bufet, nad którym napis w przeźroczu opiewał: *Des Gateaux à L'Auerstadt*, z którego to bufetu wyszło znowu kilka pięknych pań w strojach niemieckich, ofiarując marszałkostwu różne ciasteczka. Posuwamy

się znów w głąb ogrodu, aż tu widzimy trzeci bufet z napisem: *Des Bonbons à L'Eleonçe et à Josephine**). Z tego bufetu wyszły bardzo pięknie ustrojone dzieciaki, darząc cukierkami marszałkostwo, co ich oboje tak rozczuliło, iż nacieszyć się dziatwą, wcale dobrze po francusku mówiącą, nie mogli i całowali ją z rozrzewieniem.

Tego rodzaju attencye zmiękczyły całkiem i — że tak powiem — przeistoczyły serce mego marszałka ku księciu Józefowi, poczem weszliśmy do sali balowej, już dużo ochłodzonej i znów zaczęły się tańce. W parę godzin później, gdym się znajdował blisko drzwi, widzę wchodzącego, zakurzonego kuryera francuskiego. Pytam, czego żąda? Odpowiada, że przybywa z Paryża, wioząc dla marszałka bardzo pilne depesze. Prosiłem kuryera, aby się cokolwiek zatrzymał, a ja mu zaraz sprowadzę Davoustą. Wprowadziwszy tedy do osobnego pokoju marszałka wraz z kuryerem, drzwi za nimi zamykam i stoję przy nich gdyby szyldwach. W dobre pół godziny woła mnie marszałek, mówiąc: Za dwa lub trzy dni wyruszamy do Niemiec; sądzę, że mnie nie opuścisz?

— Bezwątpienia — odpowiedziałem.

— Spiesz, wyszukaj mi księcia — rzekł Davoust, a w chwili gdym już był w drzwiach dopowiedział: Wyruszają tylko Francuzi, Polacy pozostają na miejscu. Cesarz zostawia mi do woli oddanie dowództwa wojska polskiego komu zechcę: bądź Dąbrowskiemu, bądź Zajączkowi, bądź też księciu Józefowi Poniatowskiemu. — Po chwili znów pyta mnie marszałek:

— Jak ci się zdaje, komu ja z tych trzech powierzę dowództwo?

Na co ja z radosnym uśmiechem odpowiadam:

— Zapewne memu księciu...

*) Dwa pierwsze napisy, umieszczone na przezroczach, wymieniały bitwy, w których Davoust się odznaczył. Trzeci napis mieścił imiona obu córeczek marszałkostwa. (P. w.).

— Zgadłeś tym razem — przewał mi Davoust — cesarz pozostawiając mi wolny wybór, każe się domyślać, że on sam byłby twego zdania, a cesarz zna się na ludziach lepiej odemnie. Zawezwij księcia do mnie, lecz nie uprzedzaj go o niczem...

Z pospiechem więc pobiegłem do sali balowej, a prowadząc księcia do pokoju, w którym Davoust czytał otrzymane depesze, napomknąłem mu o zamiarze złożenia w jego ręce naczelnej komendy nad wojskiem w kraju pozostającym. Odrzekł mi książę:

— Bóg, widzi, że nie dla chęci przewodzenia cieszę się z tego, co mi oznajmiasz, gdyż wiem dobrze, jak wielka czeka mnie odpowiedzialność. Pewny wszakże jestem, że gdyby Zajączek lub Dąbrowski otrzymali naczelne dowództwo, to takby mnie szykanowali, takby dokuczali, ażby mię zagryźli. Odemnie przecież żaden z nich niedozna umyślnej przykrości.

Gdy książę wszedł do pokoju, gdzie zostawiłem marszałka, rozmawiali ze sobą dobre pół godziny, poczem powrócili do sali balowej, w której tańczono ochoczo aż do białego dnia. Nazajutrz, gdy się wieść rozeszła, że wojska francuskie wyruszą do Niemiec — jak się domyślano — przeciw Austryakom, kilkunastu młodych oficerów polskich zapragnęło znaleźć pomieszczenie w sztabie marszałkowskim. Jakoż umieszczeni zostali: Franciszek Potocki, Rostworowski Stefan, Kobyłański oraz dwóch moich kuzynów, Szymanowskich, Ignacy i Aleksander, jakoteż Mierosławski, który już od pruskiej kampanii był z nami. A że w ogóle Francuzi zawsze coś śmiesznego wynajdą i wymyślą, przeto mnie tylko zwali Szymanowskim, zaś kuzynów moich, Aleksandra, przewzali *Biss*, a Ignacego *Trèss*. Wracając do wymarszu wojsk francuskich do Niemiec, pamiętać należy, że ogólna komenda nad wszystkimi posiłkowemi wojskami Rzeszy, spoczywała tymczasowo w ręku Davousta. Podlegała mu również armia księstwa warszawskiego w kraju pozostawiona, co nam, sztabowym oficerom, dawało powód do częstych podróży pocztą odbywanych. Służba pomiędzy nami a Francuzami, nawet

tytularnymi adjutantami marszałka, była w ten sposób rozłożoną, że gdy wypadało dalszy lub bliższy kurs odbyć, ten, na którego kolej przypadła, zabierał się na bryczkę pocztową i ruszał bądź z rozkazem od szefa sztabu odebrany, bądź z depeşami, co niezawsze bywało nam do smaku. W parę dni po odejściu reszty trzeciego korpusu, opuścił marszałek Warszawę z istotnym żalem i z niespokojnością mieszkańców. W ciągu podróży naszej do Wrocławia nie nastąpiło żadne szczególniejsze zdarzenie, zasługujące na wzmiankę. Nie umię powiedzieć, jak się to dzieje w innych sztabach głównych, francuskich, w naszym przecież wszyscy oficerowie, tak francuscy jak polscy, a było nas z górą dwudziestu, żyliśmy z sobą w dobrej harmonii, iż szczerze powiedzieć mogę, że bynajmniej sobie nie przypominam, aby jakabądź nieprzyjemność, jakiebądź nieporozumienie między nami się wydarzyło. Marszałek tak się przyzwyczaił do mojego sposobu pełnienia przy nim służby, iż wszystkie prawie podróże w jednym z nim powozie odbywaliśmy. Zresztą byłem mu dość użytecznym z powodu jakiej takiej znajomości języków, szczególnież zaś polskiego, francuskiego i niemieckiego.

Wjechawszy do Wrocławia wśród szpaleru wojska po obu stronach ulic, któremi przejeżdżaliśmy, rozstawionego, wysiedliśmy w dużym pałacu rządowym. Stała tam już warta honorowa a na schodach znalazło się kilku inwalidów, oraz żon lub wdów, pozostałych po sztabowych oficerach pruskich, dopraszając się wypłaty pensyi, którą im szląski rząd tymczasowy wstrzymywał. Marszałek zatrzymał się na schodach i za mojem pośrednictwem wypytywał niektórych o treść ich skargi i to tym, to owym kazał dać po kilka luidorów tak, iż w końcu pieniędzy zabrakło. Ledwo, żeśmy weszli na górę, a jużci przybyli członkowie rządu tymczasowego z hrabią Maltzanem na czele, ludzie dorzeczni, zamożni posiadacze dóbr na Szląsku. Ci po złożeniu attencyi zapytali marszałka, w jaki sposób korpus ma być utrzymywany? Odpowiedział, iż pragnie, żeby wojsko jak najmniej ciężaru przysparzało mieszkańcom. Życzy więc sobie, aby korpus rozłożył

się w pobliżu miasta obozem, w którym to celu należałoby inżynierzy dostarczyć drzewa, potrzebnego na budowę baraków. Wydał następnie polecenie, dotyczące zaprowiantowania korpusu, poczem zapytali go członkowie rządu, jakiej kwoty żąda dla siebie. Na to Davoust, który nigdy dla siebie nie brał, obruszył się i zapytał: — Jako dla mnie?

— Na koszt utrzymania domu, panie marszałku.

— Mam marszałka dworu, który ma o tem pieczę i nie jest to zadaniem panów — rzekł z naciskiem marszałek. Ale zdaje mi się, że musicie mieć podostatkiem pieniędzy, jeżeli je ofiarujecie bez mego żądania. Powiedźcież mi panowie — badał w dalszym ciągu marszałek zdziwionych jego odezwaniami się komisarzy, — wiele placiliście marszałkowi Mortier, którego teraz zluzowałem? — Dwieście talarów dziennie — odpowiedzieli. — A generałowi Vendome, który tu dawniej komenderował? — Trzysta talarów na dzień, — brzmiała krótka odpowiedź. — A cóż dawaliście królowi Hieronimowi? Temu dostarczaliśmy dziennie czterysta talarów. — Do dyabła, mają z czego używać. Co do mnie jednak, to nie dbam ani o jadło wykwiłne, ani o pieniądze. A przecież zdaje się — ciągnął dalej Davoust, — iż mimo częstych przechodów wojska, macie jeszcze podostatkiem dochodów, ofiarowując mnie dzienne utrzymanie, lecz waszym wysłużonym oficerom oraz wdowom po nich nie płaciec żadnej pensyi, zniewalając ich do chodzenia po prośbie! Tu zawoławszy mię pytał, ile rozdałem pieniędzy proszącym o wsparcie. Odpowiedziałem, iż blisko sześćdziesiąt talarów rozdzieliłem między tych biedaków, poczem marszałek zwrócił się znów do komisarzy z następującą przemową:

— Wszak ci i ja miałbym, zdaniem waszem, prawo do takich poborów, jak moi poprzednicy. Ale tych pieniędzy widzieć nie chcę. Złóżycie sześć tysięcy talarów za miesiąc z góry. Do tej sumy dodaję sześć tysięcy z kasy wojskowej i wyznaczę osobną komisję cywilno-wojskową, która się zajmie przejrzeniem próśb, oraz wypłaceniem zasiłku pruskim oficerom odstawnym, jakoteż wdowom po nich pozostałym

i proszę, abym odtąd ani słyszał o tem, że kto bądź mający prawo do wysłużonej pensyi, nie otrzymał płacy. Co się zaś tyczy mego stołu, to proszę się nim wcale nie zajmować, bo trzymam w tym celu człowieka, którego to jest obowiązkiem...

Nie mogę przemilczeć tego szlachetnego czynu czcigodnego marszałka, który sprawił w całym mieście jak najlepsze wrażenie. To też, gdy w kilka tygodni później z Wrocławia mieliśmy wymaszerować do Erfurtu, taż sama komisya rządząca, przybywszy na pożegnanie do marszałka, w mojej obecności wyraziła mu swą wdzięczność i dziękczynienia a z mowy hrabiego Maltzana, jej prezesa, utkwiły mi w pamięci te wyrazy:

— Panie marszałku! Nie chciałeś od nas nic a nic przyjąć dla siebie, więc ci niczego Szląsk ofiarować nie może. Korpus twój podczas pobytu w naszym mieście przestrzegał takiej karności, sprawował się tak uczciwie iż mieszkańcy nie mieli żadnego powodu do skargi, żadnej krzywdy nie doznali. To wszystko zawdzięczamy twojej w naszym kraju bytności a nie wiedząc, jak ci wdzięczność naszą wynurzyć, racz przyjąć, prosimy, sumienne oświadczenie, iż gdybyśmy podobnych tobie dowódców otrzymywali od początku zajęcia Szląska przez wojska francuskie, to sama tutejsza prowincya, którą zarządzamy, byłaby bogatszą o kilka milionów talarów, aniżeli jest nią obecnie.

Odpowiedział im marszałek w te słowa:

— Dziękuję panom za przyznanie, iż podczas mego oraz mego korpusu pobytu pomiędzy wami, umiałem jak się przynależy, dopełniać mych obowiązków. Pochlebne wasze oświadczenie zupełnie mnie zadowala a jako zadośćuczynienie wymagam od was, byście chcieli mieć staranie o chorzych, których z sobą zabrać nie mogę. Poruczam ich waszej opiece!

Na to wszyscy się odezwali: Prosimy na nas liczyć! Nie doznają oni żadnego braku, ani krzywdy...

Jakoż ci, którzy z lazaretów wrocławskich powracali do korpusu — a było ich około sześciuset — nietylko, iż się nie użalali na brak opieki, ale nadto zaopatrzeni byli wszyscy w bieliznę i w nowe płaszcze, kosztem rządu szląskiego dla nich sprawione.

W czasie naszej bytności na Szląsku, chłopstwo zaczęło się być tu i ówdzie buntować nietylko przeciw Francuzom, ile przeciw posiadaczom dóbr i możniejszej szlachcie. Celem stłumienia rozruchów, gdyż w kilku miejscowościach buntownicy zrabowali dwory i pokrzywdzili czynnie dziedziców wraz z służbą, — rząd zawezwał pomocy siły zbrojnej. Między innymi wyprawił mię Davoust w okolicę Świdnicy, abym tamtejszy rozruch ludowy, o ile możności, w dobry sposób uspokoił. Nadto w osobnym rozkazie otrzymałem od niego upoważnienie, aby stojące w tamtych stronach komendy francuzkie tylu mi ludzi dostarczyły, ilu zażądam. Zjechałem więc na miejsce sam jeden i przywołać kazałem zbuntowaną gromadę, która dopiero co napadła a po części i zniszczyła dwór miejscowy. Wysłuchawszy ich zażaleń na rządcę majątku, którego chłopci obwiniali iż bez względu na zniszczenie przechodami wojsk wyrządzone, wymaga od nich takich samych opłat i powinności, jakie uiszczali w czasie pokoju, naganilem sposób, używany przez nich dla otrzymania zadośćuczynienia, iż w kilkuset ludzi napadli na dwór, w którym rządca wraz z nieliczną czeladzią nie mógł im dać oporu. Gdy to mówię, przyszło mi na myśl, iż sam jeden, w nienawistym dla ludu mundurze, znajduję się wśród gromady chłopstwa buntowniczego, ale w tej też chwili, dzięki Boskiej Opiece zachowałem całą przytomność umysłu, jaka mi w trudnem położeniu zwykła była towarzyszyć. — I cóż z tego powiedziałem im, że w gromadzie rzuciliście się na garstkę dworskich? Wszak to samo moglibyście wobec mnie zrobić, a ja nie starałbym się wcale wam bronić. Lecz cóżby z tego wynikło? Oto za moją krzywdę przysłanoby tutaj kilka tysięcy żołnierzy, którzyby całą wieś w perzynę obrócili... To przemówienie trafiło im do przekonania, gdyż usły-

szalem po chwili, jak radzili między sobą: On ma słuszość! — powtarzając, więc uspokoiwszy rozruch w jednym miejscu, udałem się do innej wsi, gdzie w podobny sposób zdołałem przywrócić ład, zaco powróciwszy do Wrocławia uzyskałem od marszałka aprobatę mego postępku wraz z podzięką od hrabiego Maltzana, prezeza rządu.

Nie powinienbym tu przemilczeć szczególniejszego fortelu wojennego, używanego czasem przez dowódców korpuśnych dla odwrócenia uwagi publicznej od ruchów wojska. I tak naprzykład wszyscy dobrze wiedzieliśmy, iż maszerujemy do Erfurtu celem połączenia się z wielką armią, posuwającą się ku Wiedniowi. Aż tu jednego dnia daje mi marszałek rozkaz, abym jechał do Hanoweru i nietylko w Hanowerze ale i po drodze, na etapach mi wskazanych, zapisał tak dla niego, jakoteż dla całego sztabu kwatery. Aczkolwiek przekonany, że to była tylko finta, spełniłem przecieź otrzymane polecenie. W tej drodze miałem także mały przypadek, gdyż chłopci hanowerscy, którzy już niejednego francuskiego kuryera sprzątnęli, napadli na mą bryczkę w nocy i zatrzymawszy konie, pytali kto jestem? Szczęściem, że wraz z głową zawinięty byłem w płaszcz, więc napastnicy uwierzyli pocztylionowi, że wiezie niemca. Gdy nadto przemówiłem do nich słów kilka po niemiecku, puścili mię spokojnie w dalszą drogę.

Potem stanęliśmy szczęśliwie w Erfurcie, gdzie marszałek założył główną kwaterę, lecz dowodząc naczelnie wojskiem posiłkowym niemieckiem, nie przestawał on odbierać raportów od księcia Józefa, oraz interesować się sprawą polską. Otrzymywał nawet prywatne listy z Warszawy, w których częstokroć pisano mu różne baśnie i komeraże. Tak naprzykład, jednego dnia woła mię do swego gabinetu i wzięwszy ze stolika list z Warszawy przysłany, zaczyna od pytania:

— Czy znasz to pismo? — Nie, panie marszałku, odpowiedziałem i w samej rzeczy nie znałem tego charakteru. — Daj mi słowo honoru, że nie poznajesz tego pisma — badał dalej marszałek. — Tak panie marszałku, daję je zupełnie

szczerze — powtórzyłem raz jeszcze. A że Davoust nie posiadał w palcach zręczności Pinettiego, a ja miałem bystre oko, więc gdy zakładał podpis, dostrzegłem tegoż pierwszą literę, co mi wystarczyło do wywnioskowania, kto mógł być tak wymyślnie podłym, aby podobną wyinwentować kalumnię. Wówczas marszałek podał list sekretarzowi, p. Lenoir, aby mi głośno odczytał odnośny ustęp listu:

— »Wiesz panie marszałku, iż do tej pory nie posiadaliśmy dla jazdy regulaminów, potrzebnych podczas ćwiczeń tej broni, więc książę Poniatowski, jako minister wojny wprowadził regulamin kawaleryi austryackiej, a to celem ułatwienia Austryakom zwycięstwa nad nami»...

Na tak złośliwe oskarżenie wstrząsałem się cały z oburzenia i zawołałem:

— Panie marszałku, podobnie haniebny zarzut mógł być wymyślony tylko przez niegodziwca!

— Dałeś mi słowo — powtórzył Davoust, — iż nie znasz tego pisma...

— Tak panie marszałku — odrzekłem — powtarzam to raz jeszcze, ale znając charakter wstrętny autora tego listu, sądzę, że jest on zdolnym do takiej podłości...

— A więc mylisz się, bo to nie on — zauważył krótko marszałek i zwróciwszy się po Lenoira powiedział: Przeczytaj pan moją odpowiedź.

Lenoir odczytał list następujący:

»Dziękuję panu za wiadomość o tem, co się u was dzieje, bo żywo mię zawsze zajmują sprawy polskie. Co do księcia Poniatowskiego, to proszę, byś mi pan nie pisał o nim nic złego, bo już miałem sposobność przekonać się, iż jest to bardzo zacny człowiek, prawdziwy Bayard i rzeczywiście wstydzę się, iż go tak długo zapoznałem«.

Tu zwrócił się marszałek do mnie mówiąc:

— Widzisz Szymanowski, że twojemi własnymi słowami zredagowałem ustęp, odnoszący się do twego księcia...

Jakkolwiek list w mowie będący wyszedł z pod pióra wysokiej rangi oficera, to przecież winienem zapewnić, iż mimo niechęci ku księciu Józefowi, ani Dąbrowski, ani też Zajączek nie byli ani dość złośliwymi, ani tak nierozsądnymi, aby podobnego rodzaju potwarz przysłała im na myśl.

W Erfurcie bawiliśmy kilka tygodni i dość przyjemnie czas nam schodził. Pamiętam, że pewnego dnia przy śniadaniu, adjutant króla saskiego, Heinecke, przykomenderowany do sztabu naszego, mówi mi:

— Dziś są imieniny naszego króla...

Powtarzam to marszałkowi, a on na to:

— Dlaczegoż mi wcześniej nie wpomniałeś o tem?

— Bo o niczem nie wiedziałem i dopiero w tej chwili powiadomiony zostałem przez Heineckiego.

— Panowie! — rzekł Davoust do sztabu. — Chociaż cokolwiek zapóźno, trzeba nam urządzić piękną uroczystość! — i zawoławszy swego intendenta, każe mu przygotować wieczerzę i cukry na jakie sto osób, poczem mówi do nas:

— Panowie zechcecie pozapraszać znajome panie, jakie uznacie za stosowne przyprowadzić. Zatrzegam sobie tylko, byście nie wprowadzali żadnych podejrzanych osób, pod własną odpowiedzialnością...

Tak to nasz marszałek, zajęty służbą, mało miał wyobrażenia o prowadzeniu domu. I jakoś się to sklepiło, że był balik, w czasie którego dużo tańczyliśmy i kolacja była dobrze już po północy, ale niegorsza. O owej niepraktyczności — że tak powiem — Davousta, oraz na potwierdzenie, że przy dobrej woli dokazać wszystkiego można, przytoczę jeszcze jedno zdarzenie, które miało miejsce w Warszawie podczas bytności tamże króla saskiego.

Zbliżały się w sierpniu imieniny cesarza Napoleona, a że pani Tyszkiewiczowa zajmowała się teatrem *de société* i utworzyła była towarzystwo, złożone z kilkunastu pań i panów, wcale nie złych aktorów, więc na tydzień przed piętnastym sierpnia przyszło marszałkowi na myśl, aby wydać w tym dniu wielki bal, i odegrać sztukę ze śpiewkami p. t.

Potrójne małżeństwo, w którejby jako nowożeńcy wystąpili Francuzi, Polacy i Sasi. Woła więc naczelnika swej kancelaryi, pana Pingeon i rzecze mu:

— Napisz mi jaką małą komedyjkę na tle potrójnego małżeństwa, ale koniecznie na jutro, lub najdalej na pojutrze.

Zaraz też wydaje mi następujące polecenie:

— Idź do hrabiny Tyszkiewiczowej i powiedz jej, że wielką sprawi mi przyjemność, jeżeli się zechce podjąć dyrekcyi i wykonania tej sztuczki w wielkim teatrze, gdzie zamyślam w dniu piętnastym sierpnia wyprawić wspaniały bal wraz z zabawą kostyumową. Będiesz miał również rolę w tej komedyjce, o której mówiąc hrabinie, nadmienię, że rzecz ta sprawi przyjemność królowi saskiemu.

Na napisanie, wyuczenie się i przedstawienie sztuki mieliśmy wszystkiego ośm dni czasu. Pani Tyszkiewiczowa, jako znawczyni w tej mierze, wzdragała się zrazu wobec uczyniczej jej propozycji. Odmawiać wszakże nie chciała i nie mogła. Dość, że tyle sobie zadała pracy i starania, iż i sztuki nauczyliśmy się na pamięć i odegraliśmy ją niezłe, polegając najwięcej na suflerze, oraz na dyrekcyi pani Tyszkiewiczowej. Mnie szczególnie, który nigdy w życiu wobec tak licznej publiczności na scenie nie występowałem, zdawało się, że w żaden sposób nie potrafię dobrze odegrać mej roli i dla nabrania kurażu, wypilem za kulisami parę szklanek ponczu. I oto inni występujący — zapamiętałem z ich grona tylko Ludwika Radziwiłła i panią Cichocką — mimo zdolności scenicznych, mylili się w roli, gdy na mnie kolej przysła, wszyscy prawie jako i sam marszałek zapewnili mię, że uratowałem sztukę... Po przedstawieniu król zawezwał mię do siebie i chcąc mi coś przyjemnego powiedzieć, chwalił, że dobrze śpiewałem kuplety.

W ogóle podczas bytności Francuzów w Warszawie, osobliwie też za gościny dworu saskiego, licznie zgromadzone i nader świetne towarzystwo polskie, musiało dać o nas Francuzom korzystne wyobrażenie. Odnosi się to osobliwie do dam naszych z wyższego towarzystwa, które w każdym

zdarzeniu, bądź to co do zabaw, bądź pod względem patryotycznych i dobroczynnych uczynków, nieustąpią żadnemu innemu narodowi. Ach, ileż to, ile mógłbym przytoczyć przykładów na udowodnienie mego twierdzenia! Przechodzi to wszakże zakres mych wspomnień, przeto z Warszawy powracam do Erfurtu.

Pewnego dnia marszałek postanowiwszy jeszcze przed rozpoczęciem kroków wojennych, wybiec na czas krótki do Paryża, oświadczył sam nagle podczas obiadu:

— Panowie, jutro jadę do Paryża, biorę z sobą Montmorency'ego i Montesquieu. Wy tutaj zostaniecie, bo wkrótce będę z powrotem. — Tu zwróciwszy się do szefa sztabu. generała Campan dodał: Proszę żadnych nie robić wyjątków. Gdy wypadnie wyprawić którego z tych panów, czy do Niemiec, czy do Polski, czy do mnie do Paryża, należy przestrzegać kolei.

W obec tego każdy z nas pragnął, by na niego wypadła kolej jazdy do Paryża, gdyż odwiedzenie tej stolicy rządowym kosztem było wcale przyjemnem zadaniem, podczas gdy podróże do Niemiec, dość częste, odbywaliśmy niezbyt chętnie. Otóż dnia pewnego przy śniadaniu pyta generał, czyja dziś kolej do wyjazdu. Spieramy się o to między sobą, nie wiedząc, dokąd jechać wypadnie, gdy w tem generał się odzywa: Zdecydujcie się panowie, gdyż bezpośrednio po śniadaniu jeden z was musi się puścić w drogę do Paryża... Usłyszawszy słowo: Paryż! jeszcze bardziej poczęliśmy się spierać o porządek jazdy, aż w końcu pokazało się, że kolej wypadła na niemca, Heineckiego, którego acz żartem, porządnie wyszturkaliśmy...

Pojechał więc Heinecke do Paryża, ale zaledwo wysiadł późną nocą w pałacu Monaco, дарowanym przez cesarza Davoustowi i pożywił się nieco, gdy woła go do siebie marszałek. — Już ja pomyślę o tem — mówi do Heineckiego — abyś innym razem obejrzał Paryż, lecz teraz nie rozpakowuj się, bo cię natychmiast z powrotem do Erfurtu wyprawiam!... Tak tedy biedaczysko, który sobie tyle obiecywał przyje-

mności z oglądania Paryża, zabawił w tem mieście zaledwie parę godzin i to w nocnej porze. To też, gdy nadspodziewanie szybko do nas powrócił, warto było posłuchać, jak z niego drwiono, aż mi żal było w istocie biedaka.

Z Erfurtu, po upływie kilku tygodni, przeniósł Davoust swą główną kwaterę do Bambergu, gdzie również przez kilka tygodni bawiliśmy, a tymczasem wojska nadchodzące z Francji, tudzież posiłkowe, niemieckie, koncentrowały się w rozmaitych miejscowościach. W drodze z Erfurtu do Bambergu wypadało nam przejeżdżać przez państewka wielu książąt niemieckich, którzy zapraszali marszałka w odwiedziny do siebie. Wszystkim wszakże zaprosinom Davoust odmawiał, lecz gdyśmy przybyli do Koburga, zastaliśmy na stacy pocztowej samego księcia panującego, który nie dozwoliwszy nam wysiąść, kazał zawrócić konie do swego pałacu. Zakurzeni i brudni udaliśmy się prosto na książęce pokoje, gdzie pięknie przybrana gwardya oddała marszałkowi wojskowe honory. Przy każdych schodach stali dwaj służący w bogatej liberyi, kamerdynerowie w trzewikach i w pończochach, dalej kamerjunkrowie, szambelani, damy honorowe. Księżna przyjęła nas otoczona przez księżne krwi, wśród których znajdowała się rozwiedziona z wielkim ks. Konstantym Pawłowiczem, siostra panującego księcia. Wszystkie te damy były wystrojone i wybrylantowane od stóp do głów a my byliśmy brudni i zakurzeni, tak, że można było z nas nożem kurz zdejmować. Nadto dostrzegłem, że marszałek nawet szlify w powozie zostawił. Przynąwszy się, szepnąłem mu przeto do ucha, że możeby dobrze było, abyśmy przed obiadem nieco się oczyścili. Zaraz też dano nam kilka pokoi, a gdyśmy odświeżeni powrócili do recepcjonalnych apartamentów, podano smaczny i wykwinny obiad, do którego zasiedliśmy wraz z całą książęcą rodziną. Podczas obiadu spełniano kielichy na zdrowie cesarza Napoleona, marszałka i księcia wraz z całą rodziną przy odgłosie orkiestry książęcej. Wkrótce po obiedzie ruszyliśmy w dalszą podróż i nigdzie już po drodze nie wstępowaliśmy. W miarę posuwania się armii,

główna kwatera przeniosła się do Ratzbony, zkąd po upływie dni kilku pomaszzerowaliśmy ku Than naprzeciw armii austriackiej, która — jak to się słusznie zdawało marszałkowi — z zaczepnego chciała przejść w działanie odporne, zamierzając przebyć Dunaj pod Ratzboną. Było to następstwem przegranej bitwy pod Gutstadt, w której sam Napoleon z pomocą Bawarczyków i Wirtemberczyków a bardzo małej ilości Francuzów dowodził. Sama obecność cesarza na polu walki tak wielki wywierała urok i tyle dodawała żołnierzom, nawet obcym, otuchy, iż słabsi liczebnie zwyciężali silniejszego nieprzyjaciela. Równocześnie, gdy cesarz rozbił pod Gutstadt armię austriacką, korpus trzeci Davousta posunął się ku Than na spotkanie nieprzyjaciela, rejterującego z arcyksiężętami Karolem i Ludwikiem ku Dunajowi. Od świtu korpus nasz był w ogniu, mając przed sobą przeważne siły austriackie. W tem starciu poniosłem bolesną stratę, albowiem przyjaciel mój Ziemecki, o którym wspominałem z okazji pruskiej kampanii, domagający się odemnie, bym mu wyrobił przeniesienie z Bydgoszczy do głównej kwatery marszałka, przybył na me nieszczęście w sam dzień bitwy pod Than do naszego korpusu. Pragnąc corychlej zmierzyć się z Austryakami, wsunął się między tyralierów francuskich i ugodzony kulą poległ niemal w moich oczach. Bitwa pod Than trwała uporczywie przez dzień cały (d. 20 kwietnia 1809 r.) i mimo liczebnej przewagi nieprzyjaciela marszałek posunął się aż do Eckmühl. Straciliśmy wszakże w tym dniu dużo ludzi i wielu wyższych oficerów, w tej liczbie dwóch czy trzech generałów. Zginął tam również wielce od nas wszystkich żalowany szef sztabu marszałka, generał Herve. Ku wieczorowi zlecił mi Davoust udać się wprost z pola walki do cesarza, przebywającego w okolicy Gutstadt i oznajmić, że cała armia austriacka stoi przed nami koło Eckmühl. Nie mając przewodnika, bo mieszkańcy okoliczni uciekli lub pochowali się, dostałem się w parę godzin później do Gutstadt, w tej właśnie chwili, gdy przybyły nieco wcześniej adjutant marszałka Lannes'a donosił

Napoleonowi, że główna armia cesarska znajduje się przed nimi, w przeciwnej zupełnie stronie... Gdy skończył swój raport, ja swoje wyrecytowałem. Na to cesarz rzecze mi:

— Przybywasz w porę, aby usłyszeć, co mi donosi Lannes. Wracaj więc do marszałka i powiedz mu, że się myli. Główne siły austriackie nie stoją przed nim lecz tutaj. Niech więc uderza śmiało i na swój sposób a przekona się, że Lannes ma rację.

Następnie zapytuje mnie cesarz, którędy jechałem. Pokazałem mu na karcie kierunek przebytej drogi, na co on zauważył, iż niepotrzebnie kołowałem i wskazał mi odmienną drogę, dodając, że w lesie pobliskim ukryli się wprawdzie tyrolscy strzelcy, ale już ich dragoni musieli wyrugować. Zresztą — zakończył cesarz — przed kilkoma godzinami był tu jeden oficer z waszego sztabu, któremu tę samą drogę pokazałem. Ruszaj więc i powtórz marszałkowi mój rozkaz.

Wsiadłem na konia i odjechałem, ale zastanowiwszy się, że nie tak to łatwo zdoła jazda wyrugować z lasu strzelców, wolałem powracać tą samą, choć nieco dłuższą drogą, którą przybyłem. I dobrze zrobiłem, albowiem podpułkownika Kobyleńskiego, o którym właśnie cesarz wspominał, strzelcy tyrolscy w tym samym lesie pojмали, gdy ja wracając nocą i przez błotnistą olszynę, szczęśliwie przybyłem do marszałka. Gdy zdałem mu z całą akuratnością sprawę z mego posłannictwa, rozgniewał się bardzo i rzekł do mnie:

— Czemu cesarzowi nie powiedziałaś, coś tutaj sam widział?

Odpowiedziałem, iż dosłownie powtórzyłem jego zlecenie cesarzowi, na co Davoust zniecierpliwiony zauważył:

— Oto, co się zawsze ze mną dzieje! Wierzy cesarz innym, którzy składają fałszywe raporty dla przysporzenia sobie zasług, mnie zaś nigdy nie ufa. Lecz jeśli cesarz pragnie abym do zguby przywiódł jeden z najwaleczniejszych korpusew jego armii, to będę umiał spełnić jego rozkaz. Zginę wraz z mym korpusem, potrafię dać się zabić!

Jakoż bitwa, którąśmy pod Eckmühl stoczyli, była bardzo krwawa, bośmy przeciw dwom, silniejszym od nas korpusom austriackim walczyli. A że nie marszałek Lannes, lecz Davoust miał rację utrzymywania, iż główna armia cesarska przed nim się znajduje, na to lepszego dowodu dać nie mogę jak ten że po skończonej kampanii mój marszałek zamianowany został księciem Eckmühl.

Tymczasem ustępująca armia austriacka, chcąc przebyć Dunaj, zaatakowała Ratyzboneę z dwóch stron rzeki i zawezwała pozostawionego tamże pułkownika Coutarda, aby kapitulował. Pułkownik wszedł w układy z dowódcami obu oddziałów równocześnie i przyjął warunki, które mu były korzystniejsze. Wyszedł tedy z miasta z wszelkimi honorami, z sztandarami i z armatami. Gdy Coutard stanął przed cesarzem, jednym z pierwszych słów, jakie usłyszał, było pytanie:

— A gdzie są twoje sztandary?

— Oto są, najjaśniejszy panie, — odparł zapytany.

— To twoje szczęście — rzekł wówczas Napoleon — gdyż za oddanie pozycji nieprzyjacielowi, byłbym cię pozbawił stopnia a pułk wasz wymazałbym z listy kontrolnej armii tak, jak gdyby nigdy nie istniał...

Od czasu owych głównych pod Gutstadt i Eckmühl bitew, armia francuska posuwając się ku Wiedniowi, nie wydała już żadnej, o ile sobie przypominam, batalii, chociaż ledwo nie codziennie biliśmy się z Austriakami, którym sprawiedliwość oddać winienem jako armii dobrze zorganizowanej, gdyż w ciągłej rejteradzie, dziś pobici, nazajutrz przecież zawsze byli w pogotowiu wydania nowej bitwy, nie mogąc mieć nawet nadziei zwyciężenia nas, bośmy codzienne nad nimi otrzymywali korzyści. Nareszcie stanęliśmy pod murami Wiednia, który był ufortyfikowany i dobrze uzbrojony. Mimo to naczelną wódz austriacki, arcyksiążę Karol, jeden z najbieglejszych po Napoleonie jenerałów, który co do sztuki wojowania był może jedynym, mogącym się mierzyć z cesarzem, osądził, że obrona Wiednia nie

była w tej kampanii dla niego korzystną. Wyprowadziwszy zatem ze stolicy wojska austriackie na lewy brzeg Dunaju, zdecydował oddanie Wiednia Francuzom. Armia nasza weszła do Wiednia na podstawie kapitulacji bez wielkiego, poprzedniego oporu. Wiedeńczycy wejściem Francuzów mało byli zrażeni. Co do mnie, znając dobrze miasto, gdyż w r. 1804 bawiłem w niem przez czas dłuższy, poznałem i jego ludność spokojną i na wszystko obojętną, byle jej tylko Strauss walce przygrywał. Chodziłem przeto po ogródkach, tudzież po wałach i znalazłem wiele osób z owych, które podczas ostatniej bytności zwykłem był spotykać, siedzących przy kuflu, przy tych samych nawet stolikach. Po Rzymie nie znam miasta, którego mieszkańcy bardziejby się ubiegali za zabawami od Wiedeńczyków, z tą jedynie różnicą, iż Wiedeńczycy po pracy oddają się swej monotonnej rozrywce dla odpoczynku, podczas gdy Rzymianie, do lenistwa nawykli, choćby i o głodzie zajmują się raczej zabawą jak pracą.

Cesarz od pierwszego zaraz dnia stanął kwaterą w Schönbrunie, zaś cała armia rozciągnęła się na prawym brzegu Dunaju, od Wiednia ku Preszburgowi. Wszyscy prawie marszałkowie i wyżsi generałowie umieścili się w książęcych pałacach. Marszałkowi Davoust dano pałac księcia Lobkowitza, bardzo duży i wygodny, w którym większa część naszego sztabu znalazła pomieszczenie. We wszystkich prawie pałacach, zajętych na kwatery, dawano prócz mieszkania z początku stół. Nie wiem, jak tam było w innych kwaterach, ale u Lobkowitzów, to nas żywiono ledwo przez dni kilka, gdyż Davoust kazał swoim kosztem opędzać potrzeby stołu, do którego miał prawo zasiąść każdy z jego oficerów sztabowych.

Nadeszła nareszcie pora owej bitwy pamiętnej pod Essling, w której, acz osobiście Napoleon Francuzami a arcyksiążę Karol Austriakami dowodzili, nie mogę jak wyznać, żeśmy ją przegrali i nieodżałowaną w niej ponieśli klęskę oraz straty. Wszystkie korpusy armii, wyjąwszy naszego, zostawionego dla strzeżenia Wiednia, znajdowały się na polu

walki. Nie będę jej opisywał, więc powiem tylko, iż w sam dzień tejże bitwy, (dnia 21 maja 1809 r.), którą dosyć dobrze co do ruchów i manewrów ogólnych z wieży świętego Szczepana widzieć można było, posłał Davoust jednego z podpułkowników swego sztabu i mnie, wraz z dwoma wiedeńczykami, lepiej od nas znającymi okolicę, na szczyt wieży. Opatrzywszy nas w teleskopy i w kartę geograficzną, kazał sobie marszałek przysyłać jak najczęstsze raporty o przebiegu walki a celem ułatwienia komunikacji między wieżą i pałacem Lobkowitza ustawiono we wieży i wzdłuż ulicy piesze kresy, podające sobie z rąk do rąk zapytania marszałka tudzież nasze raporty. Widzieliśmy zatem, jak Austriacy w nadziei zupełnego zwycięstwa, chcąc przeciąć Napoleonowi odwrót przez Dunaj, puszczali nieustannie to młyny wodne, to statki, wyładowane kamieniami, celem przerwania mostu żyłwowego, rzuconego na dwóch ramionach Dunaju między wyspą a stałym łądem. Statki owe i młyny szły tak gęsto, iż rozstawieni wzdłuż brzegów pontonierzy nie mieli wprost ni czasu, ni też siły, by zatrzymywać je kotwicami a w końcu kotwic, zabieranych z wiedeńskiego arsenału, nie stało.

Prócz tego niezwykły widok przedstawiała jelenie, które wypłoszone z Prateru hukiem dział, rzucały się w rzekę i płynęły unoszone prądem. Strzelali do nich nasi i austriaccy strzelcy, lecz chybiali często, gdyż zaledwo głowy z rogami wystawały z wody. Z raportów naszych dowiedział się Davoust o przegranej bitwie, to też gdyśmy mu donieśli, że mosty muszą być zerwane, albowiem widzimy koło nich skupione wojska, powziął marszałek natychmiastowe postanowienie i zostawiwszy w mieście dywizję generała Frianda, wraz z dwoma innymi dywizjami, z jazdą i z artylleryą, pomaszerował ku wyspie Lobau, o jedną stację pocztową od Wiednia oddalanej. Stanęliśmy na miejscu około godziny drugiej z południa i znaleźliśmy most w dwu punktach zerwany. Naprawą mostu zajmował się generał Bertrand, ten sam, który później znajdował się z Napoleonem na wyspie Świętej Heleny. Korpus nasz rozciągnął się wzdłuż prawego

brzegu Dunaju i mostu, podczas gdy na wyspie skupiła się w nieładzie armia Napoleona, a tuż za wyspą stali Austriacy. Można powiedzieć, że prócz trzeciego korpusu, ani jedna brygada, ani nawet gwardya cesarska nie przestrzegały przyzwoitego porządku. Widziałem na własne oczy, jak między rannymi, zbieranymi na polu bitwy, niesiono marszałka Lannes'a z jedną nogą zgruchotaną, lecz jeszcze wiszącą u tułowia, gdy drugą miał zupełnie urwaną. Nie policzyłbym wszystkich rannych, bądź przenoszonych po naprawionym już moście, bądź też przechodzących ów most o własnej sile. Marszałek mój wnet dostrzegł, że bardzo wielu żołnierzy, obwiązawszy sobie ręce lub nogi zakrwawionemi szmatami, udawało rannych. Kazał więc nam stanąć przy moście a każdego, podającego się za rannego, obejrzeć, czy rzeczywiście odniósł ranę. Jakoż zwyż tysiąca szeregowców, szpadami ich po łbach bijąc, odesłaliśmy do właściwych pułków.

Prócz naszego korpusu, na który mógł śmiało liczyć w smutnem położeniu, rachował cesarz jeszcze na korpus księcia Ponte-Corvo, złożony z samych Sasów, w sile dwudziestu kilku tysięcy żołnierza. Korpus ten, stojący w Hanowerze, od dawna otrzymał był rozkaz pospieszania pod Wiedeń i złączenia się z główną armią, lecz od dni dzie sięciu nie było słyhu o nim, gdyż oficerów, wysełanych przez księcia Ponte-Corvo, chwytały ruchome kolumny nieprzyjacielskie. Wiedząc, iż cesarz niepokoi się z tego powodu, mówi mi Davoust:

— Jest to rzeczą możliwą, iż Prusacy, chociaż nie wiodą obecnie z nami wojny, zagrodzili im drogę i przeszkadzają korpusowi w połączeniu się z nami...

Tymczasem Wiedeńczycy, nie wiedząc co się dzieje na polu walki, z którego dolatywał ich tylko odgłos kanonady, wysełali do naszego obozu na zwiady szpiegów. Ktokolwiek więc pojawił się w naszym obozie bez biletu komendanta Wiednia, tego bez żadnego sądu oddawano żandarmom i rozstrzeliwano na miejscu. Takich egzekucyi cztery czy pięć, wykonano w sam dzień naszego pod Lobau przybycia.

Smutna to była i nader bolesna konieczność, ale innej rady nie było w kłopotliwym naszym położeniu. Tak stały rzeczy, gdy oparliśmy się o most, po raz trzeci czy czwarty z rzędu zerwany, przylądam się pracującym pontonierom, aż tu widzę zajeżdżającą bryczkę, z której wysiada bardzo zakurzony oficer i przystąpiwszy do mnie pyta, gdzie jest cesarz, oraz czy można go natychmiast widzieć, gdyż przywozi pilne wiadomości? Po mej, niekoniecznie zadowolającej odpowiedzi, pytam go od niechcienia, skąd przybywa i dowiaduję się, że mam do czynienia z adjutantem księcia Ponte-Corvo. Usłyszawszy to, lecę do biwaku marszałka i z daleka już donoszę mu, jak mogę najgłośniejszą, o radośnej nowinie. Davoust zerwał się gdyby młodzik ze słomy, na której leżał i jął zasypywać przybyłego pytaniami. Ten odpowiadał z pośpiechem, lecz co chwila przypominał marszałkowi, że radby jak najspieszniej widzieć się z cesarzem, bawiącym na wyspie Lobau. Ponieważ most był zerwany, więc marszałek kazał mi sprowadzić pontonierów z czółnem a ów adjutant wsiadając do łodzi, prosił mnie, by dać pozór na jego bryczkę oraz na pocztyliona, w przeciwnym bowiem razie musiałby chyba pieszo wracać do Wiednia. Oddaję więc pocztyliona z końmi pod straż najbliższemu posterunkowi piechoty, dowodzonemu przez sierżanta, nie wiedząc o tem zgoła, iż przeważna część batalionu, do którego posterunek ten należał, składała się z rekrutów, świeżo z Francji przybyłych. Tymczasem zaczęło się ściemniać, a że niewiedzieliśmy co nas jutro czeka, przeto posiliwszy się, rzuciliśmy się na słomę, by spocząć. Noc minęła spokojnie, aliści ledwo zaczęło szarzeć na niebie, gdy od linii naszych posterunków słyszemy wystrzały karabinowe, pierwszy, drugi, dziesiąty. Chociaż od nieprzyjaciela dzieliły nas rzeka oraz wyspa zajęta przez armię cesarską, zrywamy się wszyscy na równe nogi, biegniemy w kierunku strzałów, wołając, by zaprzestano ognia. Niebawem też ustała strzelanina, która mogła cesarzowi poddać myśl, że w Wiedniu wybuchło powstanie oraz, że powstańcy atakują od tyłu korpus trzeci. Davoust zalecił

stanowczo wysledzenie przyczyny alarmu oraz dostawienie mu żołnierza, który pierwszy wystrzelił. Po długim badaniu sprowadzono do marszałka młodego rekruta, który przyznał się, że słysząc alarm dał ognia.

— Jaki alarm? — pyta go marszałek.

Rekrut, nie wiedząc do kogo mówi, odpowiada z całą szczerością:

— Widzisz, panie oficerze, bo to alarm na trąbce...

— Na jakiej trąbce? Gdzie? Kiedy? — badał zniecierpliwiony Davoust — i w końcu pokazało się, że sprawcą alarmu był ów nieszczęśliwy pocztalion, który nie mogąc doczekać się powrotu swego pasażera, adjutanta księcia Pontecorvo, zatrąbił na swej trąbce, zwyczajem pocztalionów wiedeńskich.

— Wziąć go i rozstrzelać! — zlecił marszałek oficerowi żandarmeryi — a zwróciwszy się do mnie rzecze:

— Powiedz mu po niemiecku, iż za to, że stał się powodem alarmu, zostanie natychmiast rozstrzelany. Niech żałuje za grzechy i poleci się Panu Bogu!

To rzekłszy, odszedł Davoust do swego biwaku. Acz z bólem serca wykonałem rozkaz, zaś ów biedaczysko zrozumiawszy, co go czeka, zawołał z rozpaczą:

— Mój Boże! Co się stanie z mą żoną i z sześciorgiem dzieci!

Usłyszawszy ten wykrzyk, uczułem straszną boleść w sercu i postanowiłem użyć wszelkich możliwych środków oraz całego mego wpływu na marszałka, by ocalić skazańca. Zwracam się przeto do oficera żandarmeryi, którego na nieszczęście nie znałem i zaklinam go na wszystko, by odłożył egzekucję, gdyż pozyskam od marszałka ułaskawienie. Ale żandarm i słuchać mnie nie chciał, lecz zasłaniając się surową odpowiedzialnością dodał, iż z rozkazu marszałka już sześciu szpiegów w ciągu ostatniej doby na tamten świat wyprawił...

— Jedna więc przyczyna więcej — prawie mu — by się nie spieszyć z straceniem tego biednego człowieka, który

jest zupełnie niewinny — i prosiłem tak usilnie żandarma o zwłokę choćby kilku godzin, iż wreszcie pokazując mi zegarek, zgodził się poczekać pół godziny.

— Jeżeli do tego czasu nie przyniesiesz ułaskawienia, bądź pewnym, że każę go rozstrzelać — zapewniał mię ów egzekutor. Wziąwszy zatem od niego słowo, iż choćby pół godziny zaczeka, pobiegłem z zegarkiem w rękę do marszałka, którego zastałem dyktującego depeszę. Przemówiłem do niego, lecz mi przerwał słowy:

— Daj mi pokój, wszak widzisz, że jestem zajęty...

— Panie marszałku, mnie bardzo pilno.

— Czego więc żądasz?

Opowiedziałem mu rzecz całą i nadmieniłem, że skazany na śmierć pocztillion był zupełnie niewinny.

A on mi na to:

— Ty zatem, który na równi z nim zawiniłeś, wystawiasz się sam na zgubę? Idź sobie i daj mi pokój!

Ta zimna odpowiedź marszałka obruszyła mię srodze i zawołałem w najwyższym uniesieniu:

— Krew tego nieszczęsnego, ojca sześciorga dzieci, spadnie panie marszałku na twoje dzieci!

Na to Davoust porwał się z siedzenia i krzyknie:

— Szymanowski! Czyś ty zwaryował?

— Nie panie marszałku, -- odparłem — ale nie mogę znieść spokojnie, byś popełnił czyn tak niesprawiedliwy!

— A więc dobrze, ruszaj do dyabła! — mruknął już uspokojony, — ja zaś ostatnie jego słowa uważając za pardon, pobiegłem, co sił starczyło, na miejsce tracenia i ledwo żem na czas zdążył, by ocalić biedaka od śmierci. Zrazu oficer żandarmski nie chciał mi uwierzyć i poszedł ze mną do marszałka, który kazał skazańca puścić wolno.

W parę godzin później sam Davoust zawezwał mnie do siebie.

— Dziękuję ci Szymanowski, — rzekł do mnie serdecznym tonem — żeś mi przeszkodził w popełnieniu czynu niesprawiedliwego, który byłby na całe życie obarczył me

sumienie. Ach, mój Boże, jak to łatwo stać się srogim i okrutnym w tym podłym zawodzie, nie będąc do tego wcale skłonny. Gdy jestem w moich stronach, w Savigny, płacząc widząc dziecko płaczące a tutaj, podczas wojny, staje się człowiek zwierzęciem nieczułym, nieprzystępnym wszelkiemu uczuciu miłosierdzia. Oddałeś mi rzeczywiście dobrą przysługę i dziękuję ci za nią z całego serca . . .

Po owej nieszczęsnej bitwie pod Essling, cesarz zajmując zawsze wyspę Lobau, utworzył główną kwaterę w Schönbrunie i rozłożył całą swą armię wzdłuż prawego brzegu Dunaju. Trzeci korpus posunął się wówczas ku Preszburgowi a marszałek mój stanął kwaterą w pobliżu tego miasta, w dobrach księcia Esterhazego, gdzie był duży i piękny pałac książęcy, zajęty przez nas na mieszkanie. Była tam odwieczna aleja, wiodąca do pałacu, z starych lip złożona. Zaczęto je wycinać na opał i na biwaki. Na szczęście wszakże rządca dóbr księcia spotkał mnie w ogrodzie i zaklinał na wszystko, by oszczędzano te stare drzewa, on zaś dostarczy podostatkami opału i budulca. Tak więc, prócz jednej, czy dwóch lip, napół ściętych, reszta alei ocalała, choć obozował w jej pobliżu cały korpus.

W marszu z Wiednia do Preszburga, wydarzył mi się zabawny wypadek, zasługujący na wspomnienie. Oto, gdyśmy spokojnie za marszałkiem jechali, spostrzegliśmy tuż przy drodze maroderów z postępującego przed nami korpusu, rabujących piękną czyjaś willę. Davoust, który nie cierpiał rabunku, kazał mi zboczyć do willi i przepłoszyć hultajów, więc też wzięwszy jednego sapera dla potrzymania konia, bez namysłu wpadłem między zgraję plądrujących, płazując i okładając szpadą po głowie, kogom dopadł. Rabusie uciekli, ja zaś chcąc się przekonać, czy który z nich nie ukrył się w jakim pokoju, zaszedłem aż do ostatniego gabinetu. Była tam biblioteka, rozrzucona w nieładzie przez napastników, szukających widocznie kosztowniejszych niż książki przedmiotów i przypadkowo nastąpiłem nogą na mały, dość brudny sztambuch. Orworzywszy go, raczej z roztargnie-

nia jak z ciekawości, znalazłem na jednej karcie skreślony, następujący wierszyk:

*Je suis pour tous bien malheureux,
 J'etais autre fois Francois deux,
 Maintenant je suis Francois un,
 Comme c'est su de chacun
 Et si je perds mon numèro
 Je deviendrai Francois zero!...*

Była to dość przeźroczyta aluzya do cesarza austriackiego, Franciszka pierwszego, który do niedawna jako cesarz niemiecki zwał się drugim, zaś obecnie rzuciwszy Wiedeń, szukał schronienia w Czechach.. Ponieważ spieszyłem się do marszałka, przeto porwałem ów sztambuch z sobą i była to jedyna rzecz cudza, którą sobie w ciągu mych wypraw wojennych przywłaszczyłem.

Chociaż staliśmy pod Preszburgiem, zawsze jednak wiedeński pałac Lobkowitza pozostawał do naszej dyspozycyi z powodu, że jedna dywizya trzeciego korpusu załogowała w stolicy. Dla nas, oficerów sztabowych Davousta, było to wielką dogodnością, albowiem ile razy któremu z nas wypadło jechać do Wiednia, to mogliśmy bez szukania kwatery dokąd zajechać. Sposobności po temu nie brakło, gdyż czasem i parę razy na dzień wypadało nam jechać do cesarskiej kwatery w Schönbrunie, gdzie trzech lub czterech oficerów z naszego sztabu, czekało niekiedy na jedną depeszę od księcia Neufchatel do marszałka. Przenosząc wesołą zabawę w Wiedniu nad nudy i niewygody w Schönbrunie, ułożyliśmy między sobą, iż tylko ostatni, przybywający do cesarskiej kwatery, pozostawał na miejscu, zaś ten, który go poprzedził, ruszał do Wiednia, bawił się, jak mu się podobало, zostawiając wszakże dla wszelkiej pewności u szwajcara w pałacu Lobkowitzów kartę, na której dawał znać, gdzie i o której godzinie będzie się znajdował. Nadto co parę godzin zaglądało się do pałacu, dla dowiedzenia się, czy niema co nowego.

To, co teraz mam do opowiedzenia, zdarzyło mi się we dwa dni, lub też zaraz nazajutrz po rozstrzelaniu w Schönbrunie owego Erfurtczyka, knującego zamach na życie Napoleona *). Różne, on do tego upatrywał chwile, a najczęściej gdy cesarz zewnątrzniemi schodami udawał się na zwyczajną paradę. U brzegu tych schodów, dość szerokich, stawali petycyonaryusze, od których cesarz własnoręcznie, lub za pośrednictwem adjutanta odbierał prośby. Wendel codziennie prawie stawał po jednej stronie owych schodów, mając zamiar jedną ręką podać petycję, a drugą dobyć ukrytego w zanadrzu puginału, by pchnąć nim w pierś cesarza. Ale Opatrzność czuwała widocznie nad życiem Napoleona, gdyż owego dnia, w którym niedoszły morderca powziął stanowcze postanowienie dokonania zamachu, cesarz tak prędko zbiegł ze schodów, iż nikt z oczekujących nie zdążył mu podać petycyi i dopiero, gdy po odbytych przeglądzie wracał do pałacu, zbliżył się ku niemu Wendel. Jenerał Rapp, odpychając natręta, namacał u niego ukryty pod suknią puginał. W jednej chwili ujęto zbrodniarza i podniósł się krzyk wielki do koła. Cesarz odwrócił się i zapytał, co się stało? Odpowiedziano mu, iż schwytano mordercę. Wówczas Napoleon kazał wojsku zamknąć szeregi i defilować, poczem udał się do jednej z górnych sal pałacowych, dokąd też sprowadzono z jego polecenia więźnia. Otoczony licznym dostojnikami orszakiem, zapytywał cesarz Wendla, czy to prawda, iż godził na jego życie?

— Prawda — brzmiała odpowiedź.

— Dlaczego?

— Bo jesteś największym wrogiem Niemców.

*) Zamach rzeczony nastąpił już podczas rokowań pokojowych po zawarciu rozejmu znaimskiego, (d. 10 lipca) t. r. Sprawcą zamachu — według pamiętnika Rappa był Fryderyk Staps, syn pastora z Naumburga. Natomiast »Allg. Anzeiger der Deutschen« 1814. (t. II. str. 1847), zwie go Konstantym Wendlem z Erfurtu. (P. W.)

— Czym wyrządził tobie, lub twej rodzinie jakąkolwiek krzywdę?

— Nie, owszem mój ojciec, pastor w Erfurcie, otrzymał od ciebie pensję.

— A więc dlatego mnie zabić chciałeś?

— Nie, bo to są względy osobiste. Ale ogółem bardziej nad wszystko mnie obchodzącym jest ojczyzna, Niemcy których ty głównym jesteś nieprzyjacielem...

— A gdybym ci życie darował — ciągnął dalej cesarz — tobyś zapewne innej szukał sposobności, aby mnie sprzątnąć z tego świata?

— Nie, — odparł Wendel — widzę bowiem, iż Bóg strzeże życia i bezpieczeństwa twej osoby....

Na to cesarz ozwał się, jak mi mówiono:

— To dobrze, puścić go wolno...

Ale równocześnie w sali podniosły się głosy, iż należy dla przykładu stracić mordercę — i Napoleon nie mówiąc ni słowa więcej, udał się do swych apartamentów. Sprawcę zamachu w kilka godzin później rozstrzelano.

Jak powiadam, w kilka dni po tym wypadku przybyłem z depezbami do Schönbrunu i zastałem tam pułkownika-adjutanta naszego marszałka, zwanego Christophe, dobrego mego przyjaciela, który dniem wprzód przybył do głównej kwatery cesarskiej i czekał na depeze. Ten spostrzegłszy mnie mówi:

— Znasz naszą umowę? Ty zostaniesz w Schönbrunie, ja ruszam do Wiednia.

— Dobrze — odrzekłem — zostanę tutaj, bylebyś pułkowniku u pałacowego szwajcara zostawił wiadomość, gdzie cię szukać należy.

Zostałem więc w głównej kwaterze, w której sam na sam przyszło mi się spotkać z cesarzem. Było to zdarzenie tak dla mnie przynajmniej interesujące, iż do końca życia o niem nie zapomę, tembardziej, że żywię przekonanie, jako nic nigdy podobnego nikomu z cesarzem wydarzyć się nie mogło i nie wydarzyło się. Rzecz się tak miała: z Warszawy

jeszcze znałem pułkownika Flahauta, który spotkawszy mnie w sali, wziął pod rękę i powiodł ku drzwiom jadalni mówiąc:

— Siadaj sobie tutaj i jak tylko drzwi otworzy służba, oznajmiając, iż podano do stołu, w tej chwili, nie uważając na nikogo, wejdz i zajmij miejsce. Nabierz pierwszej lepszej potrawy na talerz, nalej sobie wina z flaszki przed tobą stojącej, jedz i pij, choćbyś widział za sobą generałów, nie mogących się docisnąć do stołu. Widzisz bo u nas przygotowuje się obiad na osób co najwięcej trzydzieści, a głodnych jest dwa razy tyle. Podjadłszy sobie, wracaj, zanim inni ruszą się od stołu, do tej sali, gdzie, jak widzisz, ciągnie się dokoła wąska sofa. Upatrzysz sobie miejsce dogodne, kładź się i choćby niewiem kto starszy od ciebie stopniem wołał, byś mu miejsca ustąpił, to udawaj, że spisz, ani się rusz. Niech się kładzie przy tobie lub na ziemi. Jeżeli mej rady nie usłuchasz, to głodny i na gołej podłodze jak pies będziesz nocował!

Wykonałem jak najściślej udzieloną mi naukę i gdy sztab wracał od obiadu, ja wyciągnięty w kącie sofy, z obdartym nieco, adamaszkowym dywanem pod głową, spoczywałem w najlepsze, choć słyszałem z niejednych ust narzekanie z powodu, iż przyjezdni oficerowie zabierają domowym miejsce przy obiedzie i do snu. Nie ruszałem się wcale, aż w końcu jeden z później przybyłych, przysuwa się do mnie od zachodniej strony i ułożywszy głowę na mnie zasypia w najlepsze, prosząc bym go nie budził. Dzięki radom mego mentora Flahauta, przespałem się spokojnie prawie do północy. W tem między godziną jedenastą a północą, słyszę wołanie raz i drugi: — Gdzie jest adjutant marszałka Davousta? Zrywam się z sofy, aż tu oficer ordynansowy raportuje: Cesarz chce pana widzieć — i wiedzie mnie aż do drzwi sypialni cesarskiej.

Wpoprzek drzwi na rozciągniętym materacu zastałem leżącego generała-adjutanta Rappa. Temu się zatem melduję, a on mi powiada:

— Ależ pan nie jesteś pułkownikiem Christophem.

— Nie.

— Cesarz chce mówić z pułkownikiem....

— Nie ma go.

— A gdzie jest?

— Pojechał do Wiednia.

— Poco?

— Miał depesze do generała Frianda, a ja tu w jego miejsce pozostałem..

— To trzeba jechać po niego! — prawi Rapp.

— Jechać nie mogę — rzekłem — gdyż o tej godzinie nie dostanę koni. Piechotą pójdę natychmiast, lecz zanim znajdę do Wiednia i zanim Christoph dostanie się tutaj, to zejdzie kilka godzin, a tymczasem może się cesarz zniescierplivi, gdy nikogo nie zobaczy z naszego sztabu...

— Masz rację, — zauważył Rapp i otwierając drzwi do sypialni, zapowiada pełnym głosem:

— Adjutant marszałka Davousta!

Wszedłszy dość śmiało, zastałem cesarza nad mapą, rozłożoną na dużym, okrągłym stole, oświetlonym kilkoma woskowymi świecami. Obok cesarza tak z jednej jak z drugiej strony leżały dwie poduszki, w których widniały wetknięte szpilki zwyczajne z białymi i z kolorowymi karteczkami u łepków. Po lewej stronie zoczyłem stos depesz, które cesarz z uwagą odczytywał, znacząc od czasu do czasu szpilkami odpowiednie miejsca na mapie. Ubrany był Napoleon w biały, pikowy surdut letni, zaś na głowie miał czepek, związany dość cienką wstążką, zieloną czy też niebieską, bo tego przy świetle nie mogłem rozpoznać. Cesarz nie uważał, czy też nie dosłyszał, co mu Rapp o adjutancie marszałka Davousta meldował, gdyż nie przerywał swego zajęcia, ja zaś stanąwszy na cztery lub pięć kroków przed stołem, anim się ruszył, przygotowując sobie w myśli odpowiedzi, gdy mnie o to, lub o owo w sprawie naszego korpusu zapyta. Tak upłynęło jakich dwadzieścia minut, w ciągu którego to czasu stałem jak wryty, nie śmiąc nietylko odkaslnąć lub chrząknąć, ale nawet silniej odetchnąć. Aż tu cesarz podnosi

głowę i widzi o kilka kroków przed sobą postać, do której widoku nie był przywykł. Silnie więc popchnie ku mnie stół, którego nogi zaopatrzone były w kółka i krzyknie gwałtownie:

— Ktoś ty?

Obstąpił. Zapomniałem najzupełniej o przygotowanej dokładnie odpowiedzi, zapomniałem kto jestem i jak się zowie, osłupiałem. Usta mi kompletnie zamurowało. Tymczasem cesarz widząc, że mnie zdekoncertował, uśmiechnął się, zbliżył się do mnie i położywszy rękę na mem ramieniu mówi:

— No przyjdź do siebie i powiedz kto jesteś?..

To pytanie, wyrzeczone łagodnym głosem, rozwiązało mi w końcu usta. Powiedziałem, że jestem ze sztabu trzeciego korpusu.

— Ależ ty nie jesteś Christophe...

— Nie.

— A gdzie jest Christophe?

— Pojechał do Wiednia z depeszami dla generała Frianda.

— Tak, tak — rzecze cesarz — tam zostawiliście jedną dywizję waszego korpusu — i spostrzegłszy w tej chwili na mej piersi krzyż polski, bierze go w rękę i pyta:

— Tyś nie Francuz?

— Nie.

— Toś Polak?

— Tak jest najjaśniejszy panie.

— Jesteście walecznym narodem — rzekł cesarz — czy też należysz do narodu walecznego...

Skłoniłem głowę na te słowa, poczem cesarz zawiadomił mnie o czem jeszcze nie wiedziałem: o bitwie pod Raszynem, o kapitulacyi Warszawy, o konwencyi zawartej z arcyksięciem Ferdynandem, przyczem dodał z naciskiem:

— Oddanie Warszawy Austryakom nic nie znaczy, bo niedługo wrócą tam Polacy...

Potem wypytywał mnie o szczegóły nocnego ataku Austryaków na małą wysepkę na Dunaju przez nas obsa-

czoną. W końcu kazał mi zawołać szefa sztabu jeneralnego, Berthiera, ostrzegając, iż wkrótce mnie wyprawi z powrotem do marszałka. Jakoż w parę godzin później, gdy już dzień zaczynało, odebrałem depeszę i znalazłszy na szczęście fiakra odjechałem do Wiednia, z kąd inny kolega, bawiący już od dwóch dni w mieście, odwiózł je do głównej naszej kwatery. A tak, choć służba na tem nie cierpiała, bo zawsze z Schönbrunu trzeba było zbroczyć do Wiednia po konie pocztowe, wynaleźliśmy sobie sposób przyjemnego spędzania czasu. Wogóle, podczas całej tej kampanii, gdy żadnego nie doznaliśmy braku a kręcąc się najwięcej dokoła Wiednia, we wszystkie dogodności życia dobrze byliśmy uprowidowani.

Przez całe dni czterdzieści czynił Napoleon przygotowania do przejścia Dunaju, której to przeprawy, jak się później okazało, arcyksiążę Karol, więcej pozornie jak realnie zdawał się bronić, chcąc wydać cesarzowi walną bitwę w okolicy Wagramu i sforsować jego lewe skrzydło. Równocześnie zalecił arcyksiążę Karol arcyksięciu Janowi, by w razie odcięcia Francuzów od Dunaju, uderzył z swym korpusem, stojącym w Preszburgu, na nasze prawe skrzydło z tyłu, co gdyby zostało zręcznie uskutecznione, to Bóg wie, coby było się z nami działo. W czasie owych czterdziestu dni staliśmy ciągle w okolicy Preszburga, gdy cała armia rozciągnęła się wzdłuż prawego brzegu Dunaju, aż ku Lobau. Prócz korpusu księcia Ponte-Corvo, w którym Sasami komenderował generał Regnier, chciał jeszcze Napoleon sprowadzić pod Wiedeń z Włoch korpus wicekróla Eugeniusza. Posyłani wszakże do niego oficerowie, nie mogli się dostać na miejsce przeznaczenia, gdyż chwytaly ich po drodze ruchome kolumny austriackie. Niecierpliwiło to Napoleona, więc kazał Dezyderemu Chłapowskiemu, oficerowi z swego sztabu, aby wybrał na ochotnika kilkudziesięciu szwoleżerów i wiodąc partyzantkę przebił się w jaki sposób do Włoch, celem wręczenia wicekrólowi rozkazu wymarszu pod Wiedeń. Chłapowski, acz nie bez trudności, wykonał dane mu zlecenie. Korpus włoski na czas jeszcze połączył się z główną armią

i przyłożył się znakomicie do wygrania bitwy pod Wagram, owej działowej, mogę powiedzieć, batalii. Nasza bowiem armia liczyła w owej bitwie przeszło pięćset dział, zaś austriacka nieco więcej. Wobec tego z trudnością wierzyć przychodzi, że w bitwach, rozstrzyganych kanonadą, daleko mniej bywa rannych i zabitych, aniżeli w starciach, gdzie ogień karabinowy albo bagnet i pałasz o zwycięztwie stanowią.

W powtarzanych kilkakrotnie wycieczkach do głównej kwatery cesarskiej w Schönbrunie, pamiętam, że raz Berthier dał mi list do wicekróla włoskiego z poleceniem, bym go do rąk własnych księciu doręczył, jako pochodzący od samego cesarza. Adres tego listu zwrócił moją uwagę. Opiewał, jak następuje: *A monsieur mon fils, prince Eugen, viceroi d' Italie*. Przypominam sobie również, iż w czasie tej naszej pozornej bezczynności, Davoust kazał do swego sztabu sprowadzić kilku możliwych obywateli z nadgranicznej szlachty węgierskiej a że ci po francuzku bynajmniej a po niemiecku niewiele co mówić mogli, więc kazał mi z nimi rozmawiać po łacinie, w którym to języku, szczególnie w rozmowie, niewiele posiadałem łatwości. Szło wówczas o to, aby zachęcić Węgrów do powstania przeciw Austryakom, w czym Francuzi mieli im pomagać, (a pewno niekoniecznie skuteczniej — pomyślałem sobie — jak poprzednio i później dopomagali nam Polakom). Węgrzy, z którymi wtedy mówiłem, tłumacząc im myśli marszałka, ciągle mi odpowiadali: Nasz komitat jest nadto mały, aby mógł rozpocząć sam powstanie. Idźcie wgłąb Węgier, ponownie tam wasze propozycje i odezwy a tam z pewnością dużo szlachty, poświęcając się sprawie węgierskiej, będzie wam nieść pomoc skuteczną... Na tem też bez żadnego rezultatu zakończyła się negocjacja węgierska i już jej dalej, o ile mi się zdaje, nie tentowano.

Nadszedł wreszcie czas, w którym Napoleon postanowił przejść Dunaj i wydać na lewym brzegu tej rzeki stanowczą Austryakom batalię. Między innymi otrzymał też Davoust rozkaz, by zostawiwszy jedną brygadę piechoty celem obserwacji Preszburga, z resztą swego korpusu pomaszerował ku

Lobau. Gdyśmy w wilię przeprawy stanęli nad Dunajem i zobaczyli na lewym brzegu znaczną liczbę dział nieprzyjacielskich, naprzeciw których czoło w czoło stanęliśmy, tośmy między sobą pytali, kto z nas jutra doczeka i na pół żartem, pół seryo żegnaliśmy jeden drugiego. A przecież teje samej nocy przechodząc po moście, ostrzeliwanym ogniem kartaczowym, mniej doznaliśmy straty, osobliwie w zabitych, aniżeli się spodziewano. Od chwili dostania się za Dunaj, w miarę ustępowania armii austriackiej, posuwaliśmy się za nią powoli, ciągle ucierając się z nieprzyjacielem aż do miejsca, w którym Austriacy usadowili się na mocnej w okolicy Wagramu, dość górzystej pozycji. O ile pamiętam, to nazajutrz po przejściu Dunaju, to jest przez cały dzień piąty lipca, manewrowano, ucierano się, ale nic stanowczego nie zaszło między obiema stronami walczącemi. W czasie batalii pod Wagram, w dniu szóstym lipca stoczonej, w której działały już i armia włoska oraz korpusy księcia Ponte-Corvo i Regniera, korpus trzeci wraz z dywizją jazdy generała Montbruna, dzielnego kawalerzysty, zajmował prawe skrzydło. Arcyksiążę Karol po krótkim z naszej strony ataku na całą linię, zszedł z swej warownej pozycji i całą siłą parł nasze lewe skrzydło ku mostom, rzuconym na Dunaju. Napoleon ciągle trzymał się centrum tudzież lewego skrzydła, gdzie atak nieprzyjaciół był silniejszy. Tymczasem mój marszałek widząc, iż centrum całej armii wraz z lewym skrzydłem, acz w porządku, ustępują, polecił mi zawiezenie rozkazu generałowi Montbrunowi, by starał się swą dywizją oskrzydlić Austriaków, a równocześnie kazał mi w przejeździe koło pieszych dywizji generałów Gudina i Moranda, oświadczyć im, iż jest wolą jego, aby jak najsilniej poparli manewr jazdy. Dopełniwszy z wszelką akuratnością zlecenia, przybyłem do Montbruna w chwili, gdy nie było przy nim żadnego z jego adjutantów, a ten mi powiada:

— Marszałek nie wie zapewne, bo mój adjutant jeszcze nie dojechał do niego z raportem, iż dywizya moja strasznie została przerzedzona od ognia dział austriackich, naprzeciw

których stoimy, ale skoro tak każe, więc idź, proszę, na moje prawe skrzydło do generała Jeacquina... i powiedz mu, aby natychmiast szarżował z całą swoją brygadą na tych, co przed nim stoją.

Przybywam do generała i przynoszę mu rozkaz szarżowania, lecz słyszę to samo, co mi Montbrun przed chwilą powiedział:

— Od rana dużo bardzo ludzi i koni straciłem skutkiem ognia działowego, a więc za skutek ataku nie ręczę — rzekł Jeacquinet i zaraz dał rozkaz do szarży, którą właśnie i Austriacy ze swej strony zaczynali. Dzień był suchy i każdy ruch jazdy wywoływał tumany kurzu. Wracając przeto w cwał do Montbruna, widzę, obejrawszy się raz i drugi, że kurz miasto oddalać się od miejsca, w którym się szarża zaczynała, coraz bardziej zbliżał się ku nam. Przybywszy więc do Montbruna, mówię mu:

— Widzisz jenerale, co się dzieje...

Ten mi w pasy odpowiedział:

— O tak, widzę tych tchórzów! — i ze złości zaczął targać za uszy swego spokojnego wierzchowca. Widzieliśmy z kierunku kurzu, że nasza jazda ustępuje, lecz nie mogliśmy rozpoznać, że równocześnie i kawalerya nieprzyjacielska ma się ku rejteradzie, co się często przy szarży jazdy na jazdę zdarza. Dlatego mówi do mnie Montbrun:

— Jedź do pułku kawaleryi, który widzisz przedemną i powiedz komendantowi jedenastego pułku strzelców, by bądź co bądź, atakował stojącą naprzeciw niego jazdę austriacką!

Zawiozłem rozkaz strzelcom, aż tu pułkownik powtarza mi słowo w słowo to samo, co poprzednio generał Jeacquinet i proponuje mi udział w tej szarży a na moją uwagę, że konia mam bardzo zmęczonego, dodaje z ironią:

— Ach tak, pański koń bardzo zmęczony...

Dotknięty tą uwagą, rzekłem pułkownikowi:

— Atakuj tylko pułkownika, a ujrzysz mnie koło siebie!

Szarżowaliśmy na pułk dragonów Orellego, któremu przewodził pułkownik Sardagna. Ten widząc nas szarżujących, natychmiast ze swej strony szarżę zakomenderował. I tu pierwszy raz w życiu nietylko widziałem, ale i brałem udział w starciu dwóch oddziałów kawaleryi, a w którą bądź stronę obejrzałem się, wszędzie widziałem białe mundury a potem gromadki kawalerzystów, rąbiących się pałaszami. Francuzi brali górę nad przeciwnikiem, więc zbliżywszy się do jednej z gromad walczących, dostrzegłem broniącego się jeszcze, starszego oficera austriackiego, siedzącego na koniu szeregowca. Dopadłszy go, wołał, by się poddał, a gdy to uczynił, szaser francuski zaczął obdzierać jeńca którym był pułkownik Sardagna. Stracił on podczas bitwy wszystkie swoje konie wierzchowe i dlatego przesiadł się na pierwszego lepszego konia, wziętego z szeregu. Pułkownik, zoczywszy mnie, uderzył w prośby:

— Panie oficerze, nie daj mnie obdzierać. Oto mi zabrano i pulares z bankocetlami i sakiewkę. Ale mniejsza o to wszystko, byle mi został zegarek, rodzinna pamiątka, z którą nie radbym się rozstawać.

Targować się zacząłem z szaserem, który jął wywozić swe prawa do zdobyczy, ale go przekonałem dowodząc, że pułkownik jest wspólnym naszym jeńcem, oraz obietnicą, iż go podam do krzyża legii honorowej. Wtedy dopiero udobruchał się szaser i zostawił jeńcowi zegarek. Widząc dragonów zupełnie rozbitych, odprowadziłem pułkownika do generała Montbruna, któremu przedstawivszy jeńca, poleciłem do nagrody owego szasera. Montbrun zadawszy pułkownikowi kilka pytań, kazał go odstawić do marszałka i na pożegnanie dodał:

— Powiedz pan marszałkowi, że byłem z ciebie bardzo zadowolony...

Na co odpowiedziałem:

— Przy sposobności niech mu generał sam o tem powie, bo ja mu tego nie powtórzę.

Montbrun przy pierwszym widzeniu się z Davoustem nie omieszkął też pochlebnie wyrazić się o mnie.

Manewr oskrzydlenia i pobicia lewego skrzydła Austryaków prze Davousta, zmusił arcyksięcia Karola do cofnięcia jego zwycięzkiego skrzydła prawego, w obawie, byśmy na niego nie uderzyli z tyłu i nie odcięli mu drogi do Berna. W taki więc sposób, co śmiało powiedzieć można, marszałek Davoust najbardziej przyłożył się do wygrania bitwy pod Wagram.

Mój Boże! Jak też to niespodzianie wypadają czasem zdarzenia i jak często sprawdza się nasze staropolskie przysłowie: Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze. Bo czyż mogłem się spodziewać, żeniąc się w ośm lat później, że znajdę pułkownika Sardagnę komendantem placu we Lwowie i to nie ja jego, lecz on mnie sobie przypomniał. Pokazywał mi ów uratowany zegarek i przedstawivszy mnie komendantowi dywizji, generałowi Frimont, opowiedział mu historię naszego poznania się. Z tego też powodu zarówno Frimont jak Sardagna nietylko byli nader grzecznymi dla mnie, ale wyprawiali na mą cześć obiady, przy których pito me zdrowie. Lecz wracam do Wagram...

Gdym przyprowadził jeńca do mego marszałka i zdałem mu raport z obejścia lewego skrzydła Austryaków, ustępującego z pola bitwy, Davoust zadał kilka pytań pułkownikowi i kazał go zaprowadzić do cesarza. Jadąc tam, mijałem korpus wicekróla Eugeniusza. Książę widząc, że prowadzę oficera austriackiego, przywołał nas do siebie i po krótkiej rozmowie wskazał mi ręką, w której stronie szukać mam cesarza. Cesarz po kilku pytaniach, zadanych tak mnie, jakoteż pułkownikowi, kazał go oddać tam, gdzie już byli inni jeńcy, poczem na zmęczonej i wygłodniałej szkapinie, głodny i znużony, dopędziłem nareszcie marszałka o dobrą milę od miejsca, w którym cesarza opuściłem.

Nazajutrz po bitwie przybył do głównej kwatery cesarskiej książę Jan Liechtenstein układać się o zawieszenie broni

i o pokój. A że tam bawił w tę samą porę i mój marszałek, przeto widziałem jak puszczano księcia do namiotu cesarskiego, przyjmawszy go z wielkimi honorami wojskowymi jako pełnomocnika cesarza Franciszka I. Miałem także przyjemność widzieć tamże wychodzącego z namiotu cesarskiego generała Macdonalda, który uściskawszy Davousta, zawołał do niego radośnie:

— Oto odzyskałem łaskę cesarza, który mnie zamianował także marszałkiem...

Po bitwie pod Wagram, otrzymawszy krzyż kawalerski legii honorowej i widząc koniec kampanii, prosiłem mego marszałka, przy którym już blisko półczwarta roku pozostałem, aby mi pozwolił wrócić do Polski. Otrzymałszy tego zezwolenie, wracałem na Berno i Ołomuńiec do Krakowa, gdzie znalazłem armię polską, dowodzoną naczelnie przez księcia Józefa Poniatowskiego. A że w Ołomuńcu byłem pierwszym oficerem, którego zoczono w francuskim mundurze, insultowało mnie tamtejsze pospólstwo i gdyby nie osłona straży wojskowej, to Bóg wie, co by się tam ze mną stało. Widoczna była nademną opieka Matki Przenajświętszej, w której wówczas i potem najszczerszą pokładałem ufność w każdym, ważniejszym życia mego zdarzeniu.

W ciągu tej kampanii Napoleon w dniu siedemnastym maja 1809 r. wydał dekret pozbawiający papieża władzy świeckiej, skutkiem czego Pius VII. w dniu dziesiątym czerwca t. r. rzucił na niego ekskomunikę. Prałat Dastros, jeneralny wikary archidyecezyi paryskiej, zdobył się na tyle odwagi, iż ekskomunikę z ambony w Paryżu ogłosił a oraz arcybiskupowi paryskiemu, Maury'emu, doręczył brewe papieskie z dnia piątego listopada t. r., którym to aktem Ojciec Święty nakazał arcybiskupowi złożyć rządy dyecezyi. Dastros przypłacił ten czyn uwięzieniem w Vincennes. Niedosć wszakże na tem, Napoleon, udając, iż nic sobie z klątwy nie robi, żartował z ekskomuniki i gotując się na wyprawę rosyjską, miał się podobno wyrazić w te słowa:

— Zobaczymy, czy exkomunika rzymska potrafi wytrącić karabiny z rąk moich grenadyerów...

A jednak dokuczliwe mrozy wytrąciły niebawem broń wielkiej armii wśród stepów rosyjskich a sam cesarz, stojący u szczytu sławy i potęgi, wiadomo, jak skończył! Przybywszy do Warszawy, byłem świadkiem powrotu znacznej części armii polskiej z Krakowa i z Galicyi. Entuzjazm był wielki, patryotyczny i ci sami ludzie, którzy przedtem krzywdzące charakter księcia Józefa wieści rozpuszczali, stali się jego wielbicielami. I trudno było zaprzeczyć, że armia polska w roku dziewiątym pod jego dowództwem w kraju została, liczyła tyle prawie a może i więcej niewolnika austriackiego w swej mocy, ile sama na początku wojny posiadała szeregowców.

W rezultacie tej pomyślnej dla Francuzów kampanii, Napoleon, acz jeszcze z Józefiną nierozwiedziony, wymógł był na cesarzu Franciszku I, że mu córkę swą, Maryę Luizę dał za żonę. W kilka miesięcy później, w roku 1810, Marya Luiza przybyła jako małżonka cesarza do Paryża, gdzie wszyscy dworacy poczęli bakę świecić księciu Schwarzenbergowi, ambasadorowi austriackiemu, podobnie jak w roku poprzednim, podczas negocyacji Napoleona o rękę siostry cara Aleksandra, wszystko, co żyło, zabiegało o względy ambasadora rosyjskiego, Kurakina. Zarówno Kurakin jak Schwarzenberg nieradzi byli jeden drugiemu u dworu ustępować kroku. Bawiąc wówczas za urlopem w Paryżu, byłem przypadkowo naocznym świadkiem pociesznej między nimi sceny. W dolnej sali Tuileryów, w której zbierali się zazwyczaj cudzoziemcy, mający być przedstawieni u dworu, oczekując chwili zawezwania do górnych apartamentów, zauważyłem dnia pewnego Kurakina oraz Schwarzenberga. Rozmawiali z sobą bardzo niewiele, lecz trzymali się obaj bardzo blisko drzwi, a gdy dano znać, że czas już iść na górę, obaj dyplomaci, nie chcąc sobie wzajemnie ustąpić pierwszeństwa, równocześnie rzucili się ku wejściu, a że obaj cieszyli się okazałą tuszą, przeto zaledwie się przez podwoje przepchnęli.

Ta sama scena powtórzyła się na górze, zaś cesarz wyszedłszy z swych apartamentów, pierwiej przemówił do Schwarzenberga jak do Kurakina i dłużej z pierwszym aniżeli z drugim rozmawiał. Działo się to w niedzielę. Ciekawy byłem oglądać Napoleona podczas Mszy Świętej. Wcisnąłem się zatem na galerię i widziałem cesarza, stojącego na trybunie, zamyślonego i zajętego machinalnie czyszczeniem paznokci, gdyż miał rękę ładną i dbał o jej staranne utrzymanie. Kapelani nadworni, przywykli już byli do szybkiego prawienia Mszy, tak, iż po dwudziestu co najwyżej minutach słyszało się: *Ite missa est*.

Była to świetna dla Paryża chwila, ów maryaż Napoleona z Maryą Luizą. Jenerał Flahaut, wysłany przez cesarza do Wiednia, aby towarzyszył przyszłej jego małżonce w podróży do Francyi, otrzymał zlecenie nieszczędenia niczego, coby tylko cesarzowej drogę uprzyjemnić mogło. Poczyniwszy wszelkie do podróży przygotowania, wszedł był Flahaut na parę dni przed wyjazdem do skromnych apartamentów arcyksiężniczki, którą zastał płaczącą. Jenerał starał się pocieszyć przyszłą władczynię, malując jej ponętnemi barwy przyjemności, jakich zazna w Paryżu, na co usłyszał z ust jej odpowiedź, iż przykrości rozstania nic jej osłodzić nie jest w stanie, przyczem zwróciła Marya Luiza uwagę cesarskiego wysłannika na gabinet, w którym rozmawiali, wybity białym, fałdowanym atłasem. Pokój ten — jak twierdziła — przypominał jej najpiękniejsze chwile młodości.. Flahaut nic nie odpowiedział, jeno zawezwawszy tapicera kazał mu na gwałt sporządzić trzy przenośne obicia z białego, fałdowanego atłasu i gdziekolwiek podczas podróży zatrzymano się, czyto na obiad, czy na nocleg, wszędzie małżonka Napoleona znajdowała swój ulubiony gabinet. Na granicy francuskiej pożegnały ją osoby, należące do dworu austriackiego, gdyż od tej chwili otoczył ją orszak francuski. Pożegnanie z ziomkami rozczuliło cesarzową do łez, a zarazem spowodowało kilkogodzinne opóźnienie jej przyjazdu do Compiègne, gdzie już czekał Napoleon. Znicierpliwiony ową zwłoką, wyje-

chał cesarz do pierwszej za Compiègne stacyi pocztowej i wysiadłszy wieczorem w domu mera, spostrzegł w przeciwległym oknie sporządzony przez miejscowego bakałarza transparent, na którym widniał napis:

*»Ma foi Napoleon ne fait point une sottise
D'épouser Marie Louise«.*

Cesarz kazał przywołać do siebie autora napisu, obdarzył go swą tabakierką, (n. b. wcale nie złotą) i powiedział *ex abrupto* rymem:

*Tiens, prends cette tabatière
Et toute fois que tu en prendra une prise
Pensè à Marie Louise.*

Niedoczekawszy się i na tej stacyi przybycia małżonki, wyjechał Napoleon dalej na jej spotkanie. Zdybawszy Maryę Luizę w drodze, przesiadł się do jej pojazdu i razem powrócili do Compiègne. Nazajutrz odbył się wjazd cesarskiej pary do Paryża, gdzie w kościele de Notre Dame odbył się obrządek ślubny.

Wjazd do stolicy był wspaniały. Czoło eskorty tworzyli lansyerzy, czyli szwoleżery gwardyi polskiej pod komendą jenerała Wincentego Krasieńskiego. Pułk ten, podobnie jak cała gwardya, w nowe przybrany mundury, świetnie się przedstawiał. Zwłaszcza lance o biało-czerwonych proporczykach, z którymi szwoleżery po raz pierwszy wystąpili, przedstawiały dla Paryżan nader ciekawe widowisko. Cóż dopiero powiedzieć o innych pułkach gwardyi cesarskiej, których elegancka a zarazem marcyalna postawa mogła być, że tak powiem, wzorem dla innych wojsk europejskich. Za pojazdem cesarskim, wyzłacanym, o kryształowych szybach, szło dwadzieścia cztery karet dworskich, niemniej suto wyzłacanych. Cały orszak posuwał się wśród szpaleru, utworzonego przez gwardyę narodową, oraz przez pułki liniowe, przejeżdżając po pod ogromnym łukiem tryumfalnym, umyślnie w tym celu zbudowanym. Na szczyt owego łuku urządzono wstęp za biletami. Rozciągał się ztamtąd widok prze-

śliczny a gdy na godzinę przed wyjazdem cesarskim zaczął deszcz padać i tłumy oczekujących pootwierały różnokolorowe parasole, to zdawało się nam, patrzącym z góry, iż widzimy w dole krocie tysięcy różnobarwnych, ruchomych baloników.

Ponieważ urlop mój się kończył, musiałem opuścić Paryż i powracać do Warszawy. Jeszcze przed wyjazdem, przypadek dał mi sposobność do przekonania się, jak to niekoniecznie ludzie, ale Bóg sam rozrządza losem człowieka. Byłem wówczas jednym z starszych szefów batalionowych armii polskiej, więc wkrótce mogłem się spodziewać awansu na gros-majora. Wtem odbieram w Paryżu depezę z ministerstwa wojny księstwa warszawskiego, otwieram ją i czytam jakiś rozkaz, dotyczący kogoś innego w Modlinie. Widocznie zaszła pomyłka w ekspedycji papierów, czego zaraz się domyśliłem i otrzymany dokument odesłałem do Warszawy z tą żartobliwą uwagą, że przez Modlin można pisać z Warszawy do Paryża, ale trudno pojąć, dlaczego Warszawa przez Paryż pisze do Modlina... Jeszcze przed wyjaśnieniem pomyłki powróciłem do Warszawy, aż tu mnie szef sztabu Fiszer wita pytaniem:

— A co tu major robi? Wszak równocześnie z awansem, dałem ci rozkaz, abyś prosto z Paryża udał się do swego pułku, stojącego w Hiszpanii. Ja tu majora wcale nie spodziewałem się o tej porze...

Teraz dopiero wyświeciła się omyłka biurowa, dzięki której pozostałem w kraju, miasto walczyć w Hiszpanii, gdzie mój następcą zgon znalazł. Przeznaczono mnie na wakuujący stopień majora w pułku, konsystującym w Gdańsku, zaś szefa batalionu, Jakubowskiego, w pułku stacyonowanym w Hiszpanii, mianowano w moje miejsce majorem. Jakubowski już nie pomnę, czy był zabity, czy też umarł w Hiszpanii, dość, że już do kraju nie wrócił. Tymczasem pułkownik a późniejszy generał Jan Krukowiecki, dowodzący drugim pułkiem piechoty, konsystującym w Warszawie, miał w swym pułku grossmajorem starego legionistę, Kozarskiego, z którym w ciągle żył nieporozumieniu a obydwaj byli łatwi do

pojedyneków. Chcąc załagodzić spór gorszący między dwoma najstarszymi oficerami w pułku, zaproponowano mi, abym za zezwoleniem ministerstwa wojny zamienił się z majorem Kożarskim. Tak więc on w moje miejsce udał się do Gdańska, a ja objąłem stopień gross-majora w drugim pułku piechoty, konsystującym w Warszawie, którego to pułku dowództwo dostało mi się później po Krukowieckim, zamianowanym generałem brygady.

Wkrótce po owej pomyslniej kampanii austriackiej dziewiątego roku, Napoleon, który poprzednio zaprzyjaźnił się z carem Aleksandrem I. w Erfurcie, podsuwał mu pomysł zawojowania wspólnymi siłami Indyi Wschodnich, by w ten sposób pozbawić znenawidzoną Anglię najobfitszego źródła jej zamożności. Car łądził go w tej mierze niewyraźnemi obietnicami i to był, o ile mi się wydaje, jeden z powodów owej wyprawy przeciw Rosyi w roku dwunastym. Mniemał bowiem Napoleon, że czego w dobry sposób na carze wymódz nie potrafił, tego dopnie mieczem. Drugim powodem wojny rosyjskiej była, jak się wydaje, odmowa ręki carskiej siostry, dana w swoim czasie Napoleonowi, zanim jeszcze wywojował Maryę Luizę za żonę. Rękę arcyksiężniczki wawrowały cesarzowi tajne postanowienia traktatu wiedeńskiego, między którymi, jak się z dość pewnego źródła dowiedziałem, istniał też warunek, dotyczący nas biednych, ławowiernych Polaków. Mianowicie przyrzekał Napoleon, iż nigdy mocnego i udzielnego Królestwa Polskiego nie wskrzesi, czego niezawodnie jako wygnaniec na Świętej Helenie odżałować nie mógł.

Aczkolwiek Napoleon na ową pamiętną wyprawę roku dwunastego, prócz licznej armii francuskiej, opatrzonej we wszelkie zapasy wojenne, wyprowadził nietylko wojska niemieckie, ale też i część włoskich, zaraz też od pierwszego wstąpienia do Prus i na polską ziemię owej ogromnej armii napoleońskiej, można było wróżyć niepomyślny wynik kampanii — tak wielkimi okazywały się w niej nieład i dezorganizacja. Osobliwie w szeregach wojska cudzoziemskiego liczyć

można było tylu maroderów, włóczęgów i rabusiów, jak pozostałych pod bronią żołnierzy. Wszelako przyznać należy, że wojsko pozostałe pod sztadarami, biło się mężnie, ale i tych zdemoralizowało do reszty przybycie w pomoc niezwycięzonego generała rosyjskiego, *Frost*, (po polsku mróz), któremu najwytrwalsze nawet umysły i fizyczne konstytucje ulegać były zmuszone. Niedogodność i okropność rejterady całej armii z pod Moskwy jest niestety trudną do opisanie. Wszystkie o niej najprawdziwsze opowiadania, za lat kilkadziesiąt, gdy wymrą naoczni świadkowie, zdawać się będą baśnią. Kto doświadczył okropności, połączonych z przejściem Berezyny, ten sam może się z czasem siebie zapytać, czy to nie był sen, po dziś dzień łudzący zmysły? Trzeba było widzieć rzucony z pospiechem most na Berezynie, której wody wśród kilkunastostopniowego mrozu grubą krą bystro płynęły i to właśnie w owym punkcie, gdzie z jednej strony wzbraniał nam przeprawę korpus Czyczagowa, którego awangardą dowodzący, dzielny generał Czapllic, polak rodem, miotał na nas kartacze a na wzgórzach za nami usadowiona artyleria Kutuzowa rzucała na nas, tuż przy moście skupionych, granaty. Te padały gęsto między nasze działa, kiessony, furgony, pojazdy i bryczki, których może około tysiąca w jedno i to dość szczupłe miejsce skupiło się bez najmniejszego porządku, oczekując chwili, w której uda się je przeprowadzić na drugą stronę Berezyny. Pomiędzy owym taborem nagromadziło się mnóstwo maroderów, służących, kobiet i dzieci, który to tłum rażony pociskami działowymi, duszący się wzajemnie i gnieciony przez pociągi, wydawał straszliwe jęki oraz krzyki, zdolne poruszyć najobojętniejsze serca. Kto więc owej okropnej katastrofy naocznym był świadkiem, ten mógł sobie wspomnieć, jeżeli go umysł religijny nie opuścił, owe przepowiadane przez Jeremiasza plagi śmierci, wojny, głodu i niewoli. Ach kiedyż, kiedyż, jeżeli nie wówczas godziło się nam wspomnieć, że człowiek, najdzielniejszy nawet, sam z siebie niczemu nie podoła i bez Boskiej pomocy niczego nie dopnie, niczego nie dokona!

Takie, acz niezupełnie stanowcze, lecz przecie w sercu mem odczute natchnienie, udanie się myślą i sercem do Boga Wszechmogącego, wzniesienie ducha ku Niemu i ufność w Jego miłosierdzie, wzbudziły w duszy mej niepłoną nadzieję, że ujdę wszelkiego, grożącego mi w on dzień niebezpieczeństwa. Jakoż uczułem w sobie dostateczne siły, tak fizyczne jak moralne, do przemożenia grożących mi przeciwności. Miałem jeszcze z resztek drugiego pułku około czterysta lub pięćset bagnatów w szeregach i mimo najwyższych trudności zdołałem się zbliżyć z moim oddziałem ku mostowi, na którym cesarz usiłował przeprowadzić co najrychlej galopem artyleryę wraz z zapasową amunicją, jakiej już niewiele posiadaliśmy. Równocześnie po drugiej stronie mostu, artylerya rosyjska wraz z piechotą, ukrytą w niezbyt odległym lesie, utrzymywały ciągły ogień przeciwko nam, mimo, że młoda gwardya, wysłana celem asekuracyi mostu, usiłowała nieprzyjaciela wyprzeć z zajmowanych stanowisk. Cesarz zoczywszy mój oddział, kazał nam spieszyć corychlej w pomoc gwardyi. Po trupach przebiegliśmy szybko most i rozciągnęliśmy się w tyraliery w owym lesie. Nieprzyjaciel uczyniwszy to samo, począł pozornie ustępować a lubo palba z naszej strony nie szła gęsto, zobaczyłem wielu żołdatów padających, gdyby ranni lub zabici. Zaraz też zawołałem na swoich, by przebiegając koło leżących, albo im broń łamali, albo też kłuli bagnetem. I w rzeczy samej mój instynkt był trafny, gdyż uszedłszy z ćwierć mili w głąb lasu, silnie zwrócili się na nas Moskale a wówczas i owi niby zabici lub ranni, zaczęli strzelać do nas cofających się, tak, że nagle znaleźliśmy się między dwoma ogniami. Był pamiętam wówczas, kapitanem w moim pułku Ludwik Bogusławski, śmiały oficer i tegi strzelec, który w kampanii trzydziestego pierwszego roku, na czele czwartaków taką okrył się chwałą. Bogusławski, jako celny strzelec, w każdej bitwie brał z sobą karabin. Gdy więc wstecz parci, uchodzimy obok siebie, odwróciwszy się, spostrzegam o kilkanaście już tylko kroków pędzących dwóch drabów ogromnych, moskiewskich grena-

dyerów. Nie miałem już więcej czasu jak krzyknąć na Bogusławskiego:

— Patrz! Oto tuż są!...

On w tej chwili dał ognia. Jednego z napastników ubił, czy też ranił w szyję, tak, iż grenadyer zwałił się z nóg a tymczasem nadbiegła młoda gwardya, która nas uwolniła od dalszego pościgu. W tym to lesie, gdyśmy się za Moskalami uganiali, nadciągnęły większa część armii francuskiej i reszta polskiego wojska. W tym to samym lesie generał Zajączek miał od kuli armatniej zgruchotaną nogę, którą chirurg Larcey musiał mu na miejscu odciąć. Tymczasem rejterująca, wielka armia, mając ciągle Rosyan na karku, posuwała się wolno ku Wilnu wśród zimna, gołoledzi i głodu. Nieład panował straszliwy w francuskich szeregach. I tak naprzykład, nie daleko od Wilna ustały konie przy furgonie cesarskim, wyładowanym baryłkami ze złotem. Zarówno komendant eskorty, jakoteż naczelnny płatnik zdecydowali, iż lepiej porozbijać baryłki z napoleonami i porozbierać, ile kto unieść potrafi, aniżeli oddać wszystko następującemu już blisko nieprzyjacielowi. Zaraz też odbito dna w kilku baryłkach i eskorta zaczęła wyładować złotem kieszenie, gdy w tem wpadają kozacy a łapczywsi na pieniądź jak na niewolnika, razem z Francuzami zabierają napoleony z baryłek, ładując je w swe bezdenne szarawary. Tak więc rzadkim, a pociesznym zarazem musiał być widok grenadyera francuskiego, wypróżniającego do spółki z kozuniem furgon skarbowy....

Gdym z garstką pozostałych żołnierzy znalazł się w Wilnie, w podobnym kłopotcie zastałem jeneralnego płatnika armii polskiej, Węgierskiego, który również z powodu braku kutyh koni, nie wiedział, co począć z kasą wojenną i zawiadomiony o moim przechodzie przez miasto z resztkami drugiego pułku, zawezwał mnie, bym dla oficerów, podoficerów oraz dla szeregowców tyle wziął pieniędzy, ile mi się podoba, byle mu dać rewers. Wyjąwszy wszakże szeregowców i podoficerów, mało kto z oficerów podał się do wzięcia

więcej jak dwumiesięcznej płacy, co też i ja, o ile sobie przypominam, uczyniłem. Co się stało z resztą pieniędzy, pozostałych w owej kasie — tego nie wiem. Dość, że ówczesny nieład naszej rejterady rozliczne mógł podobnych wypadków dać przykłady. W wilię przejścia przez Berezynę, czy też na parę dni przedtem, dywizya Dąbrowskiego, w której dowodziłem pułkiem a raczej kolumną ruchomą, złożoną z ludzi Bóg wie jakiego narodu, do różnych pułków wojska sprzymierzonego należących, stoczyła była bitwę z silniejszą od naszej dywizyi armią Czyczagowa pod Borysowem*) Był tam most, na który ustępująca armia francuska liczyła. Biliśmy się, ile sił starczyło, aby bronić owego mostu i zachować go w naszym posiadaniu, ale nie udało się nam i po kilkunastogodzinnej walce musieliśmy ulec przemocy i opuścić most borysowski, tak gwałtownie nam potrzebny. Cofaliśmy się ku głównej armii, a tymczasem pułkownik Sierawski, dowódzca pułku, zdaje mi się, szóstego, został od nas odcięty. Znajdując się z drugiej strony Borysowa a nie wiedząc, co ze sobą począć, maszerował samym brzegiem Berezyny, lekko tylko przez Rosyan ścigany, którzy sądzili, że im ta garstka nie ujdzie. Wieczorem przyszedłszy do jakiejś wioski, tuż nad Berezyną położonej i widząc, iż mróz się ciągle wzmaga, spędził Sierawski włością miejscowych nad rzekę i kazał im słomę wszystką, jaką we wsi znalazł, rzucić na krę. Gdy w ten sposób rzeka się zatkała, przeprawił się po owej sztucznej grobli z całym pułkiem na brzeg przeciwny, nie bez straty kilkudziesięciu ludzi, którzy znaleźli śmierć pod lodem. Sierawski złączył się szczęśliwie z nami, lecz radość z powodu ujrzenia go wraz z ocalonym oddziałem zachmurzała nam myśl, iż przybyli zwiększają jeszcze trudność oczekującej nas przez Berezynę przeprawy, zaś nagła odwilż nie pozwalała na powtórzenie użytego przez pułkownika fortelu.

*) Dąbrowski bił się z Czyczagowem pod Borysowem w dniach 21. i 23. listopada. (P. W.)

Po klęsce pod Borysowem i oddaniu w ręce nieprzyjaciela tamtejszego mostu, Czaplic wyprawił był za nami jazdę, która nas żywo ścigała. Tyle znany z odwagi generał Dąbrowski znajdował się w aryergardzie i mnie przy sobie zatrzymał. Sam też był ranny w rękę*), więc gdyśmy bardzo naporci zostali, zaczęliśmy cwałem zmykać a w tej pogoni rzecze mi Dąbrowski:

— Wiesz, tyle lat wojnę robię, tyle bitew odbyłem a przecież nigdy nie zdarzyło mi się tak jak teraz uciekać!

W tem pułkownik Kossecki, stojący w pobliżu z swymi szaserami, spostrzegł grożące nam niebezpieczeństwo, przypuścił szarżę na ścigających i pogoń odparł. Gdyśmy już dostali się do rejterującej w dość dobrym porządku naszej dywizyi, Dąbrowski polecił mi udać się naprzeciw głównej armii idącej od strony Szkłowa i donieść cesarzowi o stracie borysławskiego mostu. Puściłem się więc w drogę z owym wcale niepokieszającym raportem. Pierwszy korpus, który spotkałem, był marszałka Oudinota. Zbliżyłem się do marszałka i zdaję mu sprawę z mej misyi. Ten chwycił się rękami za głowę i zawołał:

— Jakto? Jedyne most, na który cesarz rachował, jest już w ręku Rosyan! Wiesz pan co? — dorzucił w dalszym ciągu — ten wasz generał Dąbrowski zasłużył na rozstrzelanie, tak jest, na rozstrzelanie!

Markotno mi się zrobiło, ale cóż miałem powiedzieć. Zauważyłem więc tylko, że trzykroć liczniejszy nieprzyjaciel dopiero po kilkunastogodzinnej walce zmusił nas do ustąpienia z pozycji, na co usłyszałem z ust marszałka:

— Należało się wam raczej dać wybić co do nogi i paść na moście, aniżeli oddać go nieprzyjacielowi!..

Oudinot zawołał następnie jednego z swych adjutantów i wysłał z raportem do cesarza, ja zaś powróciłem do Dą-

*) Dąbrowski odniósł ranę w rękę dopiero w dniu 27 listopada, dodając naczelnie całym piątym korpusem. (P. W.)

browskiego, któremu nie w smak poszły słowa marszałka: »zasłużył na rozstrzelanie...«

Opisawszy, o ile mogłem, szczegółowo przejście Berezyny, powiem jeszcze słów kilka o Wilnie, z kąd Napoleon, o ile sobie przypominam, wyjechał w powozie, osadzonym na saniach, w towarzystwie Berthiera i pułkownika Wąsowicza. Na drzwiczkach karety cesarskiej widniały litery: *S. A.* a że Francuzi zawsze pochopni do conceptów, nawet w nieszczęściu, przeto tłómaczyli znaczenie owych liter w sensie: *sans adieu...* W istocie, było to nietylko pożegnanie Rosyi, lecz zarazem pożegnanie przewagi napoleońskiej w Europie. Znałem ja wysokiej rangi oficerów francuzkich i wyznaję, iż podzielałem ich zdanie, że Napoleon kampanię dwunastego roku odbywał już nie z taką gorliwością, wytrwaniem i geniuszem, jakimi odznaczał się we Włoszech generał Bonaparte. Postępował w Rosyi tak, jak zwykli postępować monarchowie, dowodzący osobiście armią. Sam późniejszy król szwedzki Bernadotte, dał wyraz zdziwienia wobec jednego z mych oficerów, kapitana Karola Zielińskiego, pojmanego w niewolę pod Lipskiem, co się z owym sławnym we Włoszech zrobiło Napoleonem. — Dawniej — mówił on — generał Bonaparte przewidywał wszystko, czego żaden z nas, jego podwładnych nie dostrzegał, a dziś nie widzi tego, na co wszyscy patrzymy.

Po przejściu Berezyny, tak wielka liczba naszych generałów a nawet pułkowników była rannych lub zupełnie chorych, iż przez dni kilka, acz tylko byłem grosmajorem, który to stopień był pośredni między szefem batalionu a pułkownikiem, liczyłem się w całej dywizji generała Izydora Krasińskiego najstarszym w randze oficerem. Z Wilna na Olitę wymaszerowałem ku Warszawie, wraz z powierzonymi mi sztandarami wszystkich naszych pułków pieszych oraz z działami, tudzież z kiesonami całej armii polskiej. Mógłby to poświadczyć czcigodny generał a wówczas jeszcze pułkownik, Kazimierz Małachowski, o czem częstokroć za życia wspominał, jak pod Olitą własnymi rękoma z oficerami,

przy pomocy żołnierzy wyciągaliśmy zagrzęźle w błocie działa. I tak, udało się nam mimo straszliwego zmęczenia dostawić w całości powierzone nam sztandary oraz armaty na miejsce przeznaczenia. Ale też wyznać winienem, że traktem, którym szliśmy, nie ścigano nas wcale, tylko gdzieniegdzie pojawiały się niewielkie oddziały kozaków.

Gdym się dostał w Augustowskie, tak okropnej dostałem dyaryi, iż musiałem zjechać z traktu do Kierszny, niedaleko Sejna, do znajomego Hektora Karęgi, aby tam choć parę dni wypocząć. Pocziwy przyjaciel, we wszystkich okolicznych wioskach ustanowił konne kresy, aby mnie wcześniej ostrzegły na wypadek ukazania się jakiego oddziału rosyjskiego. Jakoż drugiego czy trzeciego dnia, wpadł z pobliskiej wsi posłaniec z doniesieniem, iż kilkudziesięciu kozaków krąży w tamtej stronie. W tej chwili przeto przyprowadzono mi saneczki, czy też jakiś wózek chłopski, zaprzężony w parę żmudzkich koników i przebrany po cywilnemu dogoniłem szczęśliwie mój oddział. Po kilkodniowym marszu, w ciągu którego ani umyć się, ani ogarnąć nie było czasu, dostałem się wreszcie do Warszawy, ale tak zdefigurowany i brudny, iż służba brata mego, Michała, którą tak dobrze znałem, nie poznawszy mnie, nie chciała puścić do domu. W Warszawie zaledwo że zdążyłem przywitać brata i matkę, która widząc mnie zupełnie obdartego i bez najmniejszych resursów, bo cały mój ekwipaż z ludźmi i z końmi wierzchowymi przepadł podczas przeprawy przez Berezynę, dała mi paręset dukatów na ponowne oporządzenie. Ale zaledwo to i owo kupiłem, odbieram rozkaz, abym natychmiast ruszał do Wyszogrodu, czy też do Zakroczymia, gdzie był zakład drugiego pułku. Miałem go uporządkować na przędcę i sprowadzić do Warszawy, a że wypadało mi jechać na Modlin, którego komendantem był mój przyjaciel Hilary Krasieński, więc postanowiłem zanocować u niego. Nie zastawszy Krasieńskiego w domu, położyłem się w jego kwaterze na kanapie, włożywszy sakiewkę z stu kilkudziesięcioma dukatami pod poduszkę. Mając równo z dniem wyjechać, zrywam się,

zapomniawszy o sakiewce i dopiero po przybyciu do zakładu spostrzegłem mą stratę. Pomyślałem w pierwszej chwili, że nazajutrz wracając tą samą drogą na Modlin, odbiorę moje pieniądze. Tymczasem służba wymagała trzydniowego w zakładzie pobytu, a czwartego dnia, zajechawszy do Modlina znów Hilarego nie zastałem w domu i nie mogąc się dopytać o sakiewkę, straciłem ją na zawsze.

Wracającego z Wilna Napoleona, witali w Warszawie wszyscy członkowie rządu Księstwa. Pierwszemi słowy, jakimi cesarz przywitał przychodzących do domu Gąsiorowskiego przy ulicy Wierzbowej, były wyrazy:

— Panowie! Śmieszność graniczy z wielkością! Wielkie mrozy były przyczyną zdezorganizowania mojej armii i t. d.

Nie zabawiwszy jak godzin kilka, czy kilkanaście w Warszawie, puścił się Napoleon w dalszą drogę na Drezno do Francji. Do Drezna przybył wcale niespodziewany w nocy i zaraz dał o sobie wiedzieć królowi, Fryderykowi Augustowi. Ponieważ to już było po północy, naradzano się długo na dworze, jak zbudzić sędziwego króla, do którego sypialni nikt nocą nie wchodził. Obudzić wszakże śpiącego było rzeczą konieczną, gdyż Napoleon następnego dnia rano miał odjechać, *incognito* podróżując extrapoczta. Po długich naradach zaufany kamerdyner odważył się na ten krok śmiały i wszedłszy z światłem do sypialni, obudził króla. Fryderyk August, przerażony wiadomością o niespodziewanym przyjeździe Napoleona, zemdlał i dopiero po upływie kilkunastu minut przyszedł do przytomności. Następnie jednak ubrał się w mundur i pospieszył do Napoleona, z którym godzin kilka strawił na rozmowie. O świcie cesarz odjechał do Paryża i już nie widziałem go aż pod Lipskiem, w sytuacji wcale interesującej dla całej dywizji Dąbrowskiego. Wspomnę o niej poniżej. Teraz mówić będę o dalszej naszej rejteradzie oraz o organizacji polskich dywizji, a w szczególności o drugim pułku piechoty mego dowództwa. Zebrawszy co tylko

można było mundurów i broni z zakładu, otrzymałem po kilkodniowym pobycie w Warszawie rozkaz udania się do Kalisza, gdzie ledwo parę tygodni w spokojności pozostałem, musztrując i ubierając rekrutów z jak największym pośpiechem. W Kaliszu zaatakował nas jakiś oddział rosyjski, z którym biliśmy się pod miastem i na przedmieściu, poczem na Wrocław kazano mi pomaszerować do Düsseldorfu, celem połączenia się z dywizją Dąbrowskiego, do której mój pułk wcielony został. Jakkolwiek pułkowi drugiemu bardzo wiele niedostawało do stanu kompletnej organizacyi, to jednak nad Renem, gdzie się cała dywizya Dąbrowskiego rozłożyła, mieliśmy na szczęście dość czasu, iż nietylko piechota, złożona z trzech pułków, ale i brygada jazdy Krukowieckiego i artylerya pod komendą, jeżeli się nie mylę, Schweryna, przygotowały się dostatecznie do wyruszenia w pole. Otrzymałmśmy rozkaz pochodu pod Lipsk, gdy równocześnie cesarz bił się pod Bauzen i Lützen, gdzie doznał tak wielkiego braku kawaleryi, iż zażądał natychmiastowego przysłania do swej armii jazdy polskiej, na której z ufnością polegał. Reszta wojska polskiego pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, zagrożona przez nieprzyjaciela, już nie na Kalisz i Wrocław, ale za zniesieniem się z naczelnym dowódcą armii austryackiej, feldmarszałkiem Szwarzenbergiem, przyjacielem a nawet krewnym księcia Józefa, (wtedy jeszcze Austriacy nie byli się jawnie przeciw Napoleonowi zdeklarowali), pomaszerowała na Kraków, przez Czechy i pod Zittau połączyła się z armią główną. W bitwach pod Lützen i pod Bauzen zauważył był Napoleon, jak to już wspomniano, wielki brak kawaleryi. Dlatego też oba spotkania nietylko mu przyniosły korzyści, ile sobie zamierzył i pragnął, a że z Francyi jazda niedość szybko nadchodziła, przeto z niecierpliwością wyglądał cesarz i naglił o przybycie jazdy polskiej a szczególnie dwóch pułków szaserów z naszej dywizyi. Nasza dywizya rozłożona była niebardzo opodal, ale przecież o mil kilka w okolicach Lipska. Pamiętam, że mój pułk stał w Zerbst przez dni kilka właśnie w czasie, gdy

po bataliach Lützen i Bauzen zawarte było armistycium na dni kilkanaście, czy też dwadzieścia*).

W sierpniu przypadały imieniny Napoleona (d. 15 t. m.), więc też na cztery czy pięć dni naprzód, kazano w całej armii obchodzić to święto z wszelką, na jaką można się było zdobyć, okazałością, a nawet z illuminacją. My więc w Zerbst wydaliśmy bal dość wesoły, chociaż zaimprovizowany na prędce. Na placu ratuszowym, przed mojemu oknami była illuminacja, wśród której najwystawniej figurowała cyfra N, tej jak tu wyrażam, formy. Ale że tego wieczora był wielki wiatr, przeto pierwsza szczególniejsza linia tej cyfry, nieco więcej może na przeciąg wystawiona, ciągle gasła, choć ją razy kilka zapalać kazałem. Tak zamiast N robiło się A i wówczas szefom batalionu Bogusławskiemu oraz Trębickiemu powiedziałem, iż kto wie, czy miasto Napoleona, nie będziemy kiedyś musieli illuminować i fetować Aleksandra. Rychło też się sprawdziła niewinna moja wróżba.

W parę dni później przyszedł rozkaz od Napoleona z Dreżna, aby cała dywizya Dąbrowskiego skoncentrowała się w Lipsku pod dowództwem Arighi, księcia Padwy. Cesarz zapowiedział równocześnie swój przyjazd do Lipska celem zlustrowania jazdy. Tymczasem Berthier powziąwszy prawdziwą, czy też zmyśloną wiadomość, iż studenci z Halli zamierzają Napoleonowi zastąpić w przejeździe drogę, kazał w sześciu czy też w ośmiu miejscowościach rozstawić eskorty po kilkudziesięciu kawalerzystów, co zaraz o połowę zmniejszyło naszą brygadę jazdy, a cesarz jadąc spiesźnie z Berthierem oraz z adjutantem swoim Moutonem, mało co zważał, że go tyle jazdy polskiej eskortuje. Podczas przeglądu ustawiła się dywizya Dąbrowskiego w ten sposób, że kawalerya zajęła stanowisko tuż obok miejsca w którym cesarz wysiąść miał z pojazdu, zaś nasze trzy pułki piechoty stały rozwinięte jeden obok drugiego. Mój pułk drugi, jako po-

*) Rozejm podpisany w Plesswitz w dniu 4 czerwca 1813 r., trwał aż do dnia 10 sierpnia t. r. (P. W.)

siadający numer najmniejszy, stał podług przepisu na prawem skrzydle, sprezentowawszy broń. Cesarz wysiadł z powozu i zoczywszy przed sobą jeno szczupłą garść jazdy, wpadł w furię i zaciął besztać księcia Arighi i jenerała Dąbrowskiego a do Berthiera głośno powiedział:

— Idź do dyabła stary niedołęgo! — poczem Dąbrowskiemu oraz księciu Arighi jeszcze gorsza kwalifikacya się dostała, której tu nawet powtarzać nie chcę. Szukał cesarz sposobności, by na piechocie złość swą wyrzucić. A trzeba wiedzieć, iż w Dreźnie, gdzie codziennie na przegląd gwardyi wychodził, wprowadzono w mustrze pieszej manewr, nieobjęty regulaminem a polegający na zdjęciu oraz na wkładaniu bagnetów w pewnem tempie. Napoleon chcąc mieć przeto pretekst do łajania nas, stanął przed moim pułkiem i kazał mi przedewszystkiem zsiąść z konia.

— Zsiądź z konia pułkowniku — rzekł cesarz — zawiele sprawiacie kurzu.

Natychmiast więc zeskoczyłem z mojej ślicznej klaczy angielskiej i uderzywszy ją szpadą, skierowałem między nagromadzone licznie pospólstwo. Cesarz kazał wziąć żołnierzom broń na ramię, zdjąć i osadzić bagnety. Manewr ten, ściśle wykonany według regulaminu, niepodobał się cesarzowi, więc zwróciwszy się do Dąbrowskiego, zawołał:

— Jakto być może, więc nie ćwiczyacie żołnierzy? Co to za pułkownik!

Usłyszawszy raz i drugi taką wymówkę, odważyłem się przemówić do cesarza w te słowa:

— Najjaśniejszy panie! Jeżeli Jego Cesarska Mość sądzi, iż mój pułk nie umie dobrze zdejmować i osadzać bagnetów, to w każdym razie potrafi się nimi dobrze złożyć do ataku!

Siedm razy z rzędu kazał nam cesarz atakować a gdy jenerał Mouton, obdarzony nader silnym głosem, chciał go wyręczyć w komendzie, jak to się zwykle praktykowało, rzekł mu Napoleon:

— Bądź cicho, chcę się przekonać, czy pułkownik zna swą powinność...

— Niejednego, być może, podobne przemówienie mogło zdemontować, mnie zaś Bóg miłosierny udzielił daru, iż w im trudniejszym znajduję się położeniu, tem mocniej zdolam zebrać wszelkie, jakkolwiek słabe zdolności moje i przytomność mnie nie odstępuje. Komenderował więc cesarz różne obroty i żadnego nie dał zupełnie wykończyć, lecz widząc, iż idzie podług regulaminu, zaraz komenderował inny i znowu inny, co ośm lub dziewięć razy powtarzał, a często mówił:

— To dobrze, tak jest dobrze...

W końcu wpadł Napoleon w tak wyśmienity humor, iż kazał nam pułkownikom podać po czterech oficerów i po czterech podoficerów, lub szeregowców, do krzyża, legii honorowej. Zaraz więc wzięliśmy się do pularców i nazwiska kandydatów podaliśmy Berthierowi. Miałem ja w pułku moim adjutantem porucznika Lenkiewicza, małego bardzo wzrostu ale tęgiego oficera. Był on moim faworytem a choć nic nie umiał po francuzku, okazał się nieraz zwinny i dzielny żołnierzem. Otóż ów Lenkiewicz widząc, że podaję Berthierowi listę kandydatów do krzyża, zapytuje mnie:

— Pułkowniku, a ja tam jestem?

Gdym mu z żalem odpowiedział, że nie podałem jego nazwiska, począł mój porucznik narzekać, że o nim zapomniał, choć mu przedstawiałem, iż nie mogłem przecież pominąć obu szefów batalionowych, Bogusławskiego i Trębickiego, tudzież dwóch najstarszych kapitanów. Wszystko to go nie pocieszało, mówię więc do Lenkiewicza:

— Widzisz, że niedaleko stoi cesarz. Idź śmiało i proś go o krzyż. Ja tuż będę i poprę twą prośbę a ręczę ci, że legię dostaniesz.

A on mi na to:

— Kiedy nie umię po francuzku...

— Powiedz tylko słowa: *Sire! moi croix* — odrzekłem i podszedłem ku cesarzowi, wobec którego mój malec wyrecytował nauczony frazes.



— Czego chce ten smarkacz? — pyta Napoleon. — Wówczas ja wytłómaczyłem prośbę Lenkiewicza z tym dodatkiem, iż mogąc podać do krzyża tylko czterech oficerów z mego pułku, musiałem go pominąć.

— A czy zasługuje na krzyż? — zagadnął cesarz.

— I bardzo zasługuje — odpowiedziałem.

— Więc go dopisz — mówi Napoleon — i tak się też stało. Na liście Berthiera dopisałem nazwisko Lenkiewicza, który otrzymał krzyż tyle upragniony.

Po odjeździe cesarza, Dąbrowski przywołał mnie i w obecności wielu oficerów uściskał serdecznie, dziękując, iż mą przytomnością umysłu i całą jego dywizję i jego samego z wielkiej wyprowadziłem biedy.

Wkrótce później otrzymaliśmy rozkaz pomaszerowania wraz z całą dywizją ku Raghun, gdzie się ukazał nieprzyjaciel i tam mieliśmy z nim niejedną utarczkę a chociaż dość pilnie strześliśmy się, sformowawszy czworobok, w którym odpoczywaliśmy obok broni w kozły złożonej, to jednak kilka drobnych oddziałów kozackich wpadło w nocy z krzykiem między nas, życząc nam dobrej nocy. Porwaliśmy się natychmiast i stanęliśmy w porządku pod bronią, lecz w parę godzin później ponowił się napad. Mieliśmy wówczas kilku ludzi lekko rannych. Później kazano nam przejść przez most pod Raghun, dość silnie obsadzony przez nieprzyjaciela. Może moglibyśmy go zdobyć, wszelako Dąbrowski, szczwany lis, będąc z swą dywizją odosobniony od całej armii, rozpoczął silną kanonadę, by dać znać cesarzowi, że się bije i wysłał raport, że ma do czynienia z przemagającą siłą, chociaż tylko istotnie jazda flankierowała i ucierała się z kozakami. Cały dzień zeszedł na tych harcach, aż w końcu kozacy zaczęli wołać do naszych:

— Nie strzelaj! Nie strzelaj!

— Nie strzelajcie wy, to i my strzelać przestaniemy — odezwali się nasi. — Jakoż wkrótce ogień ustał, poczem kilku kozaków pyta naszych ułanów:

— A macie wy wódkę?

— Mamy, — mówi wiara.

— To dajcie się napić — proszą kozunie. Na to kilku ułanów ruszyło o kilkadziesiąt kroków naprzód i złożyłwszy manierki na ziemi, wrócili do swoich, podczas gdy kozactwo dorwawszy się do wódki, wykrzykiwało radośnie:

— Niech żyją Lachy! — i odwzajemniając się często-
wało naszych swemi manierkami. Po wzajemnem uraczeniu
się wszczęła się rozmowa. Kozacy pytali:

— A gdzie wasz Napoleon?

— Jest z nami...

— Łżecie, on już dawno siedzi w Paryżu, ale my go
i tam znajdziemy...

Z kolei znów jeden z naszych sierżantów jazdy zagadnie
kozaka:

— A wasz święty Mikołaj z Kremlina, także wzięty
do Paryża.

— Łżecie! -- krzyknął kozuń i od słowa do słowa
przyszło znów do bitki, którą dopiero przerwała noc zapa-
dająca.

Pod jej osłoną cofnęliśmy się do miasta i stojąc w czy-
stem polu, sformowaliśmy czworoboki, by nibyto odpocząć
obok broni w kozły ustawionej. I znów w nocy alarmowało
nas kozactwo wpadając i umykając przerwami czworoboków,
zaś dnia następnego po dość żywej utarczce piechotnej oraz
działowej, pomaszerowaliśmy głównym traktem ku Lipskowi,
nienagabywani wcale przez nieprzyjaciela. Zbliżając się do
Lipska, widzieliśmy spuszcających się z góry do wsi przy
drodze leżącej, czternaście batalionów z szwedzkiego korpusu
Bernadotte'a. Pułk mój maszerował wówczas na czele dywi-
zyi, więc jadący tuż obok Dąbrowski odzywa się do mnie:

— Ciepło temu będzie, komu wieś tę atakować każą.
Wszakci tam i armat kilkadziesiąt wprowadzono...

— Byle nie nam — odparłem — którzy sześć zaledwie
liczym batalionów...

— Ledwo te słowa wymówiłem, aż tu przypada do
nas marszałek Ney i każe Dąbrowskiemu natymiasť wieś

ową atakować. Słyszając to, powiadam do Dąbrowskiego po polsku:

— Niechże generał powie marszałkowi, ile batalionów nieprzyjacielskich widzieliśmy wschodzących do wsi.

Na co Ney zawołał:

— Proszę nie rozprawiać pułkownikowi, jeno atakować...

— Idę natychmiast marszałku — odrzekłem — i pewny jestem, że wejdziemy do wsi, ale zobaczysz panie marszałku, że się w niej nie utrzymamy....

Ney, zakławszy po francusku kazał nam atakować. Formujemy kolumny i mimo żywego ognia działowego, tudzież z ręcznej broni, weszliśmy do wsi, straciwszy po drodze znaczną ilość oficerów tudzież żołnierzy. Ja sam ugodzony zostałem kulą karabinową w obcas u buta, bez poważniejszego wszakże szwanku. Przy tej jednak sposobności nie mogę pominąć milczeniem szczególniejszego wypadku. Miałem w pułku oficera bardzo wysokiego wzrostu, jeżeli sobie dobrze przypominam, nazwiskiem Radońskiego, którego zawsze przy furgonach zatrudniałem, bo umiał nimi dobrze zarządzać. Ponieważ w pierwszym na wieś ataku miałem wielu oficerów rannych i zabitych, a pułk gotował się do drugiego na tę pozycję uderzenia, kazałem Radońskiemu, który zgłosił się po rozkazy, by stanął jako szlujący w kompanii, przy której się liczył.

— Niech pułkownik pamięta o mojej siostrze Kasi — mówi mi Radoński, stając w szeregu — bo padnę jeden z pierwszych...

W chwilę później już nie żył. Pierwsza kula go nie minęła... W tym to drugim ataku ugodziła mnie także kula karabinowa w piersi, lecz zatrzymała się na guziku mundurowym. Uderzenie wszakże było tak silne, że padłem wznak na grzbiet koński, myśląc: już po tobie! A że to działo się przy pierwszym plutonie kolumny atakującej, więc w tej chwili usłyszałem krzyki: pułkownik zabity! — poczem z obu stron ujęto mnie pod pachy i wraz z koniem w tył uprowadzono. W pułku drugim był sztabowym chirurgiem



Szwencki, wielce do mnie przywiązany. Ten widząc, że mnie pod boki prowadzą, przylata i pyta:

— Jesteś ranny pułkowniku?

— Tak jest, w samą pierś — odrzekłem.

Zaraz też Szwencki kazał mię odprowadzić w bezpieczne miejsce, gdzie kule nie donosiły a idąc koło mnie, zagaduje, czy mi gorąco w tem miejscu, gdzie zostałem ugodzony? Odpowiedziałem, że gorąco. Czy mokro? Niech pułkownik włoży rękę w zanadrze — doradzał pocziwy doktor. Włożyłem, ale rękę wyciągnąłem suchą, choć i gorąco i mokro mi się wydawało pod mundurem. Zaraz też zauważył Szwencki, iż to musi być silna kontuzya i skoro tylko zatrzymaliśmy się w jakiejś dolinie, rozpiął mi mundur i wyciągnął kulę wraz z spleaszczonym guzikiem. Przyłożył mi kompres na pierś a po chwili odetchnąwszy powróciłem do pułku, gdzie mię radosnym okrzykiem, niby zmartwychpowstałego witano.

Nazajutrz znowu uszykowano nas do boju obok wojsk saskich. Podczas bitwy widzimy, że Sasi wraz z działami idą naprzód, a my żadnego nie odbieramy rozkazu, by posuwać się za nimi, co nas bardzo zdziwiło. Wtem Sasi uszedłszy kilkaset kroków stają na wzgórzu, zwracają przeciw nam działa i zaczynają z nich nielada prażyć... Teraz dopiero dano Dąbrowskiemu rozkaz skierowania się ku mostowi na Elsterze, tak zawałonemu uciekającymi, iż musieliśmy bagnetem torować sobie drogę. W ten sposób doszliśmy do Weissenfels, zaś mój ekwipaż pozostał w Lipsku i ani wiem, w czyje ręce się dostał; dość, że dla mnie przepadł wraz z końmi wierzchowymi i ten tylko mi pozostał, na którym siedziałem. Ledwo uszliśmy jakie pół mili, gdy wtem generał Dąbrowski, aczkolwiek nie był przyjacielem księcia Poniatowskiego, z prawdziwym przecieź żalem, podjechawszy do mnie, powiada:

— Wiesz o nieszczęściu, które się wydarzyło? Oto Poniatowski, zastawszy most wysadzony w powietrze, a nie chcąc dać się wziąć w niewolę, choć ranny, rzucił się wraz z koniem w rzekę i utonął....

I wskazując mi w pobliżu drewniany domek, dodaje:
— Zsiądź z konia. W tym domu jest Napoleon, dowiedz się czegoś pewnego....

Pod pierwszym wrażeniem bolesnej tej wiadomości, wpadam do domku, przed którym nawet sztyldwacha nie było i spotkawszy na schodkach przed drzwiami Murata, chwytam go za rękaw, pytając, czy to prawda, że książę Józef nie żyje?

— Tak jest niestety — mówi mi król — straciliście w nim najdzielniejszego wodza, prawdziwą ozdobę narodu, ja zaś postradałem najszanowniejszego, najlepszego przyjaciela. Wejź pan jeszcze kilka schodów wyżej a przekonasz się naocznie, w jaki smutek pogrążyła cesarza ta wiadomość!...

Postąpiwszy kilka schodów w górę, dostrzegłem Napoleona z założonemi na piersiach rękoma, z głową spuszczoną, zupełnie nieruchomego. Popatrzyłem na niego; na wspomnienie księcia łzy mi się z oczu puściły, więc wsiadłszy na konia, pospieszyłem do Dąbrowskiego z potwierdzeniem żalosej wieści. Nietylko my Polacy odczuliśmy tę tak bolesną dla nas stratę, ale cała armia francuska, a nawet śmiało powiedzieć mogę, że cała Francja podzielały z nami jak najczulej boleść z tego powodu i dotychczas jeszcze imię *du prince Poniatowski* wspomina lud francuski z czcią prawdziwą.

Nie wierzę ja w żadne gusła, ani w bajeczne przepowiednie gminne. Wszelako tu nie mogę nie przytoczyć tego szczególnego zdarzenia, jakie się księciu Józefowi w jego dzieciennych latach przytrafiło. Licząc ośm, czy dziewięć lat, przebywał on z matką na wsi i gdy dnia pewnego bawił się w ogrodzie pałacowym, spostrzegł starą cyganekę, wróżącą z dłoni przyszłość domownikom, którzy ją dokoła obstawili. Przepisnąwszy się do wróżki, podało chłopię swą rączynę cygance, która rzekła do niego po rusku: Strzeż się sroki, bo sroka cię ubije.... Ta wróżba tak utkwiała w pamięci dziecka, iż książę Józef przez całe życie ani srokatę konia, ani psa tej maści, choćby najlepszego, trzymać nie chciał.

A przecież rzeka Elster, w której nurtach śmierć znalazł, na polskie tłómacząc jest nie co innego jak sroka. Ach, a ileż to podobnych baśni na świecie — nie sprawdziło się....

Jenerał Dąbrowski był prawdziwie zabawnym i dowcipnym. Uśmiełem się szczerze, gdy mi powtórzono jego rozmowę z moim jenerałem brygady — nazwiska jego nie wymienię — który lubił czasem napijać się. Pewnego dnia przychodzi do Dąbrowskiego ów brygadyer, dobrze już cięty, ze skargą na mnie z powodu rzekomej niesubordynacyi, jakiej miałem się dopuścić podczas bitwy, niesłuchając jego rozkazów. Dąbrowski wysłuchał cierpliwie raportu, dość niewyraźnie wybełkotanego, poczem rzekł do brygadyera w te słowa:

— Wybacz jenerale, Szymanowskiemu, bo on czasem tak się upija, iż nie wie co gada...

Tem powiedzeniem zderutował Dąbrowski oskarżyciela do tego stopnia, iż już po raz wtóry nie poważył się wywozдить wobec niego swych żalów.

Z pod Lipska cofaliśmy się ku Renowi, niezbyt silnie ścigani przez nieprzyjaciela. Dopiero pod Hanau zastąpił nam drogę dowodzony przez Wredego korpus bawarski, dotychczas nibyto nas posiłkujący. Po kilkogodzinnej bitwie, w której nie mało stracili ludzi, Bawarczycy odparci zostali z drogi, którą armia francuska ustępowała i dość spokojnie dostaliśmy się aż nad Ren, gdzie dywizya jenerała Dąbrowskiego, z samych tylko Polaków złożona, miała się reorganizować. Mimo strat niezmiernych i ubytku w ludziach, poniesionych w kampanii dwunastego roku, ja sam mając powierzoną organizację drugiego pułku pieszego, już w ciągu niespełna trzech miesięcy wymaszerowałem z Düsseldorfu we dwa bataliony, opatrzone w mundur, broń i amunicję, a nawet zupełnie dobrze wymasztrowane. Było to w znacznej części zasługą szefów batalionowych: Ludwika Bogusławskiego oraz Trębickiego, jakoteż reszty oficerów, którym na tem miejscu winienem wydać najchlubniejsze świadectwo.

O kampanii wiedzionej przez Napoleona we Francji przeciw połączonym armiom: rosyjskiej, austriackiej i pruskiej, nie będę wspominał, gdyż nie miałem w niej czynnego udziału, nie będąc wyleczonym z kontuzji pod Lipskiem odniesionej. Godzi się tu przecież nadmienić, iż w tej walce Napoleon, postawiwszy wszystko na kartę, okazywał całą moc swojej strategicznej działalności, lecz w końcu ulec musiał przemocy, gdyż nie tylko w wojsku, ale i wśród ogółu narodu francuskiego znacznie już osłabła była ufność w szczęśliwą jego gwiazdę.

Po zajęciu Paryża przez wojska sprzymierzone, przybył Napoleon wraz z resztkami swej gwardyi do Fontainebleau, gdzie znalazł się również z szwoleżerami polskimi Wincenty Krasieński, który miał prócz tego kilkaset ludzi piechoty tudzież nieco artylerji. Z Fontainebleau wysłał cesarz do Paryża Sebastianiego, by się układał z monarchami o warunki kapitulacyi, w myśl których to układów ustąpioną mu została na morzu śródziemnem Elba. Gdy taka negocjacya ciągnęła się przez dni kilkanaście, dywizya a raczej kadry dywizyi Dąbrowskiego, przed zajęciem stolicy przez nieprzyjaciół, otrzymały rozkaz opuszczenia Paryża i udania się do Bretanii. W marszu zatrzymaliśmy się w Mans, a widząc, że się już skończyło panowanie Napoleona, który sam zezwolił na to, aby Wincenty Krasieński wraz z całą swą komendą udał się pod protekcyę carską, przywołał do siebie Dąbrowski generała dywizyi Sokolnickiego oraz mnie i dał nam rozkaz, abyśmy się udali do Paryża, do cara Aleksandra i w jego także, jako najstarszego generała imieniu, oddali mu pod protekcyę armię polską. O ile się wszakże zdaje, Dąbrowski więcej miał zaufania do mnie, aniżeli do Sokolnickiego, więc też wobec mnie powiedział mu:

— Lubo Szymanowski jest pułkownikiem a generał komendantem dywizyi, ja przecież równą jemu jak generałowi moc w tej misyi udzielam i zastrzegam sobie najwyraźniej, abyś generał we wszystkim i jego zdaniu był po-

wolny. Spodziewam, się, że oba zgodnie to moje posłannictwo spełnić zechcecie.

Wyjechaliśmy więc z Mans, już niepomnę dobrze którego dnia ku Paryżowi. Pomijam acz małe, ale przecież nader dokuczliwe trudności, jakich w drodze doznaliśmy dla braku koni pocztowych, gdyż kto tylko mógł opuścić Paryż, to wyjeżdżał, z powodu zajęcia miasta przez wojska sprzymierzone. W końcu dostaliśmy się do jednej stacyi, niedaleko od Paryża oddalonej, zkąd jedna droga wiodła wprost do stolicy zaś druga w bok ku Fontainebleau. Ja uparłem się koniecznie wbrew zdaniu Sokolnickiego, aby nie udać się wprzódy do cara Aleksandra, zanim nie uzyskamy na to wyraźnego zezwolenia od Napoleona, bawiącego jeszcze w Fontainebleau. Cóż z tego, gdy na tej stacyi bardzo uczęszczanej, czy nie było w istocie koni, czy też nie chciano ich dawać, dość, że na poczie w żaden sposób koni dostać nie było można, zwłaszcza dla zjechania z paryskiego traktu. Mimo, że łąziłem parę godzin po miasteczku, nigdzie koni nie znalazłem. Aż wtem spotykam kogoś, kto wypytawszy mnie, czego z taką troskliwością szukam, powiada mi:

— Idź pan do proboszcza. Ma on parę koni, schowanych w piwnicy...

Pospieszyłem na probostwo i nie bez trudności wyperwadowałem księdzu, że zły schówek wybrał dla swych koni, gdyż do piwnicy jego przedewszystkiem zagłędnie cudzoziemski żołnierz, przybywszy do miasteczka. Proboszcz przyznał mi w końcu słusność.

— Nie idzie mi tu o pana — rzecze do mnie — gdyż pewny jestem, że zajechawszy do Fontainebleau odeszlesz mi konie, ale w powrocie zabierze mi je z pewnością wojsko...

Tak ja targ w targ z księdzem i za przewiezienie przez tę jedną stacyę zapłaciłem mu paręset franków. Dość, że zajechaliśmy do Fontainebleau w kilka godzin po wyjściu oddziału Krasieńskiego. Tymczasem Sebastiani doniósł cesarzowi, iż doznaje pewnych trudności co do ustąpienia dla

niego Elby, wobec czego Napoleon, pragnąc na każdy wypadek mieć przy sobie nieco więcej wojska, wyprawił do Krasińskiego, maszerującego ku Paryżowi, rozkaz do powrotu. Ale Krasiński nie przyjął tego rozkazu i dalej maszerował ku stolicy. Postępek ten zniechęcił cesarza oraz całe jego otoczenie ku Polakom, tak, iż gdyśmy się z Sokolnickim pokazali w głównej kwaterze, wszyscy się od nas odwrócili. Sam nawet cesarz, któremu kazaliśmy się zameldować, polecił nam oświadczyć, przez księcia Bassano, (Mareta), że jest słaby i widzieć nas nie może. Dowiedziawszy się o przyczynie tej nagłej dla Polaków niechęci, postanowiliśmy z generałem Sokolnickim wszelkich użyć sposobów i wpływów, byle uzyskać u cesarza audyencyę. Jest tam w pałacu, cesarskim, dość duża, długa, w kształcie szerokiej galeryi sala, z której wiele wychodzi drzwi, prowadzących do apartamentów cesarskich. Nad każdym z tych wejść widniał biust marmurowy znakomitszych adjutantów Napoleona z czasów, zanim został pierwszym konsulem. Chodziliśmy każdy z osobna od drzwi do drzwi, przypatrując się owym biustom, Ja, pamiętam to, jak gdyby dziś się to działo, gdy oglądając biust Sułkowskiego stałem wprost drzwi, aż tu roztwierają się podwoje i widzę wychodzącego Napoleona. Był bardzo zmieniony, smutek malował się na jego obliczu. Zapytał, kto jestem i kazał mi przywołać do siebie Sokolnickiego, stojącego, na drugim końcu galeryi. W ciągu dość długiej rozmowy, gdyśmy go prosili, by dał nam świadectwo wiernej i wytrwałej służby, oświadczył cesarz:

— Polacy byli jedynymi z moich sprzymierzeńców, którzy mnie nie opuścili w nieszczęściu, to też obowiązkiem moim jest oddanie wam sprawiedliwości. Służyliście zawsze i wspomagaliście Francję odważnie, z całą gorliwością i z poświęceniem. To słuszność każe wam przyznać. Idźcie więc do księcia Bassano i powiedźcie, by wydał wam świadectwo takie, jakiego żądacie i na które niewątpliwie zasłużyliście.

Najbezstronniej sądząc powyższe słowa, zdawałoby się z nich wynikać, że Francya sama poczuwa się do długu

wobec Polski i wobec Polaków zaciągniętego. Jakżeż się nam po dziś dzień z niego wypłaca? W każdym usiłowaniu naszym o odzyskanie niepodległości, admirują i chwalą męstwo nasze, poduszczają nas zagranicą, ale zawsze nam samym tylko zostawiają zaszczyt zbierania czczych i bezowocowych wawrzynów! Wszakżeż i w ostatniem powstaniu naszym roku 1830, jakąż nam dali pomoc Francuzi? Oto Lafayette przysłał naczelnikowi powstania polskiego parę pistoletów a później nikczemnego rozmarynu kawałek, (Romarino), który do pochowania naszego wcześniejszego w grobie, niemało się przyczynił. Oto cała pomoc, jaką wówczas otrzymaliśmy od Francuzów a przecież nie przestajemy pokładać w nich zaufania, albowiem, jak to dobrze mówi przysłowie: Tonący brzytwy się chwyta... Lubo zachowuję ja tę niezłomną w miłosierdziu i w sprawiedliwości Boskiej nadzieję, iż Bóg nie dopuści wiekuistej zagłady narodu, który w najburzliwszych swych kolejach nie zaparł się krzyża Chrystusowego, owszem jawnie go niósł przed sobą i że takowy naród na zawsze zagaść nie może. Wszelako widzę i przekonywam się, iż nasza godzina oswobodzenia narodowego jeszcze nie wybiła i sam Bóg to wiedzieć raczy, jak długo wnukom naszym na wybicie jej oczekiwać przyjdzie. Zawsze przecież nieomylnie, choć późniejsze pokolenia doczekają się tej chwili! Polska bowiem niepodległa stała się niezbędną do utrzymywania równowagi europejskiej, już choćby skutkiem swego geograficznego położenia. Wielki więc błąd polityczny popełniły państwa europejskie, a w szczególności Anglia i Francya, zezwalając na pierwszy podział Polski w roku 1772.

Gdy nam tedy książę Bassano tegoż dnia wieczorem wręczył nader zaszczytne owe świadectwo, zabawiwszy jeszcze parę godzin w Fontainebleau i czekając na konie pocztowe, miałem sposobność przypatrywać się, jak Napoleon w jednej z mniejszych sal pałacowych jadł z pospiechem obiad, nie zamieniwszy ani słowa z księciem Bassano lub z dwoma, czy trzema, innemi osobami, siedzącymi przy stole.

Po obiedzie przyszło mi na myśl dać dwadzieścia franków kredencierzowi za wziętą ze stołu szklanke, z której pił cesarz. Pamiątkę tę zachowuje dotychczas syn mój, w mieszkaniu swem w Szwajcaryi, w Keffikon, koło Zurychu.

Wyjechawszy zadowoleni, o ile to być mogło, z Fontainebleau do Paryża, w drodze zatrzymaliśmy w.....*) gdzie żył jeszcze wówczas czci i uwielbienia godny nasz dawny naczelnik, Tadeusz Kościuszko, któremu obaj, tak generał Sokolnicki, jako i ja znani byliśmy. Oznajmiłszy mu smutny nader cel naszego posłannictwa. Naczelnik przyjął nas z rozczuleniem, a jako dawniej znajomy carowi Aleksandrowi dał nam od siebie pamiętny list do niego, w którym obok polecenia losu naszej Ojczyzny jego opiece, uważając cara w owej porze za jedyne polskiej narodowości opiekuna, wstawiał się oraz do niego o polepszenie losu włościan czyli chłopków polskich**).

Przybywszy do Paryża, udaliśmy się natychmiast do księcia Adama Czartoryskiego, który niez mordowanie egzystencją Polski jak najserdeczniej zajęty, w nadziei, iż przy tej sposobności sprawie jej będzie mógł służyć, przybył także do Paryża i nie odstępował cara Aleksandra I., w którego prawdopodobnie dobrej dla nas dyspozycyi, jedyną w ówczesnym zbiegu okoliczności pokładał nadzieję i ufność. Książę Adam z oczywistem zadowoleniem wysłuchawszy nas, oświadczył, że zaraz oznajmi carowi o naszym przybyciu. Zwracał jednak uwagę, że trzeba nam będzie zameldować się carowi przez wielkiego księcia Konstantego, który ma sobie powierzona komendę udających się pod protekcję rosyjską Polaków, tymczasowo zakwaterowanych w St. Denis. Udaliśmy się przeto do wielkiego księcia Konstantego, który nas nader uprzejmie przyjął i zadawszy nam kilka pytań, kazał z sobą jechać do cara Aleksandra. Przyjął nas car

*) Kościuszko w owym czasie mieszkał stale w Berville. (P. W.)

***) Autor ma tu prawdopodobnie na myśli znany list Kościuszki do cara Aleksandra z daty 9 kwietnia 1814 r. (P. W.)

nad wieczorem w swoim gabinecie. U drzwi stał generał-adjutant Orłow, zaś o kilka kroków dalej, w pobliżu kominka zatrzymał się cesarz. Sokolnicki zajęty przygotowaną przemową a przytem nieco dystrakt skłonił się nisko Orłowowi biorąc go za cesarza i chciał już mówić. Spotrzegłszy jego pomyłkę, choć cara znałem tylko z portretu, zwróciłem Sokolnickiego, wzięwszy go nieznacznie za łokieć, we właściwą stronę, co zoczywszy monarcha uśmiechnął się. Car wysłuchał nieprzerywając mowy Sokolnickiego, której celem głównym była prośba, aby nas przyjął pod swoją protekcję i dozwolił armii polskiej powrócić do kraju z bronią w rękę; poczem car, jak zwykle, trafny i uprzejmy, odpowiedział nam w tych mniej więcej słowach:

— Panowie! Kto z takim, jak wy honorem umiał, mimo zbiegu nieszczęśliwych wypadków, zaszczytnie nosić broń, ten nigdy z nią rozstać się nie powinien. Biorę was pod moją protekcję i zezwalam z chęcią, abyście wrócili do Polski z wszelkimi wojskowymi honorami, z bronią, z sztandarami i z armatami. Zresztą przebaczam to co się działo w przeszłości. Odtąd chcę, by pamiętano, że jestem wam przychylny i dobrze dla was usposobiony, czego pragnę dać dowody. Oddaję was pod rozkazy mego brata Konstantego, abyście nie mieli nic do czynienia z innymi generałami rosyjskimi, jeno z mym bratem a za jego pośrednictwem ze mną samym. Powtarzam raz jeszcze, iż chcę zapomnieć o całej przeszłości.

Gdy już po raz drugi obok wielu uprzejmych i ujmujących wyrazów z ust monarszych, usłyszeliśmy ową nieszczęsną wzmiankę, zmazującą rzekome nasze winy i grzechy a kolega mój Sokolnicki milczał, przeto poważyłem się odezwać w następujący sposób:

— Dziękujemy Waszej Cesarskiej Mości, iż przez takie wyrażenie upoważniasz nas do oświadczenia w Jego imieniu tym współrodakom naszym, służącym w naszych szeregach, którzy są jego poddanymi, iż gdy wrócą do kraju nie będą prześladowani i że im łaskawą amnestyę dać

raczysz. Co do nas przecież, reprezentujących tu armię polską, do króla jegomości saskiego, jako księcia warszawskiego, nam dotąd panującego, należąca, nie sądzimy, abyśmy tu uważani być mogli, jako wykraczający przeciw prawnemu swojemu monarsze.

Taka uwaga moja, zda się, iż bynajmniej nie uraziła cara, gdyż wysłuchawszy jej spokojnie, odrzekł:

— To też nie mówię o was, jako o armii, należącej do króla saskiego, ale nie potraficie mi zaprzeczyć, że wśród waszych kadrów znajduje się wielu moich poddanych. O nich to chciałem mówić...

Gdy mi właśnie nic na myśl nie przychodziło, cobym mógł dalej cesarzowi powiedzieć w tej mierze, skłoniwszy głowę, zamilkłem.

Car Aleksander był jednym z najpiękniejszych monarchów swego czasu. Miał on w całej, acz nieco zmanierowanej postawie i w ruchach coś ujmującego. Poruszenia jego, acz wyuczone, stały mu się z czasem, że tak powiem, wrodzonymi. Był ujmującym jako władca i przystojny jako mężczyzna. Nietylko, iż sam umiał przemawiać trafnie, wyrażając swe myśli w sposób ujmujący, choć nie zawsze szczery, ale posiadał on nadto ów, jak francuzi nazywają: *l'esprit d'apropos*, nie każdemu monarsze właściwy. Trafność dowcipu i odpowiedzi, jak to później miałem sposobność poznać, umiał car i u drugich cenić. Posłuchanie, w ciągu którego wypytywał się nas o wiele szczegółów, dotyczących resztek korpusu polskiego, trwało więcej niż pół godziny, poczem raz jeszcze car powtórzył, iż armię polską oddaje pod bezpośrednie dowództwo wielkiego księcia Konstantego i że wkrótce wyda dyspozycje co do naszego powrotu do Warszawy. Po skończonej audyencji, pospieszyliśmy do księcia Adama Czartoryskiego, którego nasze posłuchanie mocno interesowało a nazajutrz byliśmy znowu, ale już jako podkomendni, u wielkiego księcia Konstantego, który nas także bardzo uprzejmie przyjął. Nawykł był bowiem, gdy czuł się istotnie zadowolonym, nie szczędzić wyrazów pochwał i satys-

fakcyi, owszem często przesadzał niemi aż do egzageracyi. Ale też za to, jak to później powróciwszy do Polski nieraz doświadczyliśmy, o lada co, o guzik u munduru żołnierskiego źle przyszyty, gdy rozgniewał się, to bywał w gniewie niepowściągliwym i często niesprawiedliwym, nie dbając co o nim opinia, ludzie a nawet dzienniki mówić będą. Przeciwnie, car Aleksander bardzo uważał, co o nim ludzie mówią i dlatego częstokroć dyssymulował. Cesarz był także na wszelkie drobnostki umundurowania bardzo uważającym. Bawiąc jeszcze w Paryżu powiedział pewnego dnia Dąbrowskiemu, iż chce widzieć umundurowanie wojska polskiego wszelkiej broni. A że mnie już nieco znał, więc polecił jenerałowi, abym co parę dni przedstawiał mu po jednym podoficerze i po jednym żołnierzu z każdej broni, przybranych w nowe mundury, szyte pod moją dyrekcją przez krawców miejscowych. To dało mi sposobność do widywania cesarza po kilka razy tygodniowo i z tego powodu mogę tu przytoczyć parę interesujących rozmów. I tak, razu pewnego pytał mnie cesarz, dlaczego przy wszystkich naszych mundurach rabaty i wypustki są karmazynowe?

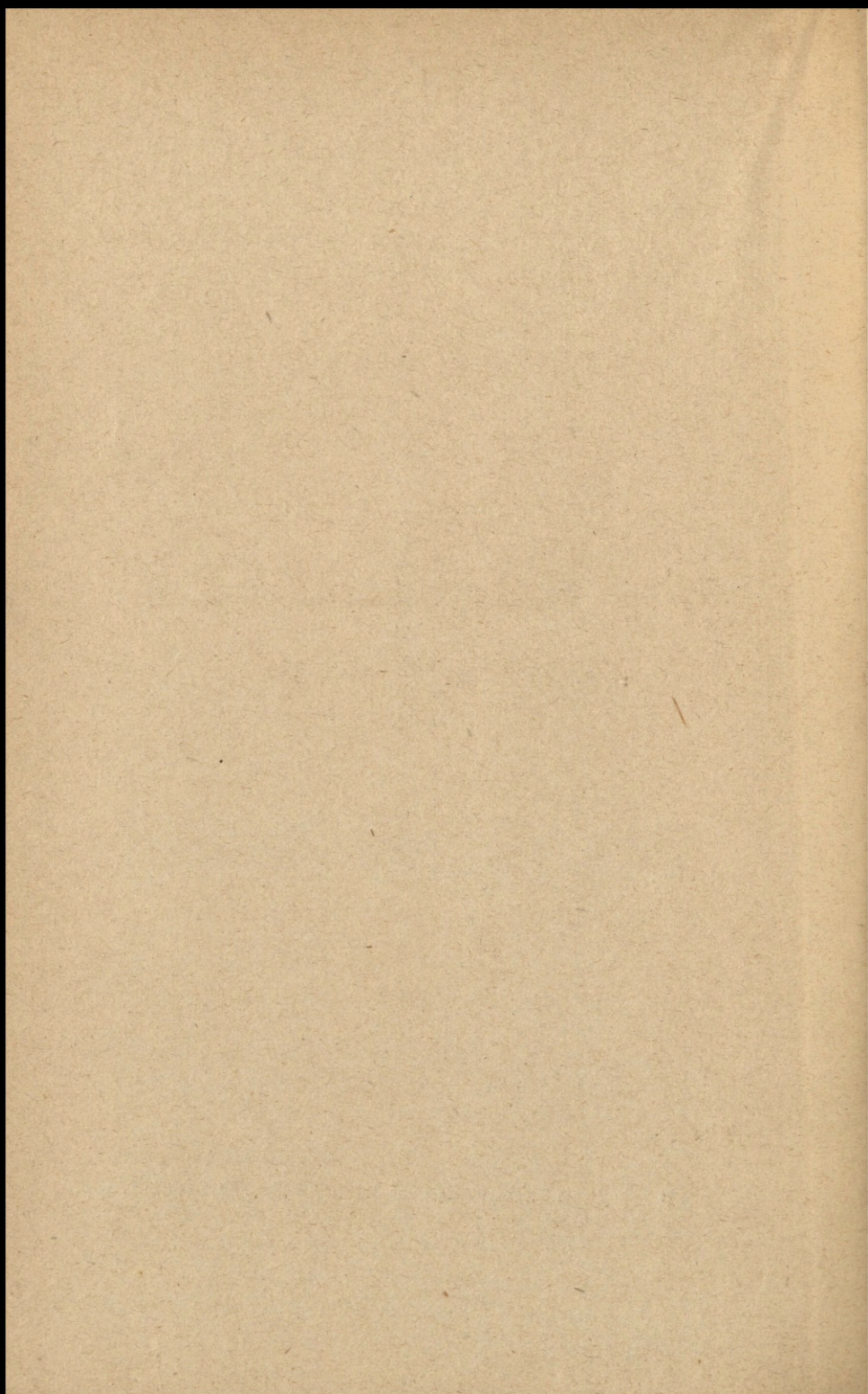
— Bo to kolor narodowy — odpowiedziałem.

Na to zauważył cesarz, że karmazyn dopiero od czasów konstytucyi Trzeciego Maja stał się barwą narodową w Polsce, gdyż dawniej każdy pułk miał innego koloru rabaty i pokazał mi niewielki almanach dawnego wojska polskiego, w którym figurowały rabaty żołnierskie różnych kolorów, bez wypustek karmazynowych. Nietyle mnie ten dowód niezaprzeczonej przekonał, ile zastanowiła mnie uwaga, w jakim celu cesarz mógł przywieść z sobą do Paryża ów almanach, przed pół wiekiem drukowany? Drugi raz znów pytał mnie cesarz, czy nam koniecznie zależy na białej kokardzie u kaszkietów? Na to, acz z uniżonością, odparłem, że do białej kokardy jesteśmy przywiązani nietylko jako wojskowi, ale jako Polacy, podczas gdy cesarz, jak zwykle, wchodzący w drobiazgi, przekonał mnie, że kokarda, jaką widzi na naszych kaszkietach, nie jest polska jeno saska, ponieważ

nie jest gładka, lecz marszczona. Innym znów razem utrzymywał cesarz, że orzeł trzymający w jednej szponie berło a w drugiej glob, nie jest polskim, bo szpony polskiego orła powinny być w dół spuszczone a na przekonanie kazał mi przynieść polską monetę z czasów augustowskich. Znalazłem ją po dość długim szukaniu w całym Paryżu i w istocie z wielką satysfakcją cesarską zdanie jego okazało się słusznem.

Koniec rękopisu »Wspomnień«.*)

*) Oryginał pamiętnika generała znajduje się w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.



Wyciąg poprawny z notatek A. K.
przy moim sztabie będącego.*)

*) Autorem tych notat jest prawdopodobnie podpułkownik Adam Sucho-
rzewski, lecz liczne poprawki i uzupełnienia tekstu, dokonane własną ręką
Szymanowskiego, każą uważać rzeczoną pracę, jako uskutecznioną pod redak-
cją generała, który główną w opisywanych wypadkach odgrywa rolę. (P. W.)

. . . Chcę mówić o wyprawie Giełguda na Litwę, czyli raczej o owej części wyprawy nieszczęsnego tego korpusu, w której byłem czynnym świadkiem jako ciągle zostający przy sztabie Józefa Szymanowskiego, byłego dowódcy pułku dziewiętnastego, nowo uformowanego w Królestwie a później przez rząd narodowy mianowanego generałem brygady. Pułk dziewiętnasty, w którym się liczyłem, formował się był częścią nad granicą pruską w Brześciu Kujawskim, częścią zaś w Łęczycy oraz w powiecie Sohaczewskim. Jeszcze kadry onego pułku zebrane nie były, gdyż wyraźne zarządzenie dyktatora zabraniało formowania batalionów i kompanii, przed dostawą zupełnego umundurowania dla żołnierzy przez rady powiatowe, jeszcze przeznaczeni do pułku oficerowie nie przybyli, a już na początku lutego otrzymaliśmy rozkaz, przyciągnięcia pod Warszawę. Wydano więc rozkazy ściągnięcia porozrzucanych po prowincyi zakładów, wymaszerowania i zebrania się w okolicy Sohaczewa oraz Błonia nowozaciężnym, których broń, same kosy i piki, z niekompletnem umundurowaniem szły, za nimi na wozach. Wszystkie dostawy były tak dalece opóźnione, iż gdy na dni parę przed grochowską bitwą, batalion jeden tego pułku otrzymał nagle rozkaz wyruszenia na linię bojową, to dopiero w marszu, tudzież na przedmieściu Warszawy, kompletował na prędce swe uzbrojenie i umundurowanie. Staął przeciw uzbrojony w samą broń sieczną na placu bitwy i otrzymałszy przeznaczenie do dywizyi Krukowieckiego, użyty

został do asekuracji dział a pierwszy chrzest wojenny odbył pod Białoleką, straciwszy w rannych i w zabitych kilkunastu ludzi. Po tej bitwie składał pułk dziewiętnasty część garnizonu warszawskiego, gdzie dzień po dniu dostarczając po kilkuset ludzi na warty, do robót fortyfikacyjnych oraz barykadowych, pozbawiony był możności sposobienia się w musztrze i w wojennych obrotach. Mimo to, wrodzony zapał narodowy oficerów i usposobienie naturalne chłopca polskiego na żołnierza, nadały mu jaką taką postać wojskową a gorliwość dowódcy wynalazła nowy sposób użycia kosa, który to manewr zwrócił podczas lustracji uwagę komendanta wszystkich rezerw, generała Paca. Wydał on przeto polecenie wszystkim nowo formującym się pułkom, by wykomenderowały oficerów do pułku naszego dla zasiągnięcia instrukcyi w użyciu tej strasznej broni. Niestety, zacząwszy od dyktatora i wszystkich po nim idących dowódców a nawet i innych wojskowych polskich, mało kto przejął się tym duchem, iż pomiędzy sieczną bronią kosą w ręku nieusposobionego jeszcze żołnierza polskiego, winna była zastąpić broń palną, z której użyciem nie był oswojonym, bo jej nie znał. A jednak nie brakło przykładów, że kosa dała się straszliwie we znaki nieprzyjacielowi, że wspomniemy wojnę amerykańską o niepodległość lub batalię racławicką.

Pułk dziewiętnasty, zajęty bardzo ciężką służbą garnizonową i pracą fortyfikacyjną, nietylko nie miał dość czasu do przyzwoitego wyrobienia się, lecz nadto dwukrotnie dostarczać musiał na wybór do starych pułków najlepiej wymusztrowanych żołnierzy, otrzymując w zamian nowozaciężnych rekrutów. Wobec tego nie można się dziwić, iż po lustracji, odbytej w dniu 29 kwietnia za Pragą, naczelnym wódz, Skrzynecki, uznał nasz pułk jako niedość jeszcze usposobiony do wystąpienia na linię bojową. Nadewszystko dziwił się Skrzynecki z powodu znacznej ilości lazaretowych, spowodowanej ciężką pracą oraz zimowaniem w obozie, przy nader oszczędnej dystrybucyi drzewa. Tydzień czasu tylko

pozostawił wódz naczelny komendantowi celem postawienia pułku na stopie wojennej i już w dniu piątym maja nasze bataliony w sile około tysiąca pięciuset głów, wyruszyły pod Kałuszyn do dywizyi Giełguda, który je wcielił do brygady Rolanda. W nocy z dwunastego na trzynasty maja dywizya Giełguda przeszła Narew i pomaszerowała ku Ostrołęce, w zamiarze przecięcia odwrotu gwardyom rosyjskim, lecz kilkogodzinne opóźnienie się jej w marszu, sprawiło wymknięcie się Sackena, którego niewątpliwe zajęcie wraz z całym korpusem tyle nam przynieść mogło w operacjach wojennych korzyści. Fakt ten nie pouczył bynajmniej Giełguda, iż opuszczenie sposobnej pory może nietylko wydrzeć stanowcze zwycięstwo, lecz smutną nieraz przynieść porażkę. Dywizya maszerowała do Łomży, gdzie Giełgud połączył się z generałem Dembińskim i z pułkownikiem Sierakowskim, nad którymi objął był dowództwo. W Łomży, którą Rosyanie po spaleniu mostu opuścili, zostawiwszy generała Dembińskiego, pociągnął Giełgud z częścią korpusu za główną armią ku Tykocinowi, a tymczasem Sierakowski obserwował z swym oddziałem Sackena. W dniu 21 maja Dembiński, ścigając Sierakowskiego do Łomży, wyruszył do Mężynina, gdzie spotkaliśmy wracającą z pod Tykocina armię naczelnego wodza. Wyprawa na gwardye nie przyniosła żadnej innej korzyści, jak otworzenie drogi na Litwę małemu korpusowi Chłapowskiego, który zręcznym a szybkim pochodem dotarł szczęśliwie na miejsce przeznaczenia. Bitwa pod Tykocinem, acz nie przegrana, nie była przecież korzystną, bośmy dużo w niej stracili ludzi, poczem Giełgud otrzymał ponownie przeznaczenie do Łomży. Pozostawał tam, jak wspomniano, Sierakowski, celem strzeżenia odbudowanego mostu na Narwi. Zajęcie Łomży, o ile było korzystnem z powodu znalezienia przy lazarecie rosyjskim kilkuset sztuk broni, którą zaopatrzone zaraz pułki: ośmnasty i dziewiętnasty, o tyle demoralizująco wpłynęło na nowozaciężnego żołnierza, rabującego chciwie porzucone w tem mieście przez gwardyę powózki, przepełnione zbytkowemi toaletami, perfumami

trzewikami balowymi i t. d. Oficerowie nasi z smutkiem patrzyli na ów rabunek, któremu przeszkodzić nie mogli, radzi przynajmniej, iż uszanowano własność pojmanyh jeńców. Za powrotem do Łomży, dwie kompanie dziewiętnastego pułku odebrały rozkaz udania się na prawy brzeg Narwi, do Wizny, celem zniszczenia istniejącej tam przeprawy a drugie dwie kompanie do Nowogrodu dla zajęcia tegoż miasta i rozebrania mostu, co też natychmiast uskuteczniono. W dniu 26 maja zaszła bitwa pod Ostrołęką, której nierozważne przyjęcie i niezmierne odniesione w niej straty, tak silne wstrząśnienie moralne sprawiły, była powodem, iż odcięta w Łomży dywizya Giełguda odebrała od naczelnego wodza rozkaz, skreślony na skrawku papieru a opiewający, o ile sobie przypominam, jak następuje: »Armia oczekuje zbawienia jedynie od pańskiej dywizyi, żyw czy poległy, (albo też: bądź co bądź), staraj się połączyć z nami!«

Rozkaz takowy, acz utrzymywany w tajemnicy, przekonał przecież tych, co byli onego świadomymi, o opłakanem — zdaniem naczelnego wodza — położeniu głównej armii. Stosownie do otrzymanego zlecenia, wymaszerowaliśmy w dniu 27 maja z Łomży, gdzie w lazarecie musieliśmy pozostawić dużo chorych na febrę i na oczy. Sam pułk dziewiętnasty liczył ich stu kilkudziesięciu. Rozczulającym w rzeczy samej był widok, gdy więcej niż pięćdziesięciu naszych wiarusów nic prawie, albo bardzo niewiele widzających wlokło się za pułkiem, niechcąc pozostawać na tyle armii. W bliskości Nowogrodu przywiózł nam generał Dembiński nowy rozkaz naczelnego wodza, dający do wyboru Giełgudowi albo przedzierać się prawym brzegiem Narwi ku głównej kwaterze, albo też maszerować na Litwę. Złożona na miejscu rada wojenna, uznając ważność dywersyi, jaką mogło oddać sprawie ogólnej zjawienie się niespodziane na Litwie dość znacznej dywizyi wojska polskiego, zadecydowała pochód na Litwę. W dniu 28 maja byliśmy w Grajewie, zaś dnia następnego, od samego rana, awangarda

nasza, dowiedziona przez generała Dembińskiego, zaczęła się ucierać z korpusem Sackena, który przypuszczając, iż ma do czynienia tylko z obserwacyjnym oddziałem Sierakowskiego, zajął był Rajgród, opierając prawe skrzydło o obszerne, rozlane pod tem miastem jezioro a lewe o bagniska. Niedosć biegły w ocenienu pozycyi nieprzyjacielskiej, opóźnił Giełgud manewr, którego spóźnione wykonanie było przyczyną, iż Sacken zupełnie zniszczony nie został. Zaczął tedy Giełgud od ataku na prawe skrzydło nieprzyjaciela, każąc wykonywać szarżę jazdy na niedogodnym terenie, miasto zając kawaleryą Rajgród — co później uczynił na własną rękę Dembiński — i rozdzieliwszy siły przeciwnika opanować jego działa wraz z całym taborem. Z tego opóźnienia skorzystał wnet Sacken i zmiarkowawszy, że nietylko Sierakowskiego ma przed sobą, przeszedł most i obsadziwszy wzgórze, wznoszące się za mostem po obu stronach szosy, działami krzyżowym ogniem ostrzeliwał dość długą groblę, jaką koniecznie przebyć należało chcąc bitwie koniec położyć. Nasze działa, ustawione na pozycyi, acz nierównie liczniejsze, nie mogły szkodzić nieprzyjacielowi, zakrytemu wzgórzem i wałem, poprzednio usypanym. Zręczna i z największą śmiałością wykonana z rozkazu generała Dembińskiego szarża szwadronu poznańskiego pod dowództwem pełnego szlachetnej odwagi Franciszka Mycielskiego, poległego w owem starciu, sprawiła przecież, iż odcięto tysiąc kilkaset piechoty, która już przez miasto przejść nie zdołała. Wówczas też i Giełgud po długiej, niepotrzebnej kanonadzie, zdeterminował się za podaną sobie radą obejść lewe skrzydło przeciwnika. Manewr ten szczęśliwie, acz nie bez przeszkody wykonany przez dzielnego majora Jaromę z siódmego pułku, spostrzegł Szymanowski i jakkolwiek nie otrzymał żadnego w tej mierze rozkazu, umówiwszy się z dowódcą artyleryi, Piętką, iż atak jego na most opalisadowany działami popierać będzie, wziął bagnetem ów most. Oba te, w jednym prawie czasie wykonane poruszenia, zmusiły Sackena do opuszczenia nader korzystnej pozycyi i zajęcia

w pewnej odległości innej, równie niemal korzystnej, bo zabezpieczonej błotnistymi łąkami. Wyparowany i z tego stanowiska, czekał jeno Sacken, by działa jego mogły się spokojnie cofnąć i zatrzymał się znów na trzeciej pozycji, podobnej do poprzednich, gdyż tworzyły ją wzgórza, ciągnące się po obu stronach gościńca, otoczone bagnistą łąką i krzakami. Po wzięciu mostu pod Rajgrodem, jeden batalion dziesiętnastego pułku znajdując się na czele dywizji, tworzył jej awangardę. Znajdowaliśmy się właśnie w małej wiosce, w której tuż przy szosie wznosząca się nowa, murowana karczma i niektóre domy wiejskie zasłaniały nas po części od ognia nieprzyjacielskiego, tak działowego jak z ręcznej broni. Rosyanie, choć wnioskować można było, że oszczędzają amunicję, strzelać do nas nie przestawali i tyraliery ciągle ucierali się. Przybył wprawdzie na to miejsce do nas pułkownik Valentin, lecz żadnego nie przyniósł rozkazu i pomówiwszy chwilę z pułkownikiem Szymanowskim, powrócił do sztabu dywizyjnego. Tymczasem już wieczór zapadał a pozostanie w tej pozycji było niemożliwością. Wziął przeto pułkownik dwie kompanie z drugiego batalionu i udawszy się wśród błotnistych krzaków na lewo, wyparował z wsi pobliskiej piechotę rosyjską. W ten sposób znalazł się Szymanowski na prawem skrzydle nieprzyjaciela, który znów począł opuszczać swoją pozycję, zostawiając tylko silną aryergardę za sobą. Forpoczty rosyjskie stały tak blisko naszych, iż bez żadnego wysiłku głosu, można było z nimi rozmawiać. Postępując coraz dalej za Sackeniem, cofającym się ku Kownu, stanęliśmy dnia trzydziestego maja w Augustowie, gdzie zastaliśmy most i wiele domostw spalonych. Gdybyśmy byli — jak to Giełgudowi doradzano — nie na Augustów, lecz wprost na Raczki pomaszzerowali do Suwałk, ścigając ponownie arygardę Sackena, byłibyśmy może w Suwałkach uprzedzili i do reszty zniszczyli korpus jego. Lecz i tu opór Giełguda połączony z opieszałością, przeszkodziły nam w odniesieniu stanowczej korzyści. Od Rajgrodu począwszy aż ku Kownu, idąc za Rosyanami, nie

spotkaliśmy, śmiało powiedzieć można, wzdłuż traktu, ani jednej wioski, któraby nie nosiła śladów pożaru lub spustoszenia, dokonanego przez nieprzyjaciela. W Suwałkach obywatelstwo i władze proponowały Giełgudowi, aby się w tej miejscowości dni kilka zatrzymał. Mimo bowiem grożącego im niebezpieczeństwa, mieli mieszkańcy Suwałk prawdziwie patriotyczną intencję zasilenia naszego korpusu, odciętego od głównej armii, ubranie, obuwiem, końmi i pieniędzmi. Giełgud wszakże otrzymawszy od pozostałego pod Augustowem podpułkownika Zaliwskiego mylny raport, jakoby dziesięcioletni korpus rosyjski w ślad za nami maszerował i już znajdował się w Rajgrodzie, wydał spieszny rozkaz do wymarszu, nie zostawiając w Suwałkach, jak dwie kompanie piechoty z pułkownikiem Kikiernickim dla przyjęcia tego, coby na prędce dostarczonem być mogło. Kikiernicki również niedługo bawił w Suwałkach, gdyż odbierając od Zaliwskiego alarmujące wiadomości, pospieszył za nami tak szybko, iż czwartego, zda mi się, dnia nas doznał. Co było powodem, iż podpułkownik Zaliwski wyprawiał do nas trwożliwe, bynajmniej nie ugruntowane raporty — tego odgadnąć nie umiem. Gdyśmy już opuścili Suwałki, połączyły się dopiero z nami owe dwie kompanie, pozostawione we Wiznie pod Łomżą. W Kalwarii stanęliśmy dnia pierwszego czerwca i nazajutrz przez Maryampol zaszliśmy do Dzieńcówki. W Maryampolu dowiedzieliśmy się o szczegółach haniebnej śmierci, zadanej przez Moskali wziętemu w niewolę partyzantowi naszemu, majorowi Szon*). Na jednym z po-

*) Major Szon, starszy leśniczy rządowy, wespół z dzierżawcą dóbr skarbowych Pouchetem, wiedli w Augustowskim od pierwszej niemal chwili wybuchu powstania partyzantkę. Gdy oddziały ich wzrosły do kilku tysięcy ochotników, postanowili napaść na pułkownika Anenkowa, stojącego w Maryampolu na czele pułku piechoty i czterech dział. Napad się nie powiódł. Pouchet cofnął się z niedobitkami w lasy, zaś Szon, ranny, dostał się do niewoli. Skazany na szubienicę, był torturowany w najwymyślniejszy sposób, zanim wyrok na nim spełniono a spędzone z miasteczka żydostwo plwało i błotem obrzucało skazańca. (P. W.)

stojów zdarzyło mi się oglądać ciekawe w swoim rodzaju widowisko. Główna kwatera mieściła się w plebanii, tuż przy samym kościele sytuowanej. Był to dzień świąteczny, więc szanowny kapłan, nieszczędzący niczego dla wojska narodowego, otworzył swe spiżarnie, szpichlerz i piwnice, sam zaś poszedł na nieszpory. Na cmentarzu znów rozłożył się batalion siódmego pułku piechoty, którego śpiewacy, podnieceni wytoczoną wódką, zawodzili pieśni patriotyczne przy wtórze muzyki, kłócącej się z odgłosem organów kościelnych. Równocześnie na drugim końcu cmentarza, na stole wyniesionym z plebanii położono młodego krakusa, który ze zgruchotaną nogą ukrywał się przez dni kilka w lesie pod opieką poczciwego wieśniaka i obecnie poddawał się amputacji. Tymczasem w małym ogródku proboszcza, gdzie zaledwo kilkanaście drzewin znajdowało się, zasiadł na bębnach sąd wojenny, który wydał wyrok śmierci na jakiegoś nicponia, naprowadzającego kozaków na okoliczne dwory. Przekonany o winie zbrodniarz, powieszony został natychmiast za bramą cmentarną. Wreszcie zwołana rada wojenna deliberowała w plebanii, czy dywizya ma prosto maszerować ku Kownu za Sackenem, czy też szukać w innym jakim miejscu dogodnej przez Niemen przeprawy... Wszystko to działo się w obrębie mniej więcej dwóchset stóp kwadratowych, wobec czego przyznać trzeba, iż tyle przeciwności na tak małej nagromadzonych przestrzeni, w zwyczajnych czasach niełatwo napotkać można.

Jenerał Dembiński otrzymał przeznaczenie postępowania traktem Kowieńskim za nieprzyjacielem, którego dognanie zdało się już nam niepodobieństwem, zaś główny nasz korpus w dniu piątym czerwca stanął w Giełdudyszkach, położonych nad samym Niemnem. Wysłany celem rzucenia mostu na Niemnie pułkownik inżynierów, Wiszniewski, jeden z najdzielniejszych oficerów owej broni, w ciągu doby i materiały zgromadzić potrafił i most nam wystawił pod wsią Łączką. Przeszedłszy Niemen w dniu szóstym czerwca, pomaszerowaliśmy na noc do wsi Rawdonia, gdzie acz w niemilitarnej

pozycyi, bo lewy brzeg Niemna górował nad naszym obozowiskiem, przepędziliśmy całą noc. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy się czego obawiać, bo Sacken był nadto słaby i zdekurazowany, aby mógł być zaczepnie przeciw nam wystąpić, jednakże pospiech, z jakim most rzucono i korpus nasz Niemen przeszedł, zasługiwałby na pochwałę, gdyby Giełgud — co mu wszyscy sztabsoficerowie radzili — po ściągnięciu do Rawdonia generała Dembińskiego, kazał most rozebrać, zostawiając rozliczne, niepotrzebne i nieuprawnione powózki na lewym brzegu Niemna. Ale Giełgud, który dowody uporczywości dawał w wielu szkodliwych okolicznościach, nie umiał się oprzeć naleganiom tych, którzy go za swoimi konikami, wozikami i furgonikami prosili. Tak więc wkrótce ujrzelśmy za sobą tę samą ilość bagażów, co wprzód a nawet ilość ich codziennie pomnażała się. W Czajkiszkach stanęliśmy siódmego czerwca. Gdybyśmy wcześniej o kilka godzin przybyli do Średnika, co z łatwością wykonać można było, byłibyśmy nad Dubisą zastąpiwszy drogę rejterującemu ku Wilnu generałowi Malinowskiemu, zniósłszy go bez najmniejszej trudności.

Awangarda korpusu naszego przeszedłszy Kiejdany, zatrzymała się i główna kwatera stanęła w tem mieście ósmego czerwca, lecz piechota nasza i artylerya, utrudzone długim pochodem, o milę od Kiejdan, pod jakąś wioską rozłożyły się. W Kiejdanach, które na nieszczęście, jakby złe proroctwo, wszyscy kajdanami nazywali, nastąpiło pierwsze widzenie się Giełguda z Chłapowskim. Tam też przybyli Tadeusz Tyszkiewicz, którego zaraz za prezesa narodowego rządu litewskiego uznano, Gabryel Ogiński, Leon Potocki, Ezechiel Staniewicz, Zaleski Marcin, Jan Giełgud i wielu innych patriotów z rozmaitych stron Litwy. Aż dotąd byliśmy wszyscy tego przekonania, że, jako pierwotnie zamierzano, pomaszerujemy z całą dywizją na Żmudź, gdzie powstanie, zgniecione przeważnemi siłami rosyjskiemi, dogorywało. Moskwa niszczyła tam domy obywatelskie i włościańskie, młodzi i dobytek uprowadzała w głąb caratu, jednych prze-

strachem, drugich rozpaczą i zemstą przenikając. Zebrana w Kiejdanach rada, na której z naszego korpusu byli obecni: generał Dembiński i pułkownik Sierakowski, zdecydowała marsz na Wilno. Na tejże radzie postanowiono, że pułkownik Szymanowski wraz z dziewiętnastym pułkiem wyruszy na Żmudź. Jakoż w nocy z ósmego na dziewiątego czerwca, około godziny drugiej, przywieziony do generała Rolanda rozkaz zalecał natychmiastowe wyprawienie na Żmudź dziewiętnastego pułku piechoty, liczącego po odtrąceniu lazaretowych, zaledwo siedmset bagnetów. Do tego dodano Szymanowskiemu dwa działa sześćofuntowe wraz z dwoma kiesonami amunicji pod dowództwem porucznika Hildebranda. Samemu pułkownikowi, po wyprawieniu kolumny, polecał Giełgud, by przybył do głównej kwatery w Kiejdanach, po szczegółową instrukcję. Instrukcja owa zalecała Szymanowskiemu oczyszczenie Żmudzi z nieprzyjaciela, popieranie organizacji oddziałów powstańczych, wreszcie zajęcie Połagi, gdzie spodziewano się przybycia angielskiego okrętu kupieckiego z bronią i amunicją, przez rząd Królestwa Polskiego zakupioną. Szymanowski przedstawiał, iż z tak małemi siłami, jakie mu przeznaczono, nie będzie mógł spełnić poruczonego mu zadania, oraz, że ukazanie Żmudzinom tak błahego posiłku, w chwili, gdy oczekiwali całej dywizji Giełguda, nietylko nie doda im odwagi, lecz owszem osłabi nadzieje i energię powstańców. Żądał przeto dodania mu choćby jednego szwadronu kawaleryi oraz więcej amunicji, której, jak się dowiedział od Staniewicza, powstańcom nie dostawało. Próżne atoli były nalegania i przełożenia Szymanowskiego, czynione wobec licznych świadków. Giełgud, zajęty wyłącznie swą wyprawą na Wilno, wszystkiego mu odmówił i zaledwo zgodził się na dodanie pułkownikowi ośmiu ułanów, bez trębacza, z trzeciego pułku i to na najgorszych koniach, kapitana z tegoż pułku oraz porucznika jazdy ze sztabu, zdaje mi się, generała Dembińskiego. Nie zawadzi tu wspomnieć, iż sam pułk dziewiętnasty nie mógł się liczyć za starego i dobrze wyćwiczonego żołnierza liniowego, boć od pierwszej chwili organizacji tegoż

pułku nie stało na to czasu. Pułkownik nasz, acz przewidywał smutną bezskuteczność owej wyprawy, nieznając wszakże długich targów tam, gdzie wypadało poświęcić nie tylko swoją egzystencję, ale nawet, choćby i przyszło ryzykować, swoją reputację w usługach ojczyzny, podążył za swym pułkiem, który dogonił pod Eyragołą. Przenocowawszy w Eyragole, dokąd też nadciągnął był lazaret z Radwonia, zabraliśmy wszystkich lazaretowych do dziewiętnastego pułku należących, w liczbie stu dwudziestu i kilku. Ulokowaliśmy ich w Bilewiczach pod Rosieniami w obszernym gmachu, ustąpionym na ten cel przez pełną patryotyzmu i ludzkości żonę czcigodnego Staniewicza. Pani ta, dzieląca heroiczne uczucia męża, raczyła być szarą siostrą owego szpitala, dozorowanego przez naszego sztablekarza. Wybaczenie mi tu szlachetne Żmudzinki i wy szanowni Żmudzini, powróceni pod jarzmo prześladowcze, jeżeli zamilczę nazwiska poświęcających się dla ojczyzny i ludzkości. Nie chcę pomnażać nieszczęsnych ofiar i tak nader licznych świętego waszego patryotyzmu. Powiem więc tylko, iż przyjęcie, jakiego doznaliśmy wylanem sercem, które po tylekroć rozrzewniło dowódcę naszej wyprawy, nieraz i moje, acz trudne do płaczu oko łzą zrosiło. Mniej doświadczony i nieumiejący przewidzieć przyszłości, dziwiłem się wprawdzie, gdy za każdym przychylnem przyjęciem ze strony obywateli, bo innego na całej Żmudzi nie doznaliśmy, zamiast rozkoszy i ukontentowania dostrzegać się zawsze prawie dawał smutek na twarzy Szymanowskiego. Pomnę, jak dziś, gdy jeden z wyższych oficerów naszego pułku, ucieszony rzucanymi nam pod nogi kwiatami, zapytał komendanta, aż do łez rozrzewnionego:

— Jaki pułkownik? My po kwiatkach, po różach, stąpamy a ty się smucisz i łzy ronisz?

Odpowiedział mu na to Szymanowski:

— Pan nie widzisz, że uwagi mojej nie uchodzą nie tylko różę, ale i kolce pod niemi ukryte...

Utkwiła mi w pamięci ta odpowiedź, której znaczenie dopiero po ostatniej bitwie pod Szawlami i po rozdziale na-

szych korpusów w Kurszanach zrozumiałem. Śpiewy ludu żmudzkiego, choć dla nas niezrozumiałe, lecz tchnęły taką harmonią i słodyczą, iż słysząc je nie można się było nie zastanowić i nie zachwycać się. Pamiętam, jak raz podczas marszu przechodząc przez łąkę, przegrodzoną kępami brzoź i olch, ujrzeliśmy nagle, o jakie sto kroków od drogi, trzy czy cztery biało ubrane wieśniaczki, które jakąś tęskną piosnkę harmonijnie nuciły. Miała to być, jak się później od Żmudzinów dowiedzieliśmy, dawna pieśń rycerska, pochodząca jeszcze od wajdelotów. Śpiew ten sprawił na nas wszystkich bardzo przyjemne wrażenie. Radzi byliśmy go słuchać jak najdłużej. Wszyscy postępowaliśmy w milczeniu, które dla śpiewu starczyło za najwymowniejszą pochwałę.

W Rosieniach zatrzymaliśmy się trzy dni oczekując na zbierające się w różnych stronach powiatu oddziały powstańcze, oraz na oddziały z powiatu telszewskiego, trzymające się jeszcze po lasach. Przeważną bowiem część tego powiatu zajmowali Rosyanie, podczas gdy powstańcy blokowali Telsze, których strzegł garnizon rosyjski, złożony z kilkuset ludzi piechoty oraz z dwóch dział. Te wszystkie oddziały, których przegląd odbywał się w Rosieniach, pozostawały pod naczelnem dowództwem Ezechiela Staniewicza. Liczyły one co najwyżej po kilkadziesiąt ludzi piechoty lub jazdy, lichy i wielorako uzbrojonych, nędznie ubranych i bynajmniej nie wyćwiczonych. Oddziały, stojące do przeglądu wobec Szymanowskiego, szykowały się przed nim zazwyczaj w jeden szereg. Uzbrojenie pieszych oddziałków, liczących zwykle pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu ochotników, składało nie więcej jak dwadzieścia sztuk palnej broni, wśród której obok kilku pięknych dubeltówek i karabinów kalibrowych, znajdowały się też fuzyjki do drobnego śrutu, zwane ptaszniczkami, parę kniejówek lub szturmaków o wielkim wylocie tudzież o zamkach zardzewiałych, powiązanych szpagatem, o łożu poklejonem lub pogruchotanem. Reszta ochotników uzbrojona była w stare kosy, piki, bagnety lub noże, osadzone na kiju. Jazda nielepszemu posiadała uzbrojenie. Na pięćdzie-

sięciu powstańców wypadało zaledwo dziesięć pałaszy, drugie tyle różnokalibrowych karabinków, kilkadziesiąt pistoletów, nie wspominając już o koniach, najrozmaiciej osiodłanych. Żaden też jeździec nie posiadał lancy a choć później za staraniem Szymanowskiego dostarczono im tej broni, to przecież powstańcy, uważając lancę jako niedogodną dla nich, rzucali ją lub łamali. Najgorzej było wszakże z amunicją. Żaden z oddziałów nie posiadał więcej jak dziesięć ładunków na głowę, a trafiali się ochotnicy, pozbawieni wszelkiego zapasu prochu oraz kul. Zaopatrzenie tych ostatnich było o tyle trudniejsze, ile że posiadali broń najprzeróżniejszego kalibru, wszelkie zaś usiłowania naczelników powstania, których gorliwości i ofiarności żadnego zarzutu uczynić niepodobna, nie mogły nam ani dostarczyć potrzebnej ilości broni oraz amunicji, ani też wiele czynić nadziei, abyśmy ich dostateczny zapas wkrótce uzyskać mogli. To też gdy dzięki niez mordowanej gorliwości Staniewicza udało się nam wydostać pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt funtów różnorodnego prochu, przemyconego z Prus i płaconego co najmniej po rublu srebrnym od funta, natenczas taka dostawa była dniem rozkoszy i tryumfu dla nas wszystkich. Sprowadzono nam także do Rosień dwa stare, odkopane działa żelazne, niezłe zaprzężone i jedno działo spiżowe, już przez powstańców ulane, które wszakże, jak się to później okazało, było nie do użycia i tylko na optykę służyło. Każde z tych dział zaledwo po kilkanaście ładunków miało a naszych pocisków niepodobna było do nich zastosować. Nadto usługa przy owych armatach nie była odpowiednią, mimo dobrej woli kilku akademików, którzy ją objęli. Trzeba więc ją było zupełnie zreformować, przykomenderować od naszej artylerji podoficerów i kanonierów jako instruktorów, choć sami nie mieliśmy ich podostatkiem.

Kto wie, ile szczegółów potrzeba, aby postawić na stopie wojennej, nie mówię już żołnierza, ale wieśniaka wprost ze wsi przywiedzionego, którego dziś zaraz uzbroić i na plac boju wyprowadzić należy, ten zrozumieć zdoła, jak

wielką ofiarę ponieśli Żmudzini, biorąc się do oręza wtedy, gdy nawet przewidzieć nie mogli, czy i jak prędko z Królestwa Polskiego podaną być im może pomocna dłoń.

Język żmudzki między ludem w tych prowincjach upowszechniony a zupełnie dla Polaków niezrozumiały, był powodem, iż odkomenderowani do oddziałów żmudzkich instruktorowie nie mogli się co do nauki obrotów wojskowych porozumieć z powstańcami. — Lubo Szymanowski zawsze prawie nie przyjmował zaproszeń na wszelkie festyny i obiady, ofiarowane nam bardzo często, tłumacząc się brakiem drogiego czasu, to przecież byłem świadkiem jak w Rosieniach, w obszernym klasztorze, gdzie przygotowany był dla wszystkich oficerów polskich festyn, obecne damy ofiarowały naszemu pułkownikowi i Staniewiczowi szarfę tudzież wieniec, którym skronie ich uwieńczyć pragnęły. Wziąwszy szarfę odmówił wszakże Szymanowski przyjęcia wieńca, oświadczając, iż przybyłe na Żmudź wojsko polskie musi wprzód krwią swoją zrosić tę ziemię, zanim nabędzie prawa do laurów... Dwunastego, czy trzynastego czerwca, zabrawszy z sobą powstańców, przeszliśmy Dubisę w okolicy Plemborka. Miejscowość ta pamiętną będzie dla Żmudzi z powodu okrucieństwa, jakiego się w niej dopuścił pułkownik rosyjski Bartholomé. Ciągnąc od strony Połagi, zaproszony on został przez właściciela miejscowego do dworu na śniadanie, w czasie którego oddział żmudzkich powstańców niespodzianym napadem przepłoszył biesiadników. Przerażony Bartholomé tyłami ogrodów opuszcza pałac, jeden z najokazalszych gmachów w całej okolicy i ucieka do swego obozu w tem przekonaniu, iż zaproszenie owe było zasadzką, zgotowaną w celu jego pojmania przez powstańców, chociaż gospodarz domu nie zażywał bynajmniej reputacji patrioty. Zmoskalony Włoch postanowił się zemścić. Jakoż niebawem powrócił z swym oddziałem a nie zastawszy dziedziców w domu, kazał cały pałac obłożyć słomą i podpalić, zabraniając wywypuszczać kogokolwiek z płonącego budynku. Na szczęście domownicy z dziatwą zdołali ująć niespostrzeżenie, podczas

gdy guwerner, francuz czy niemiec z pochodzenia, opóźniwszy się nieco, skłuty bagnetami przy wyjściu z pałacu i wrzucony w ogień przez żołnierzy, zginął śmiercią męczeńską.

Zatrzymawszy się na krótki wypoczynek w Szydłowie, pomaszerowaliśmy do Cytowian w powiecie Telszewskim. Tam znaleźliśmy gorliwych naczelników powiatu: Franciszka Szemiota i Herubowicza, których uwielbienia godne poświęcenie sprawie ojczyściej, nigdy dostatecznie ocenionem być nie może. Przedstawili oni dowódcy naszemu swe oddziały. Co do piechoty, w tej z małą bardzo różnicą te same zalety i wady co i w Rosieniach dały się spostrzegać. Jazda, dowodzona przez Herubowicza, miała za instruktora Jana Grzymałę ze szkoły strzelców gwardyi polskiej. To też kilka szwadronów, które stanęły do przeglądu w Cytowianach, znaleźliśmy uszykowane i podzielone, jak się należy i mające uż pewne wyobrażenie o obrotach kawaleryi. Co do uzbrojenia jednak, umundurowania i osiódłania, bardzo wiele ten oddział pozostawiał do życzenia, podobnie jak co do amunicyi, której zapas nic nie znaczący powstańcy posiadali. Ochotnicy w Cytowianach nie mieli również lanc, więc wobec braku pałaszy oraz ładunków, zalecił pułkownik Szemiotowi, aby jak najspieszniej u kowali okolicznych kazał kuć groty. Gdyśmy oddalili się z Rosien przyrzekł nam Staniewicz nadesłać, ile będzie mógł, koni do dział naszych, których zaprzęgi potrzebowały wymiany, oraz dla tak zwanej, starej jazdy, złożonej z ośmiu ułanów, nie mniej wiele innych rzeczy, ubrania, obuwia, tudzież bielizny. Nadsyłał on to wszystko do Cytowian, po części, ale nigdy stosownie do potrzeb naszych. Dzięki też jego oraz obywateli rosieńskich ofiarności, otrzymaliśmy zaległy żołd za pół miesiąca, gdyż płatnik pułku dziewiętnastego, wysłany z Kałuszyna po pieniądze do Warszawy, już do nas przedostać się nie zdołał. Szemiot i Herubowicz, obaj naczelnicy powiatu szawelskiego, acz w przeważnej części zniszczonego przez Rosyan, nie dali się przewyższyć w gorliwości o dobro polskiego żołnierza i dostarczyli nam żołdu za następną połowę miesiąca.

Szymanowski znosił się codziennie z naczelnikami żmudzkich powiatów w sprawie pomnożenia siły zbrojnej, dostarczenia broni, amunicji i koni dla formujących się oddziałów. Dowiedziawszy się w tymże samym czasie o przybywających do Giełguda i Chłapowskiego oddziałach powstańczych z różnych stron Litwy, z których jeden, najliczniejszy, przywiódł Brochocki, podkomendny naszego pułkownika jeszcze z czasów księstwa warszawskiego, umyślił Szymanowski wydać list okólny do szlachty żmudzkiej, wzywający ją do formowania osobnego pułku szlacheckiego. Ubolewać mi tu przychodzi, iż z listu takowego, którego wyjątki z ust do ust krążyły, bo pełne były energicznych wyrażeń, ubolewać, mówię należy, iż nie został mi w pamięci, jak ten jedyny ustęp:... Z zapalem i z zaciętością walczyła niegdyś młodź grecka o odzyskanie broni po Achillesie, a was że to zachęcać trzeba do ofiar, gdy chodzi o odzyskanie bytu i swobód narodowych?....

Organizację formującego się pułku oddał Szymanowski Kazimierzowi Narbutowi, dawnemu wachmistrzowi szwoleżerów gwardyi napoleońskiej, który rzuciwszy liczną rodzinę i piękny majątek w okolicy Szawel położony, poświęcił się w zupełności na usługi ojczyzny. Kto był świadkiem gorliwej i nieustannej pracy Szymanowskiego, który najmniejszego szczegółu nie opuszczając, sam wszystko działał, sam rozkazy wydawał i czuwał zarazem nad ich wykonaniem, nie mogąc polegać na podwładnych niezbyt doświadczonych, a prawdę mówiąc, nie mając nikogo, kimby się mógł wyręczyć; kto był świadkiem, jak dzień i noc trudnił się pułkownik wszelkimi szczegółami powierzonego mu dowództwa, kosztem własnego spoczynku; kto znać mógł, ile przeszkód, ile bolesnych dolegliwości miał on do zniesienia nawet we własnym pułku; kto znał zły stan jego zdrowia i ciągłe cierpienia, jakim podlegał: — ten tylko wyobrazić sobie potrafi, jak dalece w duszy szlacheckiej działać może miłość ojczyzny i przywiązanie do należytego spełniania przyjętych obowiązków!

W Cytowianach urządziwszy, o ile czas pozwolił, wiele bardzo szczegółów, tyjących się ogólnego dobra powstania, przyzwał Szymanowski rodzaj rady wojennej, złożonej z naczelników oddziałów powstańczych, celem zastanowienia się nad sposobami dalszego działania. Zapytał przeto zebranych, czy sądzą za stosowne wprost iść na Połagę, by sprawdzić przybycie okrętu, wiozącego broń i amunicję, zakupione przez rząd Królestwa Polskiego, czy też zacząć od -oczyszczenia powiatu telszewskiego z nieprzyjaciela celem ułatwienia dalszej organizacji powstańczej? Wszyscy prawie obecni oświadczyli się, aby zająć wprzód Szawle, gdzie miał się znajdować słaby garnizon, który, jak sądzono, po ukazaniu się wojska regularnego dłużej oporu stawiać nie będzie, zaś w Szawlach spodziewano się zastać znaczniejsze zapasy broni, amunicji, płótna, tudzież potrzeb lazaretowych. Na razie więc do Połagi zdecydowano wysłać sekretnych emisaryuszów dla zasiągnięcia wiadomości o zapowiedzianym okręcie a na wypadek ukazania się onego, mieli owi wysłańcy porozumieć się z kapitanem statku co do sposobu sprowadzenia jego ładunku na brzeg, albowiem Połaga, od czasu zasypania portu przez Szwedów, nie dawała na odległości blisko dwóch mil, przystępu do swych brzegów żadnemu statkowi kupieckiemu. Zresztą mało kto i wierzył w pojawienie się obiecane statku pod Połagą wobec krążących od wiosny po morzu bałtyckiem wojennych okrętów rosyjskich. Takto obok wielu przeszkód w prowadzeniu wojny tak w tej prowincyi, jak w całej prawie Polsce, istniała też trudność zasięgania wiadomości o istotnym stanie sił nieprzyjacielskich. Żydzi, którzy do tego rodzaju usług byli najzręczniejsi, niepomni przytułku, jakiego od wieków w kraju naszym doznawali, byli nam zupełnie nieprzychylni i albo nam źle służyli, albo też wręcz nas zdradzali. Prosty chłop bojaźliwy, acz przychylny nam, nie przynosił jak czcze i mylne wiadomości. Nieumiejąc bowiem obliczyć siły nieprzyjaciela, najczęściej przesadzał jej rozmiary, biorąc często kroć wozy za działa i t. d. Wyższa wreszcie klasa mieszkań-

ców a osobiwie szlachta, niepodejmowała się podobnych usług, uważając je jako ubliżające honorowi i uczciwości, a gdy przez gorliwość patriotyczną dawała nam jakąś wiadomość, ta częstokroć niedość dokładna, wzbudzała w nas niepewność dawania onej wiary. Słowem na chlubę charakteru narodowego powiedzieć można, iż mimo usiłowań Rosyan, dążących przez zaprowadzenie licznej, tajnej policyi do zdemoralizowania Polaków, posługi tego rodzaju, acz w podobnem, wojennem położeniu niezbędnie użyteczne i potrzebne, były jak najtrudniejsze do uzyskania. Wysyłane znów pojazdy i rekonesanse, powierzane młodym i niedoświadczonym oficerom, gdyż biegłych w naszym przynajmniej korpusie bardzo mało liczyliśmy, przynosiły nam obojętne, egzagerowane lub mylne wiadomości. Gdy do tego jeszcze dodamy niemożliwość wydostania militarnej mapy krajowej, któraby nas szczegółowo o rozmaitych miejscowościach oświecić mogła, gdy przypomniemy czytelnikom niezrozumiałość języka wśród ludu wiejskiego rozpowszechnionego, brak uzbrojenia, amunicyi oraz rozmaitych potrzeb wojennych, — trudno im będzie niepojąć, iż wiele napotkaliśmy przeszkód do korzystnego prowadzenia wojny. Przeciwnie, Rosyanie zakupując hojnie przychylność żydostwa, niosąc postrach pożaru, rabunku, zniszczenia i uprowadzenia w głąb caratu wszystkich sprawie ich nieprzychylnych, ciągnąc pomoc z obszernego i zamożnego państwa, lub otrzymując wszelkie zapasy z Prus, które dla nich stawały się bezpiecznem schronieniem w razie grożącego niebezpieczeństwa, znajdowali się w położeniu o wiele od nas korzystniejszym.

Napróżno Anglia rozbierając w izbach swoich okropności w Polsce przez Rosyę wyrządzone, odzywała się głosem ludzkości i obrażonego honoru. Napróżno Francya głosiła sympatyę narodową dla naszego nieszczęśliwego ludu. Napróżno dobierali członkowie izb francuskich ze swego dykcjonarza wyrazy dla zapewnienia, czy pewności, (*l'assurance*

ou la certitude), iż narodowość polska nie upadnie*). Wszakto nieźle powiedziano, iż narodowość posiada dotychczas ród Izraela, choć ani trafić do ziemi swojej, ani jej na własność posiąć nie może. Nikt się nie wdawał w sprawę Polaków, gdy ci jeszcze broń w rękę dzierżyli, chociaż wyprawienie skombinowanej floty na wody morza Bałtyckiego, jaka taka demonstracya potęgi morskiej w chwili, gdy wojska polskie posiadały jeszcze energię, byłyby cały stan rzeczy w sprawie naszej odmieniły. A jeżeli tylko samą drogą dyplomatyczną negocyować wypadało, czyż dobro ludów, tak przychylnych naszemu narodowi, jakoteż powodujących się samą sprawiedliwością i ludzkością, nie podawało gabinetom jawnych i niezaprzeczonych pretekstów, do wezwania cesarza Mikołaja, aby wyparowane z Królestwa za Bug wojska swe wstrzymał, jako mogące rozszerzyć po całej Europie przyniesioną aż z nad granic Persyi cholere? Czyż monarchowie Austrii i Prus, niechętni rozlewowi krwi i uwielbiani od ludów swoich, nie mogli, nie powinni byli wdać się między ciemnych a uciemionych, bez obawy postradania przywłaszczonych dawniej prowincyi polskich? Lecz woleli oni dopuścić, iżby epidemia cholery, rozniesiona po obszernych ich państwach, umorzyła raczej kilkakroć sto tysięcy mieszkańców, niżby samem oświadczeniem chęci wdania się w sprawę polską, mieli sobie narazić samodziernę wszech Rosyi, który też korzystając z uległości gabinetów europejskich, coraz większe pod względem politycznym zdradza wymagania. Wszystko, co dzisiaj za Polakami pisze się i mówi, jest bezsilnem, próznem drażnieniem miłości własnej

*) W odpowiedzi na mowę tronową, jaką Ludwik Filip zagaił w lecie 1831 r. obrady izby prawodawczej, paryskiej, domagali się Lafayette tudzież Bignon umieszczenia ustępu, opiewającego w te słowa: »We wzruszających słowach W. K. Mości o nieszczęściach Polski izba szczęśliwą jest znaleźć pewność, niezmiernie dla niej drogą, iż narodowość polska nie zginie«... Wzmianka ta wszakże wydała się nazbyt śmiałą doradcom korony, którzy po burzliwej a przewlekłej rozprawie wyraz pewność, (*certitude*) grożący, ich zdaniem, wojną europejską, zdolali zastąpić: rękojmą, (*l'assurance*), — (P. W.)

i co zatem idzie, zemsty zawziętego Mikołaja, jest raczej pomnażaniem polskich ofiar, jak pomocą w ich nieszczęsnej doli. Dopóki dzisiejszy system i zasady ministerstw przewagę mieć będą, dopóty wszelki głos reprezentacji ludów będzie dla nas nieużytecznym a nawet szkodliwym. Nie rozpaczajmy wszakże! Przyjdzie jeszcze a może i niezbyt daleką jest chwila, w której między najzaciętszymi nieprzyjaciółmi Polski wybuchną niezgody i wojna a wówczas ci, którzy dziś są Polsce najbardziej nieprzychylni, podadzą nam dłoń pomocną i jeżeli nie w imię sprawiedliwości, to dla własnego interesu przywrócą byt narodowi polskiemu.

Lecz zanadto odbiegłem od zamierzonego celu. Czas nam na Żmudź powrócić...

Szymanowski powziąwszy wiadomość, jaką mu byli w stanie dać obywatele o położeniu Szawel oraz o poczynionych w nich przez Rosyan fortyfikacjach, nie spuszczał się przecież na relacje, jakie mu składano o sile garnizonu tego miasta i na dwa dni przed atakiem Szawel, wyprawił z swego ramienia oddzielnych dwóch emisaryuszów. Jeden z nich, mniej zręczny, złapany przez Moskali, skończył na szubienicy, drugi, wzięwszy z góry zapłatę, wcale do nas nie wrócił.

Od strony, od której atakowaliśmy Szawle, na prawo od miasta istnieje obszerne jezioro, którego błotniste brzegi tak daleko się ciągną, iż chcąc się skomunikować z rogatki podubiskiej, od strony, którąśmy się zbliżali, z oddziałem znajdującym się za rogatką ku Radziwiliszkom wiodącą, a nie mogąc przejść przez środek miasta, należało okrążyć całe jezioro, co nakładało zwyż mili drogi. Obok tego jeziora oddzielone wąską, długą groblą, rozlewało się drugie jezioro. Przejścia przez ową groblę, broniły: usypana tuż pod samem miastem na wzgórzu bateria, tudzież turma murowana. Od strony Radziwiliszek nie podobna było zatem atakować Szawel, gdyż bateria dopiero co wspomniana, panowała nad całą okolicą i nad obydwo ma jeziorami. Działa jej skutecznie mogły sięgać nawet do przystępu od frontu miasta, wzdłuż którego usypany wał, poczynione u wylotów ulic przekopy

i barykady, stawały Szawle w dość warownym stanie. Na lewo od miasta zamykała linię obronną druga bateria, również na wzgórzu sytuowana. Panowała ona nad całą okolicą z frontu i z lewej strony miasta, sięgając swemi działami aż do szosy podobiskiej i zasłaniała drogę ku Kurszonom wiodącą, mogąc przytem w każdej chwili ostrzeliwać tyły miasta, gdyby je miano atakować od strony Myszkuc. Ponieważ z wieży kościoła szawelskiego można było rekonoskować bardzo daleko naokoło przybywających, przeto umyśliliśmy nad ranem atak nasz rozpocząć. A że wegetacja w tej okolicy odznaczała się wielką bujnością, przeto w łąkach żyta, dochodzących w niektórych miejscowościach do okopów miejskich, skryć się mógł bezpiecznie nasz żołnierz. Osłona ta wszakże, która wprawionemu do boju wojsku mogła podczas ataku znakomite oddać usługi, sprawiła przeciwny i szkodliwy skutek u naszego, niedoświadczonego żołnierza. Zaledwie bowiem ozwały się działa nasze i rozpoczęła się palba karabinowa, gdy znaczna część żołnierzy atakujących poczęła szukać ochrony w wybujalym zbożu, albo też unikając śmiałego natarcia, kładła się na ziemię i strzelała na oślep, tak iż nasi oficerowie narażeni byli w każdej chwili na śmierć z ręki własnych podkomendnych. Dodać tu należy, iż Szymanowski będąc jeszcze oddalony o dwie mile od Szawel, wysłał pod komendą dawnego majora Wagnera i zaszczytnie znanego partyzanta, Gasztowta, oddział powstańczy, dodając mu jedno działo żelazne oraz pluton piechoty z pułku dziewiętnastego, dowodzony przez porucznika Tybusiewicza, jednego z najdzielniejszych oficerów tegoż pułku. Oddział ten miał rozpocząć fałszywy atak od strony tak zwanego duktu rykijowskiego, czyli od rogatki radziwiliskiej, zaś jedna jego część, wiedziona przez Tybusiewicza, miała by zastąpić drogę nieprzyjacielowi, w razie gdyby wyparty z miasta cofał się ku Myszkuciom. Zaledwo wszakże major Wagner znalazł się na wzgórzu opodal od miasta, którego działo jego jeszcze dosięgnąć nie zdołało, gdy rozpoczął na prawem skrzydle, o wschodzie słońca

atak, choć Szymanowski zaledwo zdążył rozstawić ukryte w zbożu oddziały, mające atakować Szawle z frontu. Przy-
pomnę tu nawiasem czytelnikom, że pułk dziewiętnasty nie
liczył jak siedmset kilkadziesiąt żołnierza i to nie ze wszyst-
kiem wymusztrowanego, nie mogącego się nazwać starym,
doświadczonym żołnierzem, zaś piechota powstańcza, której
mieliśmy z górą dwa tysiące, niezdolna do utrzymania szyku
bojowego, mogła być tylko rozsypaną w tyraliery z doda-
niem jej gdzieś oficerów, sierżantów i żołnierzy regu-
larnego wolska. Owe to cząstkowe komendy zmniejszyły siły
naszego oparcia i rezerwy. Usłyszawszy przedwczesne strzały
armatnie kolumny Wagnera, nieprzyjaciel przebudzony stanął
w pogotowiu do obrony. Garnizon szawelski składał się
z czterech batalionów starego żołnierza. Komendantem miasta
był pułkownik Mack, czy też Kotrzebue. To tylko wiem, iż
obaj pułkownicy byli tam obecni. Szymanowski, uprzedzony
przez okoliczne obywatelstwo, iż załoga będzie dawać słaby
opór albo też za zbliżeniem się dział tudzież wojska regular-
nego broń złoży, zamierzał zdekontenansować z miejsca
nieprzyjaciela kanonadą, poczem chciał gwałtownie wtargnąć
do miasta pryncypalną roгатką od Podubisy wiodącą. Jakoż
zaledwo wydał rozkazy, co ma czynić lewe skrzydło, dowo-
dzone przez dzielnych naczelników powstańczych, Herubo-
wicza i Szemiota, pospieszył sam przed front a zastawszy
działa porucznika Hildebranda odprzodkowane, kazał z nich
natychmiast dać ognia i stanąwszy na czele swej pryncy-
palnej siły, uderzył na roгатką podobiską. Bądźże nieprzy-
jaciel, obserwujący z wieży kościelnej, dostrzegł, z której
strony atakuje główna nasza kolumna, bądź też, że planem
jego było punkt ten szczególnie mocno obsadzić, dość, że
znalezliśmy tam jedno działo oraz liczną piechotę, która
ukryta za wałami, w domostwach i w stodołach, dzielnie
broniła przystępu. Gdy pierwszy atak okazał się bezsku-
tecznym, pułkownik Szymanowski. cofnąwszy się z pod
rogatki, kazał wyrzutować działa na domy, z których Ro-
syanie razili szturmujących i wzięwszy jedną kompanię z re-

zerowego batalionu, wdarł się z nią tyłami między domy i stodoły przedmiejskie. Kilka tych budowli udało się nam podpalić i wyparować z nich nieprzyjaciela, więc po raz wtóry spróbowaliśmy ataku od frontu. I ten szturm z straciami odparty został a równocześnie na lewym skrzydle dzielny Herubowicz, ciężko ranny, odstąpić musiał z placu boju. Wówczas Szymanowski posłał rozkaz do swych furgonów, by spieszenie przybywały po rannych a równocześnie dał polecenie majorowi Wagnerowi, by skutecznie odwrót i połączył się z porucznikiem Tybusiewiczem. W tem koło południa zoczyliśmy, iż Rosyanie niektóre domostwa opuszczają, inne znów zapalają, co zwykli byli zawsze czynić cofając się z zajętej pozycji. Dowódca nasz, acz komenda jego była już znacznie osłabiona, postanowił raz jeszcze na miasto uderzyć a lubo na niedoświadczonej i źle uzbrojonej jeździe powstańczej niewiele mógł polegać, wyprawił przeciw dwa jej szwadrony na lewe skrzydło, dodawszy im jedno działo żelazne pod osłoną plutonu piechoty. W ten sposób nie mogąc liczyć na pewny skutek ponownego ataku, chciał Szymanowski zyskać przynajmniej na czasie, by doczekać się nadejścia furgonów i umożliwić odwrót oddziałom bardziej oddalonym. Tymczasem wysłane na lewe skrzydło działo nie doszło na miejsce przeznaczenia, gdyż zagrzezło na błotnistej łące, nie ostrzelana w boju jazda nie mogła się wdrzeć do miasta a i trzeci z rzędu szturm, wiedziony przez samego pułkownika, został ze stratą odparty. Nie było więc innej rady, jak zabrawszy rannych na wozy, które wreszcie nadciągnęły, rozpocząć odwrót, skutkiem nieładu naszego wojska oddawna już sam z siebie skuteczniany. Kilkunastu jeńców oraz trzysta rannych i zabitych po stronie rosyjskiej, to była cała korzyść owej wyprawy, która nas około pięćciuset ludzi w poległych, rannych oraz wziętych do niewoli kosztowała. Odwrót nasz, wyznaczyć muszę, odbywał się w nieładzie. Parę kompanii dziewiętnastego pułku stanowiło główną osłonę naszej artylerii oraz całego korpusu, zaś jazda jako tako w porządku rejterowała. Nieprzyjaciel

nie ścigał nas dalej jak pół mili od miasta z dwoma batalionami piechoty, z dwoma działami i w kilkadziesiąt koni jazdy, bo jej więcej nie posiadał. Nie godzi się przepomnieć, bo wszyscy byliśmy tego naoczniymi świadkami, iż Szymanowski prowadząc osobiście każdy atak, w rejteradzie był prawie ostatni. Opatrzność tylko sama mogła go zasłonić od rany lub śmierci. Jakoż płaszcz pułkownika stał się niemal historycznym, gdyż przeszło go sześć kul karabinowych oraz jeden kartacz.

Ściągnąwszy wszystko wojsko po za Dubiszę wypoczęliśmy, zostawiwszy silną aryergardę u mostu, w punkcie, gdzie się gościniec rozchodzi ku Szawłom i Kurszanom. Dowódca tego oddziału, kapitan Falkowski, otrzymał rozkaz pozostania na miejscu aż do wschodu słońca dnia następnego. Tymczasem korpus nasz wraz z rannymi pomaszerował do Cytowian, gdzie Szymanowski spodziewał się, iż będzie atakowany, gdyż Rosyanom przybyły znaczne posiłki od strony Kurlandyi i Połagi. Zajęto się więc czynnie obwarowaniem miasta, w którym pragnęliśmy się utrzymać aż do chwili nadejścia wiadomości o wypadkach pod Wilnem, tem bardziej, iż w Cytowianach był nasz lazaret tudzież lejarnia kul. Ołowiu podostatkiem mieliśmy z kanału Dubissy i spodziewaliśmy się wkrótce znaczniejszego transportu prochu, po który Staniewicz wyprawił zaopatrzonych w pieniądze emisaryuszów. Zepsutą broń powstańców, która okazała się po wyprawie szawelskiej do użytku nie przydatną, odesłaliśmy do pracowni w Rosieniach, urządzonej przez Staniewicza a częścią też ściągnąwszy z okolicy ślusarzy, naprawialiśmy ją w Cytowianach, pod dyrekcją czynnego i zdolnego majora Wagnera. W ciągu dni kilku mieliśmy ze dwakroć sto tysięcy ładunków, przygotowanych tylko na nadejście prochu. W braku pocisków działowych robiliśmy kartaczowe naboje z kul karabinowych; rasy do nich dostarczały nam panie z sukien merynosowych, między którymi trafiały się takie, które ani razu nie były noszone. Komitet pań opatrywał też najstaranniej nasz lazaret. Lekarstw

dostarczały apteki okoliczne a lekarze tak wojskowi jak cywilni, emulowali w gorliwości i w poświęceniu. Ukazała się także między wojskiem i włością cholera. Dla dotkniętych epidemią kazał Szymanowski urządzić osobny lazaret i po parę razy dnia każdego odwiedzał chorych i rannych, umieszczonych w osmnastu budynkach. Główny szpital istniał w obszernym klasztorze bernardyńskim, który zaopatrzone w bankiety i w strzelnice na wypadek napadu. Dni kilka zeszło nam na przygotowaniach do obrony oraz na musztrze i ćwiczeniu nowozaciężnych a tymczasem Rosyanie mszcząc się za napad na Szawle, wywierali zemstę na okolicznych mieszkańcach, rabując i paląc wszystko bez litości. Nieustanne skargi i wzywanie o pomoc, obijały się o uszy i dręczyły naszego dowódcę, który nie posiadając sił dostatecznych, nie mógł złemu zaradzić. Widziałem w oczach jego łzy, gdy jeden z zniszczonych przez Rosyan obywateli z żalem, litości godnym, mówił do Szymanowskiego:

— Dopóki panowie nie przybyliście z Królestwa, dopóki nie rozjątrzyliście Rosyan do ostateczności, dopóty, choć nas najeżdżano i rabowano, przecież nie niszczone z gruntu, nieuprowadzano bydła, nie zabierano młodzieży naszej, która dziś już w lasach znaleźć nie może schronienia. Cóż teraz pocniemy? Czem popierać będziemy sprawę naszej niepodległości? Czem was wyżywimy, gdy zniszczeni zupełnie sami z głodu umierać będziemy przymuszemi...

Jak boleśnemi były dla nas wszystkich a tem bardziej dla dowódcy te skargi z wyrzutami połączone, ten tylko zrozumie, kto oglądał gorących tych patriotów tułaczami bez dachu i przytułku. Czcze pociechy nie zdołały zadowolnić cierpiących, ani szkód wynagrodzić a niesienie pomocy lub użyczenie osłony uciemienionym przechodziło naszą możność. Znaczna przecież część obywateli zniszczonych, albo też zbiegłych przed pomstą Rosyan, zebrała się wówczas w Cytowianach. Szymanowski umyślił z pory korzystać i rozesławszy cyrkularz do obywatelstwa wszystkich trzech

źmudzkich powiatów a mianowicie: rosieńskiego, telszewskiego i szawelskiego, wezwał je na zjazd do Cytowian celem ustanowienia sprężystszeo i jednolitego rządu. Dotąd bowiem naczelnicy powiatowi byli niezależni i tylko gorliwość ich o dobro ogółu sprawiła, iż się z sobą w razie potrzeby znosili, zachowując wszakże szlachetną lecz czasem mniej korzystną dla sprawy wspólnej emulację. Dręczony żalami ziemiaństwa i pragnąc jego cierpieniom w jakikolwiek sposób zaradzić, postanowił Szymanowski wysłać przez parlamentarza list do głównodowodzącego na Żmudzi wojskami rosyjskimi jenerała Schirmana, który to jenerał, acz dawał się czasem unieść nadmierną surowością, obojętnym przecieo na głoś cierpiącej ludzkości nie był. Używszy tedy pretekstu, iż pragnie się dowiedzieć, co się dzieje z dwoma oficerami dziewiętnastego pułku, o których zgonie w bitwie pod Szawłami już pewną posiadał wiadomość, odwoływał się pułkownik w swym liście do uczuć rodzinnych Schirmana, który był podobno przykładnym mężem i ojcem, a zarazem w sposób delikatny starał się zwrócić uwagę jenerała, że barbarzyński tryb wojowania jego podkomendnych nie licuje z zasadami wojskowego honoru. Wyprawiony z owem pismem do Szawel porucznik Zabłocki otrzymał, jak się to zwykle dzieje, instrukcyę zasiągnięcia zarazem wiadomości o obrotach i o sile załogi nieprzyjacielskiej a ponieważ w całym oddziale naszym nie było ani jednego trębacza, przeto parlamentarzowi towarzyszył podoficer, który zaledwo że zadać potrafił w starą, zabraną z kościoła trąbę.... Tymczasem przybyłych do Cytowian ziemian zgromadził pułkownik w klasztorze Bernardynów i w energicznej, a rozczulającej przemowie, oddał naprzód słusność ich patriotycznemu poświęceniu a następnie wykazał im, jak wiele ryzykują, jeżeli zrażeni przeciwnościami, ostygną w szlachetnym zapale i w ofiarności. Należy im przeto zapomnieć o sejmikowych niechęciach i stworzyć rząd, działający zgodnie, czyniący jak najrychlej zadość rekwizycyom, do jakich celem wspólnej obrony wobec nieprzyjaciela będą wzywani. Przed-

stawił im oraz smutną przyszłość, jeżeli ulegną przemocy i jakby duchem wieszczym tknięty zawołał:

— Oto kiedyś uprowadzone w głąb Rosyi dziatki wasze zamiast błogosławieństw, słać będą przekleństwa na popioły ojców za zgotowane im nieszczęście i kajdany!

Gdy skończył Szymanowski pamiętną tę przemowę, która wszystkich obecnych tak dalece rozrzewniła, iż płacz i jęk ich rozchodziły się po obszernych gmachu klasztornego korytarzach, wniósł pułkownik wybór centralnego rządu żmudzkiego z siedzibą w Cytowianach lub w Rosieniach, pod przewodnictwem Ezechiela Staniewicza, podczas gdy delegowani do powiatów komisarze wraz z dodanymi asesorami tworzyć mieli wydziały wykonawcze rządu. Zagaiwszy w ten sposób obrady, chciał im Szymanowski pozostawić charakter swobodny i oddalił się z klasztoru do swych zajęć wojskowych, zaś zebrane ziemiaństwo wybrało prezesem rządu Staniewicza. W gronie radców rządu znaleźli się, o ile zapamiętać mogę, Franciszek Szemiot, jeden z Narbutów tudzież jeden z Gadonów. Pułkownik nasz, zdający co dwa dni raporty z swych czynności naczelnie dowodzącemu generałowi Giełgudowi, nie omieszkał również donieść mu o tej czynności wyborów obywatelskich, upatrując w nich rękojme sprężystego działania władz cywilnych na Żmudzi. Ale chwiejny Giełgud, nastraszony przez członków ustanowionego przez niego, centralnego rządu litewskiego, jakoby zamiar stworzenia rządu żmudzkiego miał na celu odosobnienie i wyłamanie się tej prowincyi z pod władzy Litwy, o czem nikt nie myślał w istocie, powołał do siebie członków rządu żmudzkiego i wyłożywszy im rzekomą beużyteczność dopiero co zorganizowanej władzy, potwierdzenia dokonanego wyboru odmówił.

Tymczasem posłany do Schirmana parlamentarz Zabłocki powrócił, oddawszy ekspedycję rozstawionym pod Szawlami forpocztom rosyjskim, które ją miały doręczyć generałowi. Przy tej sposobności dowiedział się Zabłocki, że nieprzyjaciel gotuje się do opuszczenia Szawel. Celem spraw-

dzenia tej wiadomości wyprawiono tamże prócz sekretnych emisaryuszów silny rekonesans. Zapewniwszy się, iż w rzeczy samej załoga szawelska cofnęła się ku Myszkuciom, wyruszyliśmy z Cytowian. Za naszym zbliżeniem się, reszta załogi pozostałej jeszcze w mieście, wykonała ruch wsteczny traktem prowadzącym w stronę Kurlandyi, a wojsko nasze zajęło Szawle wraz z fortyfikacyami, które zupełnie otwarte od strony Myszkuc nie przedstawiały żadnej osłony na wypadek ataku. Tym razem mieliśmy sposobność do przekonania się, że list pułkownika Szymanowskiego do generała Schirmana nie był bezskuteczny. Miasto nie było zniszczone, wojsko nikogo z niego nieuprowadziło a w lazarecie znaleźliśmy kilkudziesięciu naszych żołnierzy i wielu powstańców rannych, którzy bez żadnej różnicy porządnie byli opatrzeni. Zapytani od nas, czy od razu miano o nich takie staranie, odpowiedzieli, że dopiero od dwóch czy trzech dni nie czyniono żadnej różnicy między Rosyanami a Polakami. Wzajemnie też dowódca nasz pozostałych w lazarecie Rosyan, których załoga już zabrać z sobą nie zdołała, polecił szczególnej opiece lekarskiej i za każdą bytnością w szpitalu dowiadywał się, czy mają oni wygody i utrzymanie na równi z naszymi chorymi. W Szawlach, które dawniej były ekonomią królewską, darowaną następnie przez Katarzynę II. Zubowowi, zachowały się jeszcze ślady wzorowej tych dóbr administracyi z czasów Tyzenhausa. W zabudowaniach dworskich znaleźliśmy znaczny zapas płótna, będącego podobno własnością powiatu. Spędziliśmy więc krawców i szwaczki. Przerobiono owe płótno na koszule i czechczery, które rozdano tak pułkowi dziewiętnastemu jakoteż potrzebującym bielizny powstańcom. Wysłano też do Cytowian znalezione w Szawlach zapasy mąki oraz sprzętów lazaretowych, gdyż Szymanowski przewidywał, iż niebawem będzie atakowanym. Zajęto się przeto wzmocnieniem fortyfikacyi od strony spodziewanego napadu, tudzież obwarowaniem obszernego ogrodu pałacowego, obwiedzonego dokoła murem. Wysełany codziennie ku Myszkuciom rekonesans, zdawał nam raporty

o obrotach nieprzyjaciela, który wszystkie swe siły skoncentrował od Janiszek aż do Myszkuć. Częste a czasem całodzienne pod Myszkuciami utarczki naszych tyraierów, wypadały dla nas korzystnie, tak, iż w końcu kozacy, zsadzani z koni przez celnie bijących, litewskich strzelców, niechcieli na nich nacierać. W dniu drugim lipca otrzymaliśmy wiadomość, iż wszystkie siły rosyjskie, w tym punkcie nagromadzone, postępują ku Szawłom. Szymanowski polecił majorowi dziewiętnastego pułku, Jabłońskiemu, obserwującemu nieprzyjaciela, aby jak najpowolniej ustępował, starając się wybadać siły przeciwnika. Na nieszczęście Szawle leżały przy zbiegu gościńców od Kurlandyi, Radziwiliszek, Poniewieża i Połagi wiodących. Ostrożność przeto wymagała rychłego wysłania na wszystkie trakty rekonesansów, celem zbadania, czy ruch nieprzyjaciela nie był skombinowany. Okoliczność ta uszczupliła znacznie siły, osobiwie jazdy I tak dwa szwadrony powstańczej kawalerii, wysłane z majorem Kalinowskim ku Kurszanom, zapędziły się aż pod Telsze i nie dając o sobie żadnej wiadomości, złączyły się z nami aż w trzy dni po bitwie szawelskiej. Inne znów oddziały jazdy, wracające z patrolów, przynosiły nam, jak to się często zdarza niedoświadczonemu żołnierzowi, niedokładne, mylne a zawsze prawie egzagerowane wiadomości, skutkiem czego dowódca nasz znachodził się częstokroć w trudnem położeniu, nie mogąc się nigdy prawie o prawdziwości otrzymywanych doniesień przekonać. Nie mogliśmy w końcu wątpić, iż w nocy z drugiego na trzeciego lipca zostaniemy zaatakowani, a tymczasem major Jabłoński, zapewne źle zrozumiawszy dane mu zlecenie, już przed wieczorem cofnął się do folwarku, zwanego: Gubernia, oddalonego o jeden wystrzał armatni od Szawel. Skutkiem tego w mieście i w obozie rozeszła się pogłoska o przeważnych siłach nieprzyjaciela, liczącego jakoby kilkanaście batalionów piechoty, kilka szwadronów jazdy wraz z odpowiednią artylerją. Pogłoskę ową zdawał się w części potwierdzać major Jabłoński, wobec czego do naszego dowódcy, zajętego wyda-

waniem dyspozycyi na wypadek ataku, przybył naczelnik powiatu szawelskiego i wzięwszy pułkownika na stronę, doradzał mu opuszczenie miasta jeszcze przed nadejściem nieprzyjaciela. Odpowiedział mu Szymanowski, iż ustępowanie bez walki uważa za czyn hańbiący, któryby nieprzyjacielowi dawał prawo do pogardzania nami, lecz w zamian usłyszał z ust naczelnika żądanie, aby zwołano radę wojenną, gdyż niebezpieczeństwo jest groźne z powodu ściągnięcia przez Rosyan wszystkich wojsk od strony Kurlandyi, której to przewadze nie zdołamy się oprzeć. Popierając swą prośbę, powoływał się naczelnik na zdanie wielu wyższych oficerów korpusu, tak z oddziałów powstańczych, jak z wojska regularnego. Długo wahał się pułkownik, zanim zgodził się na zwołanie rady wojennej, koniecznej, jego zdaniem, wtedy tylko, gdy dowódca nie ufa samemu sobie, albo też nie polega na wojsku, które mu powierzono. Nadmienił też przy tej sposobności Szymanowski, iż szemranie oficerów dziewiętnastego pułku nie wiele go obchodzi, gdyż jako doświadczony żołnierz, potrafi w stanowczej chwili wymusić posłuszeństwo dla swych rozkazów i nie omieszkał zauważyć, iż nie posiada niestety podkomendnych, o tyle ostrzelanych w boju, iżby ich zdanie mogło go w czemkolwiek przekonać... W nocy z drugiego na trzeciego lipca, o godzinie dwunastej odbyła się rada wojenna, złożona z wszystkich sztabsoficerów oraz z dowódców oddziałów powstańczych, w pałacu szawelskim a równocześnie gotowano się do obrony i wywożono wszystko, co zabrać można było. Obrady zagał Szymanowski oświadczeniem, iż radę zwołał jedynie na życzenie naczelnika powiatu szawelskiego, poczem odczytał z instrukcyi, udzielonej przez generała Giełguda ustęp, polecający mu zajęcie Szawel oraz oczyszczenie powiatu z nieprzyjaciela. Mimo to wszyscy prawie obecni oświadczyli się za natychmiastowem opuszczeniem miasta, zaś major Jabłoński napomknął, iż pułk dziewiętnasty liczy już w szeregach zaledwo czterystu kilkudziesięciu żołnierzy dawnej służby. Mówił przytem major o szczupłej ilości ładunków i utrzy-

mywał, że oddziały powstańcze nadają się co najwyżej do akcyi tyralierskiej, w czem mu obecni dowódcy powstańczy zdawali się potakiwać. Jeżeli się nie mylę, to jeden tylko, jedyny głos, czyj już niepomnę, oświadczył się za zdaniem naszego pułkownika, który zamykając posiedzenie, oznajmił dobitnym głosem, iż zwołanie rady było z jego strony ustępstwem wobec naczelnika powiatu. Ponieważ jednak wynik obrady nie zgadza się z instrukcją, jaką otrzymał od głównodowodzącego, przeto biorąc całą odpowiedzialność za to, co się stanie, na siebie, rozkazuje wszystkim, aby się natychmiast udali do swych oddziałów.

— Panowie! — rzekł w stanowczej chwili Szymanowski — idzie tu o wasz honor i o dobro całej prowincyi. Nie jestem tyle nierozsądnym, abym miał na jeden raz wszystko ryzykować. Potrafię ocalić i na czas uprowadzić z placu boju powierzone mi siły. Zdarza się często w wypadkach wojennych, iż wtedy właśnie najbliżsi jesteśmy zwycięstwa, gdy wątpimy o własnych siłach. Niechaj każdy spieszy na swe stanowisko!

Jak sobie wystawić można, nie było to w smak wszystkim, którzy przeciwne wyrazili zdanie, lecz wyznać tu muszę, iż się bez szemrania rozeszli. Około godziny drugiej w nocy, pułkownik, wzięwszy pół szwadronu jazdy z komendy Grzymały, jedną kompanię piechoty dziewiętnastego pułku i jedno działo, wyruszył na spotkanie nieprzyjaciela, by równo ze dniem przekonać się o jego sile. Uszedłszy dobre pół mili za folwarkiem Gubernią zwanym, w którym ostatnie nasze stały posterunki, spotkaliśmy oddział kozacki, formujący czoło przedniej straży rosyjskiej. Jazda wymieniła z kozakami kilkadziesiąt wystrzałów, a Szymanowski widząc wychodzących z lasu strzelców, spieszących w pomoc swoim, cofnął się na dogodniejszą pozycję, z której już wyraźnie pięć batalionów nieprzyjacielskich, w jedną kolumnę ściśnionych, rozpoznać mogliśmy. Kilka wystrzałów armatnich, dobrze skierowanych, dały poznać nieprzyjacielowi, iż nim zajmie Szawle, sporo ludzi ubędzie mu z szeregów. Ujrzawszy

wszakże wysuwające się z lasu dwie świeże kolumny piechoty rosyjskiej, zagrażające nam od tyłu, dał pułkownik rozkaz opuszczenia zajmowanej dotychczas Guberni i teraz dopiero ujrzano siły rosyjskie w całej pełni; kroczące ku miastu w siedmiu zwartych, batalionowych kolumnach. Dwa nasze spiżowe działa czyniły atakującym znaczną dywersję i po każdym ich wystrzale kolumny rosyjskie w kłębek skręcały się i zatrzymywały. Natomiast oba działa żelazne, ustawione na bateryi, usypanej na wzgórzu, nie wystrzeliły jak po jednym razie, gdyż konie pociągowe, nieprzywykłe do huków, tak się przy nich splątały, iż należało armaty owe co rychlej spuścić na płaszczyznę i w tył uprowadzić. Tymczasem, mimo strat naszym ogniem sprawionych, nieprzyjaciół na oślep posuwał się ku miastu, wobec czego Szymanowski naprzód prawemu skrzydłu dał rozkaz do odwrotu. Wkrótce potem zaczęliśmy związać lewe nasze skrzydło, by w końcu z środkową częścią korpusu opuścić Szawle. Odwrotny ten manewr z wszelką odbywał się akuratnością. Rynek opróżniliśmy dopiero w chwili, gdyż już od strony pałacu poczęła się ukazywać piechota rosyjska. Nie mogę tu przypomnieć, jak mocno zatrwożyłem się widząc Szymanowskiego, wypadającego konno na rynek z bocznej ulicy, gdy rosyjscy strzelcy jedni zabiegali mu drogę, a drudzy strzelali do niego. Szczęściem, zalani trunkiem, ani podążyć za pułkownikiem, ani trafić go nie zdołali. W ogóle, jeżeli zwyczaj pojęcia wódką żołnierzy przed każdą prawie bitwą mógł przynieść wojsku rosyjskiemu tę korzyść, iż bez względu na niebezpieczeństwo, żołnierze na oślep postępowali naprzód, o tyle rozpojenie żołdatów w tem spotkaniu taki odniosło skutek, iż mimo gęstej palby działowej oraz z ręcznej broni, mieliśmy jednego zabitego i trzech rannych, podczas gdy straty rosyjskie wyniosły około czterystu ludzi w poległych i w okaleczonych. Odwrót odbywał się w takim ładzie, iż prócz jednego podjazdu, z sześciu kawalerzystów złożonego, który wysłany ku Radziwiliszkom, już do nas nie powrócił,

nie zajęto nam ani jednego niewolnika. Nieprzyjaciel nie ścigał nas wcale a chociaż z placu boju ustąpiliśmy, to przecież wyznać należy, iż tak porządna rejterada z wojskiem, powiedzmy prawdę, pozbawionem organizacji, liczyć się mogła za wygraną bitwę, która natchnęła wszystkich ufnością ku dowódcy. Słusznie też pisał Szymanowski w rozkazie dziennym:... Chlubna ta walka pod Szawłami nauczyć i przekonać nas powinna, iż można się z honorem i z korzyścią rejterować, gdy tego konieczność wymaga, niepotrzebując zawsze unikać boju, gdy go honor przyjąć nakazuje a tem bardziej też w nieładzie, ciągnącym za sobą niesławę, uchodzić z placu bitwy...

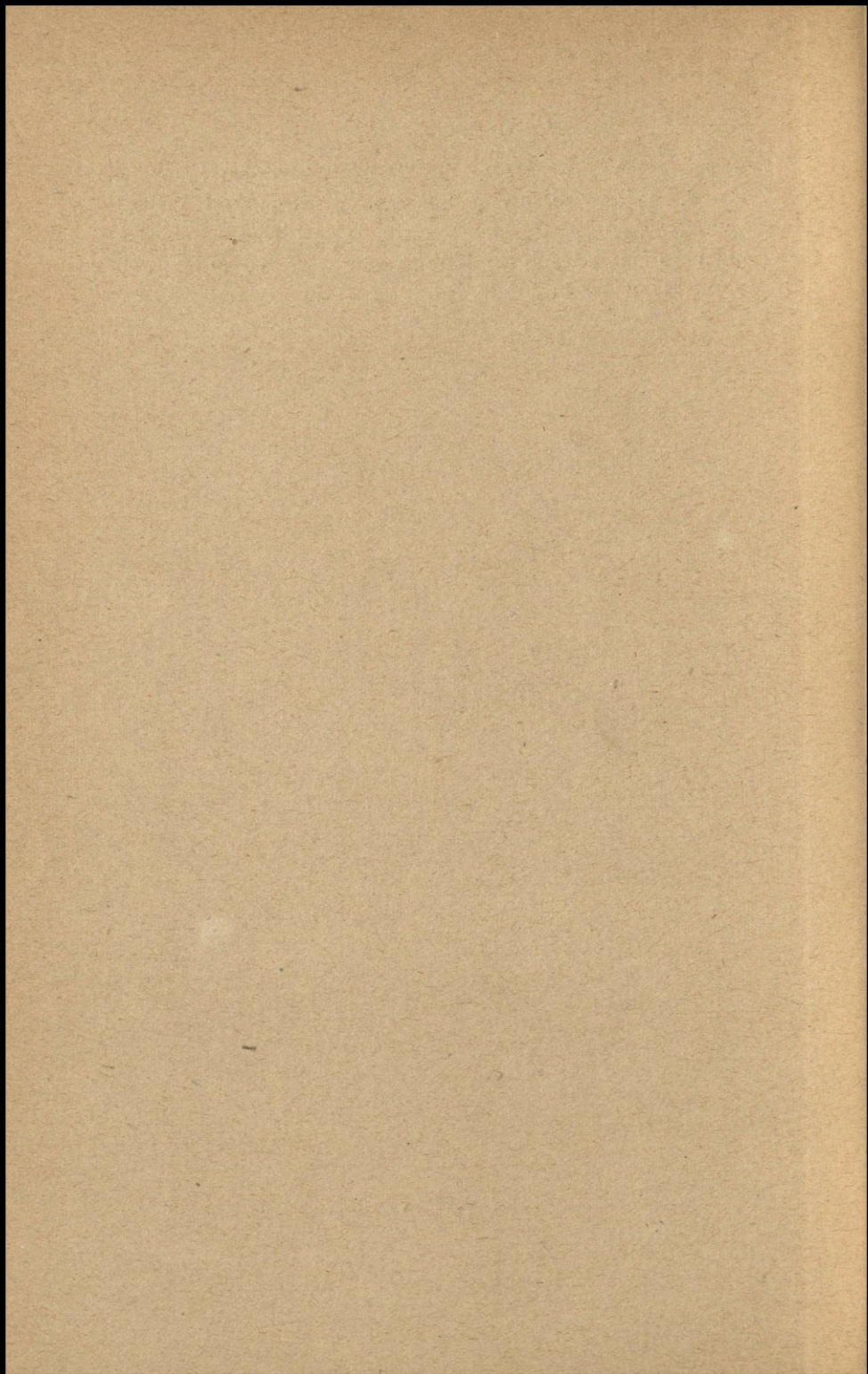
Cofnąwszy się znowu za Dubisę, w miejscu Podubisie zwanem, gdzieśmy most przeszli i połączywszy się z oddziałem, wysłanym dla strzeżenia traktu kurszańskiego, wypooczywaliśmy tamże przez trzy godziny, nieścigani wcale przez nieprzyjaciela, który poniósłszy w dniu tym znaczne straty, nie pomyślał wcale o pogoni. Wróciliśmy tedy do Cytowian na dawne stanowisko, gdzie z prawdziwą radością dowiedzieliśmy, iż nasz pułkownik za przyczynienie się do zwycięstwa pod Rajgrodem zamianowany został przez rząd narodowy jenerałem brygady. Wiadomość ta wielkie nam sprawiła ukontentowanie, lecz w takim byliśmy położeniu, iż chcąc naszemu dowódcy sprawić przyjemność ofiarowaniem mu surduta jeneralskiego ze szlifami, nie mogliśmy nigdzie dostać ani sukna karmazynowego, ani też szlif. Przebarbowano więc z wielką biedą sukno czerwone na buraczkowo-karmazynowe a wynalazłszy u jednego z obywateli okolicznych stare szlify maltańskie z grubymi bulionami przynieśliśmy ów uniform jenerałowi w dowód szacunku i radości, jaką nam sprawiło uznanie jego zasług, gdyż Szymanowski acz nie pozostawał przez lat dziesięć w służbie, lecz wróciwszy do niej po wybuchu rewolucyi, znalazł się jako pułkownik starszym od wszystkich prawie jenerałów.

Radość naszą z powodu mianowania Szymanowskiego generałem zatruły wszakże otrzymane niebawem wiadomości o stracie, poniesionej przez dywizję Giełguda pod Wilnem. W położeniu, w jakim znajdowaliśmy się na Litwie, odcięci od głównej armii, wszelka strata w ludziach i w amunicji, stawała się trudną do powetowania. Napróżno w Cytowianach sypaliśmy szańce, flesze i reduty, napróżno podważaliśmy usiłowania nasze pod względem przygotowań wojennych. Już wpływ poniesionej pod Wilnem klęski przejmował umysły wszystkich, tak cywilnych jak wojskowych, obywateli i kmiotków, nie zostawiając nawet nadziei poprawy naszego losu. Wszystko martwieć zaczęło i każdy z nas w głębi duszy życzył sobie jedynie, aby się dostać do głównej armii, działającej w Królestwie i poświęcić swe usługi Ojczyźnie. Giełgud jednomyślnie postradał nasze zaufanie jako pozbawiony potrzebnych wiadomości wojskowych oraz koniecznej u głównodowodzącego energii. Z pod murów Wilna pomaszerował Dembiński ku Wyłkomierzowi, gdzie pojawienie się jego, mimo klęsk doznanych, wskrzeszać znów zaczęło ostygłego sprawę narodowej ducha, lecz więcej już podobno ambicya i rozpacz, jak żywe patryotyczne uniesienie kierowało tym nowym wysiłkiem. Z trudnością jeno udało się Dembińskiemu sformować rząd wyłkomierski i zgromadzić siłę zbrojną. Tak w tym powiecie, jak i na całej Żmudzi zapanowały we wszystkich sercach niepewność i niedowierzanie a brak ogólny broni tudzież amunicji sprawiał, iż gromadzenie nowozacieżnych żadnego sprawie narodowej nie przynosiło pożytku. Dowództwo Dembińskiego rozciągało się wzdłuż rzeki Świętej aż do Kowna zaś generał Roland dla utrzymania komunikacji między głównym korpusem Giełguda a Dembińskim zajął Beysagały. Za jego pośrednictwem Dembiński, który od końca czerwca pozostawał w Wyłkomierzu, otrzymał rozkaz połączenia się z główną kolumną. Domyślać się wszakże należy, iż musiał mieć

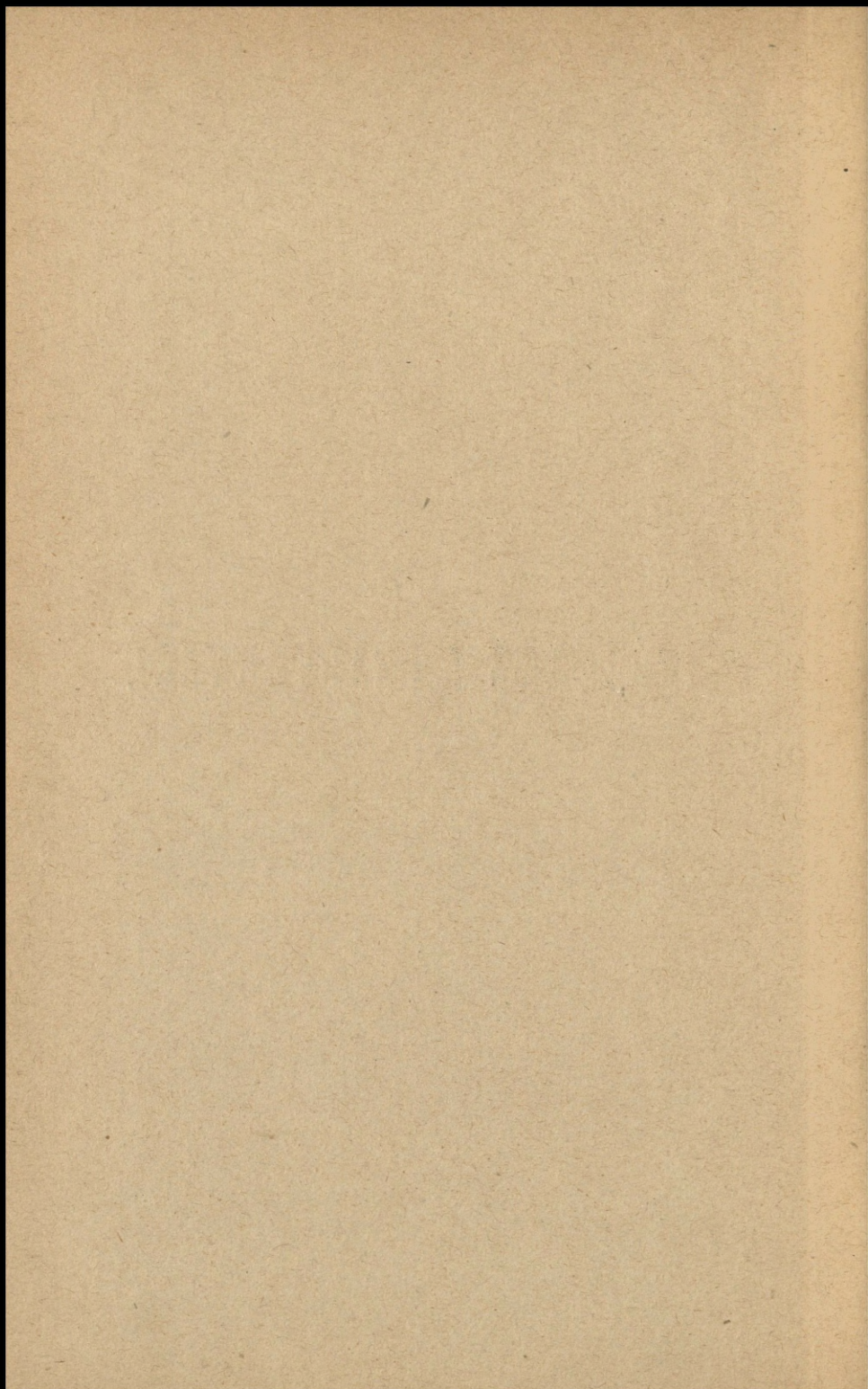
jakoweś ważne przyczyny, dla których rozkazu tego nie wykonał. Tak więc, po dokonaniem poruszeniu Rolanda, komunikacya między Dembińskim a główną kolumną ustała i do pierwszych dni lipca nie wiedzieliśmy wcale, co się z Dembińskim dzieje.

Koniec notat A. K. *)

*) Rękopis notat A. K. znajduje się w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.



KSIĄŻE ADAM CZARTORYSKI.



Od tego zaczynam kreślić obrazy osób, które w ostatniej naszej rewolucyi 1830 31 roku najznakomitszy udział miały. O księciu Adamie a raczej o jego charakterze mógłbym nieco więcej powiedzieć aniżeli inni wygnańcy, bo go znałem z wiarogodnej relacyi brata mego, Michała, który wychowywał się w Puławach przez lat blisko dziesiątek, tak iż razem sypiali i od jednych metrów pobierali edukację. Przeto nie o czynach księcia Adama, ogólnie znanych, ale o charakterze jego, skłonnościach, w młodych zazwyczaj latach zaród biorących, powiem to, co mi po tylekroć ś. p. brat mój wspominał.

Książę Adam, mawiał on, jest człowiekiem dość obojętnego i zimnego charakteru. Kto go nie zna, tak, jak ja, tenby mógł go wziąć za egoistę, gdyby egoizm nie posiadał tej znamienitej cechy, iż najobojętniejsi dla drugich, zwracają i koncentrują całą miłość ku sobie samym. Tego nie miał w usposobieniu książę Adam. Był on niemal tyle obojętnym, jeżeli nie obojętniejszym dla siebie, ile nim okazywał się dla drugich. A jeśli dla kogo żywił miłość i przywiązanie, to pewnie dla nikogo więcej jak dla rodziców, brata i sióstr. Miłość wszakże ową przewyższało jeszcze w szlachtetnem sercu jego przywiązanie do ojczyzny. Słowa: Polska, Ojczyzna, mocniej nad wszelkie inne uczucia odzywały się w sercu jego. Dla ojczyzny wszystko i w każdej porze poświęcić był gotów. Dla niej, dla jej bytu, dla jej dobra i egzystencyi gotów był jak największy gwałt zadać swym uczuciom, jak

największe ponieść ofiary, czego niezaprzeczone widzieliśmy dowody. Mimo to, iż nie cierpiał z całej duszy Moskali, uważając ich za głównych i nieubłaganych nieprzyjaciół ojczyzny, to przecież po ostatnim rozbiórce Polski, zagnany przez rodziców, by udał się do Petersburga dla wydzwignienia majątku przez Rosyę im skonfiskowanego, przemógł sam siebie i pospieszył w samo centrum nieprzyjaciół Polski, nietyle dla ratowania majątku rodzinnego, ile raczej w nadziei, iż tam kiedyś zdoła być użytecznym swym rodakom. Jakoż całkowite jego, późniejsze poświęcenie się dla następcy tronu Aleksandra, cała powzięta dla niego przyjaźń, nie miały innego zamiaru, jak ten, iż błyskał jeszcze w sercu młodego Czartoryskiego ów promyk nadziei, iż w serce potężnego swego przyjaciela wpoić potrafi zwolna, pod pozorem wielkiej chwały jego w dziejach świata, to uczucie, że temuż Aleksandrowi wskrzeszenie Polski sam Bóg przeznaczył. Takowa nadzieja stała się przez nawyknięcie do niej przekonaniem w umyśle księcia Adama, iż Polska powstać nie może, jak za sprawą samowładnej Rosyi, posiadającej jej część najznakomitszą. Lecz ileż to razy Czartoryski, acz zamknięty w sobie i ostrożny w rozmowach z następcą tronu, otoczony szpiegami, nie miał się przed nikim wynurzyć ani z uczuć, ani z zamiarów swoich, ani też czyjejkolwiek zasięgnąć rady, bo stawiając kroki na śliskiej posadzce dworu petersburskiego, lada chwila mógł upaść i wszelkie, sercu swemu ulubione marzenia zniweczyć. Jednego tylko miał przy sobie zaufanego przyjaciela. Był nim dodany księciu w charakterze mentora wuj mój, Jakób Gorski, były szambelan króla Stanisława Augusta, człowiek rozważny, z gruntu uczciwy i jak to mówią, taktem oraz zdrowym rozsądkiem obdarzony. Acz mało znałem mego wuja, bo wtedy jeszcze dzieckiem prawie byłem, sądzić przecież dobrze o jego zasługach i o zdatności winieniem, bo by stary książę nie był synowi dawał Gorskiego za mentora, gdyby mu był nie ufał, lub gdyby kogoś zdatniejszego mógł do tego użyć.

Przez relacye rodziców moich mogłem się zatem przekonać, ilekroć razy młody książę wracając od carewicza lub idąc do niego, ubolewał z powodu przymusu, jaki sobie musiał zadawać, aby się znosić przyzwoicie już nie z Aleksandrem, gdyż do niego coraz mocniej przywiązywał się, ale z Konstantym i z otaczającymi obu książąt indywiduami, aby znośną choćby miną odpowiadać na ich słodziutki, acz w gruncie fałszywe przymilania się. Było to dla Czartoryskiego męczarnią i częstokroć ze łzami w oczach użalał się z tego powodu wobec mojego wuja. Szczególniej zaś nie mógł się przyzwyczaić do dzikiej, że tak powiem, żywości wielkiego księcia Konstantego, nad której poskromieniem i umiarkowaniem tak gorliwie, choć bezskutecznie pracował w owym czasie sławny Laharpe. Lecz, jak to powiada polskie przysłowie: wiele ten czyni co musi, tak też wówczas książę Adam wiele sobie gwałtu zadawał, aby się przyzwyczaić do tak przeciwnego zasadam swoim pożycia i przynajmniej obojętnem spoglądać okiem na osoby, które mu przyjemnymi być nie mogły, ani też na szacunek jego nie zasługiwały. A przecież konieczność tego wymagała, aby się nietylko w swych zdaniach i uczuciach, ale nawet w zewnętrznych ruchach i w manierach nie okazać nieprzyjemnym wobec tych, którzy z zazdrością spoglądali na młodego Polaka, coraz większej zażyłości z następcą tronu zażywającego. Zawiść z powodu wzmagającej się przyjaźni Aleksandra z księciem Adamem ogarnęła nietylko dworzan cesarzewiczów, ale i samego wielkiego księcia Konstantego, który widząc, o ile brat udzielał nad nim preferencyi Czartoryskiemu, nienawidzić począł tego ostatniego i później owej nienawiści dawał dowody księciu. Wzajemnie też książę, nie mogąc się przyzwyczaić do brutalstwa Konstantego, mniej dbał o jego przyjaźń i zimno go traktował.

Gdy po zamordowaniu Pawła car Aleksander wstąpiwszy na krwią zboczony tron ojcowski, zrazu wszystkim nie dowierzał, zmusił wówczas Czartoryskiego do objęcia ministerstwa spraw zagranicznych państwa. Acz niechętnie,

przystał na to książę w tej słodkiej nadziei, iż kiedykolwiek nadarzy mu się sposobność do przypomnienia młodemu monarsze danego przyrzeczenia, iż Królestwo Polskie przywróci. Myśl ta nie opuszczała Czartoryskiego ani na chwilę. W ciągu panowania Aleksandra nieopuszczał książę Adam, czyto jako minister, czy też później jako człowiek prywatny, żadnej sposobności do negocjacji dyplomatycznych, aby w trop za cesarzem nie pobiegł, nie przypomniał mu projektu wskrzeszenia Królestwa Polskiego i dotrzymania danego mu przez Aleksandra przyrzeczenia nie wymagał. Jak ów artysta głównemu przedmiotowi oddany, w całym swym obrazie tenże ma na myśli a wszystko inne za odcienie, którymi mniej chętnie się zajmuje, tak też Czartoryski, będąc ministrem spraw zagranicznych, mniej chętnie zajmował się wszystkim, co nie mogło mieć stosunku z celem jego myśli, ale jako człowiek uczciwy i do osoby Aleksandra szczerze przywiązany, pracował sumiennie w sprawach departamentowi jego powierzonych. Nakoniec w roku czternastym, podczas układów rozpoczętych jeszcze w Paryżu, zdołał na kongresie wiedeńskim wpłynąć na cesarza, iż tenże wolał kontentować się mniejszą częścią kraju z tytułem konstytucyjnego króla polskiego, jak uzyskać obszerniejszą część ziem polskich, któreby następnie przeobraziły się w gubernie rosyjskie. Czy na kongresie wiedeńskim była kwestya o postanowieniu zupełnie oddzielnego Królestwa Polskiego podniesiona, jak wówczas słyszeć się dało, przez Anglię, oraz, czyby na takowy projekt zgodziły się mocarstwa rozbiorowe? — są to zapytania, na które bieglejszy tylko a szczególniejszy świadomszy negocjacji politycznych na tymże kongresie odbywających się, rozstrzygnąć może. Co do mnie, tyle tylko wiem, że jedynie Czartoryskiego usiłowaniam winni jesteśmy tę Polskę, którą z deliberacji kongresowych uzyskaliśmy. Że Czartoryski na kongresie tysiączne i najwyższe miał przeciwności do przewyciężenia, że częstokroć znajdował na sesji kongresowej opozycję, gdyż z wyjątkiem cesarza oraz księcia Adama nikt myśli wskrzeszenia Polski nie był przychylny, ten szczegóół

był mi udzielony od jednego z uczestników kongresu. Jakikolwiek, acz małe urodziło się w roku czternastym Królestwo Polskie, to przecież uważał je Czartoryski za kamień węgielny, gruntownie wmurowany celem wystawienia kiedyś całkowitego gmachu. I dlatego od pierwszych zaraz momentów zadecydowania konstytucyjnego Królestwa Polskiego, gorliwie zajmował się książę wypracowaniem ustawy konstytucyjnej, o tyle liberalnej, o ile ją samodziemca Rosyi mógł upoważnić. Umiał bowiem Czartoryski korzystać z owych chwil, w których Aleksander, przejęty filantropijnem uczuciem, szukał sławy w uszczęśliwianiu ludów, przystając na wszystko, co mogło do tego celu doprowadzić, gdyż w tem małym Królestwie Polskiem pragnął mieć, że tak powiem, wzór tego, co miał sprawić kiedyś dla Rosyi.

Kreśląc rys niniejszy, nie mam pod ręką najmniejszego dokumentu, żadnej broszury, któraby mi świetne czyny Czartoryskiego przypomnieć mogła. Niejeden może ważny przedmiot opuszczyć. Piszę, jak mi się myśli nasuwają, jak go zwykłem był widzieć i o nim sądzić, a zresztą nie miałem nigdy zamiaru opisywania życia księcia Adama. Nie pragnąłem jak przedstawić charakter człowieka, którego bliżej znający nie mogą jak cenić, poważać i — że tak śmiało powiem — uwielbiać, człowieka, na którego nieposzlakowaną cnotę oraz czysty patryotyzm rzucają zawistni najszkaradniejsze kalumnie, a co gorsza, iż znajdują dość nierozsądnych zagorzalców, wierzących im, choćby przez czas krótki.

Spotwarzajmy! Spotwarzajmy! — wołają jaszczurczym jadem upojeni bluźniercy. Choćbyśmy nawet na świętych często ciskali potwarz najmniej do prawdy podobną, zawsze przecież coś z kalumnii na nich rzuconej pozostanie...

Gdy tworzył się rząd nowo powstałego Królestwa Polskiego, nikt z nas nie wątpił, iż najpierwsze w nim miejsce dostanie się twórcy Królestwa, i że nie kto inny, jeno książę Adam będzie namiestnikiem. Nadspodziewanie wszystkich mianowany został namiestnikiem stary, bez nogi generał

dywizyi Zajączek, człowiek nie bez zasług wojskowych, lecz nie posiadający do rządu ani nauki, ani zdrowia, ani też po prostu głowy. Takiego właśnie człowieka słabego charakteru chciał mieć na czele rządu Królestwa wielki książę Konstanty, pod pozorem komendy wojskowej zamierzający wszystkim rządzić wbrew zaręczeniom konstytucyjnym. Wiedząc dostatecznie, iż w Czartoryskim znalazłby nie w jednej sprawie opozycję, pewnym był z drugiej strony wielki książę, iż Zajączek stanie się uległym jego woli narzędziem. Tak więc książę Adam *pro forma* tylko w rządzie i w senacie otrzymał stanowisko. Z tej to okazji dowcipny Marcin Badeni trafnie był wtedy powiedział, że książę Adam jest łódką, na której się wszyscy przepawili, poczem czołno jako już nie potrzebne od lądu odepchnęli... Czartoryski jednak bądź z przywiązania do swego dzieła, chcąc je w pierwszych przynajmniej chwilach rozwoju chronić od gwałtów, bądź też nie chcąc się uważać za pokonanego, utrzymywał się przez czas niejaki na pozostawionym mu posterunku z wszelką godnością ucziwego i przywiązanego do ojczyzny obywatela.

Z tytułu swego urzędowania oponował, gdzie i jak mógł, wobec przemocy, lecz widząc bezskuteczność swych usiłowań, mało od kogo z kolegów w rządzie popierany, usunął się od wszystkiego i wyjechał z Warszawy, wracając do niej jedynie na posiedzenia senatu. Niechciał bo też książę być świadkiem nieustannego gwałcenia konstytucyi przez wielkiego księcia Konstantego. Znał on z lat dziecinnych gwałtowność charakteru carewicza i wiedział aż nadto dobrze, jaką powolność okazywał wobec brata Aleksander, który swoją drogą wolał go mieć oddalonego o paręset mil od siebie, aniżeli w Petersburgu.

Nie ustając wszakże w życzliwej dla kraju pracy, zajął się książę Adam kuratoryą szkół w prowincjach polskich, pozostających pod bezpośredniem władztwem cesarza Aleksandra, gdzie mu zrazu zostawiono nieograniczoną władzę. Wiedział to dobrze Czartoryski, ile może się z czasem oj-

czyźnie stać pomocnym, gdy jej wychowa światłą młodzież. Jakoż nie opuścił ani jednej, pomyslanej sposobności, ani jednego zdarzenia, aby nie wyjednać u cesarza przyzwoitego uposażenia dla wszelkiego rodzaju szkół, od szkół elementarnych, zaprowadzonych w całym kraju, począwszy, aż do gimnazyów i uniwersytetów. Czem były owe zakłady za czasów kuratoryi księcia Adama, jak się rozwijały, jak zdanych wydawały synów dla odradzającej się Polski — to tyśiące Polaków, dziś jeszcze żyjących, poświadczyć może. Ale właśnie ta kwitnąca i wzmagająca się pomyślnie edukacja młodzieży polskiej, zwróciła uwagę przezornego i zazdrosnego rządu rosyjskiego. Zaczęto więc na różne sposoby i pod różnymi pretekstami wdawać się, utrudniać, bałamucić i ograniczać nietylko władzę samego kuratora, ale i podwładnych rektorów oraz profesorów szkół. Czyniono nieustannie księciu tyle widocznych przeszkód tudzież szkodliwych ograniczeń, którym, jak mógł, opierał się, iż w końcu widząc oczywiście, iż rosyjskie ministeryum oświaty chce się go pozbyć, musiał Czartoryski dobrowolnie zrzec się urzędowania, sądząc, że gdy się usunie, ustaną prześladowania, które uważał jako wymierzone ściśle przeciw jego osobie. Niestety, zawiódł się w swych domysłach. Rząd zamierzył zniszczyć zupełnie zaprowadzony przez niego w szkołach porządek i w tym celu następcą Czartoryskiego przeznaczył Nowosilcowa, którego imię wystarcza, aby krew wzburzyć w każdym Polaku.

Odsunięty od znaczenia, jakie mu się z prawa w Królestwie Polskiem należało, wykluczony z zarządu szkolnego, niemając co robić w kraju, wyjechał Czartoryski wraz z rodziną za granicę, gdyż nie chciał patrzeć na bezprawia w ojczyźnie popełniane. Pragnął też uniknąć smutnych, lecz na nieszczęście bezskutecznych wyrzutów, jakie czynić był winien przyjacielowi młodości, cesarzowi Aleksandrowi. Nadawała mu do nich dawna zażyłość z władcą Rosyi, który zupełnie innym okazywał się wobec Polaków, jak nim być obiecywał, jak nim był w pierwszych latach istnienia Królestwa.

Czartoryski mieszkał czas niejaki w Dreźnie, potem w Szwajcaryi, rzadko kiedy i to tylko na czas krótki zjeżdżając do kraju, gotów jednak zawsze stawić się tam, gdziekolwiek i kiedykolwiek mógł się ojczyźnie stać pożytecznym. Zjechał też Czartoryski na ów sławny sąd sejmowy, w którym jako senator powinien był zasiadać, a który to sąd miał wydać wyrok w sprawie wielu rodaków, obwinionych o zdradę stanu. Jak gorliwym okazał się w tej mierze, nie potrzebuję wspominać. Dość powiedzieć, że on i wojewoda Bieliński byli duszą obrad sądu sejmowego i z największą dla kraju oraz dla siebie chlubą sprawę tą zakończyli, mając tysiące przeszkód do przewyciężenia i niejedną trudną walkę do stoczenia z wielkim księciem. Z walki tej wyszli obaj z tryumfem, dzięki prawości charakteru i otwartości w postępowaniu.

Czy książę Adam wiedział o wybuchnąć mającej rewolucyi, czyli ją przewidywał, lub też nie — w to wchodzić nie będę, nie chcąc na pamięć rezonować. To przecież wiem z pewnością, że aż do 29 listopada nie opuścił Warszawy i że rewolucya zastała go w stolicy. Kazał też wówczas Czartoryski obciążyć pożyczką swe dobra ukraińskie, skutkiem czego znalazł się w możności złożenia znacznych ofiar na rzecz sprawy narodowej i pomagania licznym powstańcom. Jakoż wielu bardzo nadużywało hojności patriotycznej księcia.

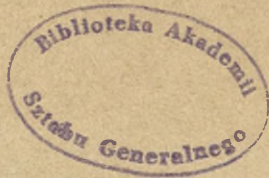
Powołany zaraz w pierwszej chwili po wybuchu rewolucyi do składu rządu narodowego, zasiadał w jego gronie bez przerwy, tworząc jeden z najmocniejszych filarów tej władzy. Jakiegobądź zmiany, zaburzenia, lub znakomitsze zdarzenia wojenne miały miejsce, wszędzie widziano Czartoryskiego, całkowicie sprawie ojczystej sercem i duszą oddanego. Pracowitość, postępowanie i sprawność księcia Adama w każdym kroku jego, w każdym wynurzeniu myśli, były zawsze tak czyste, tak patriotyczne przez cały czas trwania rewolucyi, iż trzeba by być bez sumienia i bez rozsądku, aby inne o nich dać zdanie. Kto ma tak czyste jak Czartoryski serce,

tak szczerę dla ojczyzny intencje a obok światłego rozsądku posiada rutynę w sprawach administracyjnych, tudzież najlepsze intencje, ten choćby i w zdaniu swem czasem chybił, zawsze przecież najwyższego godzien jest uwielbienia i na wdzięczność narodu zasłużył.

Godzi mi się wyjawić krótką o księciu Adamie opinię, pochodzącą z trzeźwego przekonania a ta jest: Książę Adam bardzo światły i rozsądny człowiek, patriota gorliwy, mógłby być jak najlepszym królem konstytucyjnym. Nadto wszakże był skrupulatny, przezorny a przeto niedowierzający ani wypadkom ani ludziom, aby się mógł dłużej i z korzyścią dla sprawy rewolucyjnej utrzymać u steru rządu powstańczego*).

K O N I E C.

1547



*) Rękopis rozprawy o księciu Adamie Czartoryskim znajduje się w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

5201



20-001547-000-0